cena 15 PLN (w tym 8% VAT) www.panstwo.net indeks 211060 #237 10/2026

Piotr Lisiewicz
SPRAWIEDLIWOŚĆ SPÓŹNIONA O 80 LAT. HISTORIA DZIADKA MACIEJA MUSIAŁA

Hanna Shen
AI NA SŁUŻBIE PEKINU I MOSKWY

Krzysztof Karnkowski
ORWELLOWSKA PUŁAPKA NA FILMOWCÓW

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO



RAPORT SPECJALNY

JAK ROSJA TESTUJE GRANICE NATO

ISSN 1895-4960

OKŁADKA: MARIUSZ TROLIŃSKI/AI

eprasa.pl 425d19034c

TEMAT NUMERU ▼ 4–17



Raport: Outsourcing terroru i luka odstraszania. Jak Rosja testuje granice NATO / 4

IDEE ▼ 18–33



Bizantynizm zrehabilitowany / 18

HISTORIA ▼ 34–58



Sprawiedliwość spóźniona o 80 lat. Historia dziadka aktora Macieja Musiała / 34

KULTURA ▼ 60–71



Z kamerą w Śródziemiu / 60

ŚWIAT ▼ 76–98



Wojna Rosji z Europą / 76

Spis treści

TEMAT NUMERU

Olga Alehno, Grzegorz Wierzchołowski
Raport: Outsourcing terroru i luka odstraszania. Jak Rosja testuje granice NATO 4

IDEE

Jakub Maciejewski
Bizantynizm zrehabilitowany 18

Ewa Polak-Pałkiewicz
Jak zwyciężaliśmy 24

Małgorzata Matuszak
Kto trzyma kompas? O nauczycielu, któremu powierzamy szkołę 30

HISTORIA

Piotr Lisiewicz
Sprawiedliwość spóźniona o 80 lat. Historia dziadka aktora Macieja Musiała 34

Dariusz Jarosiński
Milenium Chrztu Polski. Walka o rząd dusz 40

Agnieszka Kowalczyk
Osiemset lat ze Świętym Franciszkiem z Asyżu 46

Tomasz Łysiak
Monte Cassino według Świętego Tomasza 52

Karol Zbyszewski
Tylko durnie nie biorą łapówek. Trybunał Rzeczypospolitej przedrozbiorowej 56

KULTURA

Łukasz Czarnecki
Z kamerą w Śródziemiu 60

Krzysztof Karnkowski
Orwellowska pułapka na filmowców 68

ŚWIAT

Antoni Rybczyński
Wojna Rosji z Europą 76

Hanna Shen
Sztuczna inteligencja na służbie Pekinu i Moskwy 80

Antoni Rybczyński
Jak Rosja pracuje nad bronią biologiczną 85

Stefan Czerniecki
Trudna historia spod La Salette 90

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji 96

Stałe **rubryki**



Katarzyna Gójska
Tusk zachęca Putina
NA POCZĄTEK 3



Małgorzata Matuszak
Czym jest... granica
KATECHIZM INTELIGENTA 71



Marcin Wolski
O przyszłej wojnie
PAPKULTURA 59



Marek Kalinowski
Dało się! I to jeszcze jak!
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 67



Rozmowa Krzysztofa Wołodźki
Berlin gastarbeiterki
DZIENNIK LEKTUR 72



Krzysztof Wołodźko
Odys, Google Maps i wielkie wędrowanie
DZIENNIK LEKTUR 72



Tomasz Sakiewicz
Walonki i woszebijki
OSTATNIE SŁOWO 99

miesięcznik
WYDAWCA
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.
REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA NOWE PAŃSTWO

ZESPÓŁ
Stefan Czerniecki, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Marek Kalinowski, Krzysztof Karnkowski, Agnieszka Kowalczyk, Piotr Lisiewicz, Ewa Polak-Pałkiewicz, Jakub Maciejewski, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski, Krzysztof Wołodźko

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński

DTP
Aleksander Razcwarkow

KOREKTA
Maria Fijołek, Irena Bińta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
www.prenumerata.swsmedia.pl
prenumerata@swsmedia.pl
tel. 22 290 29 58 (wew.1)
NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW

NIEZALEŻNE WYDAWNICTWO SP. Z O.O.
BANK PEKAO SA
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelew z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW)

DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960

eprasa.pl 425d19034c



Katarzyna Gójska

Tusk zachęca Putina

Premier co rusz przestrzega przed wrogimi działaniami Moskwy i na tym samym oddechu zapowiada używanie kija bejsbolowego w życiu publicznym. Mówi w Sejmie: „Nie może być podziałów, musimy współpracować", by chwilę później zapowiadać siłowe wejście do Trybunału Konstytucyjnego.

Jeszcze przed pełnoskalowym uderzeniem na Ukrainę Rosja uruchomiła ataki na państwa naszego regionu. W przypadku Polski koncentrowały się one przede wszystkim na forsowaniu wschodniej granicy przez zwożonych tysiącami na terytorium Białorusi nielegalnych migrantów. Wśród tych ludzi były osoby szkolone przez służby Federacji Rosyjskiej. Dziś jesteśmy już po całej serii różnorodnych form agresji poniżej progu otwartej wojny, wśród których są m.in. inwazje dziesiątek dronów, zamach terrorystyczny czy uderzenie rakietą. Widać gołym okiem, iż działania Kremla stają się coraz bardziej niebezpieczne i ostentacyjne. Rosjanie zintensyfikowali ofensywę na zachodnią część Ukrainy, bardzo często w rejonach położonych tuż przy granicy z Rzeczpospolitą. O zagrożeniu mówią wszystkie strony politycznego sporu, i to chyba jedyna wyraźnie wspólnie podzielana opinia. Jednocześnie wraz z intensyfikacją rosyjskiej presji pogłębiane są chaos i podziały społeczne w naszym kraju. Premier co rusz przestrzega przed wrogimi działaniami Moskwy i na tym samym oddechu zapowiada używanie kija bejsbolowego w życiu publicznym. Mówi w Sejmie: „Nie może być podziałów, musimy współpracować", by chwilę później zapowiadać siłowe wejście do Trybunału Konstytucyjnego. Rosja testuje odporność państw leżących w jej zasięgu, co do których rości sobie władztwo – o tym przecież mówił Putin, przedstawiając warunki NATO. Takie „sprawdzanie" nie ogranicza się jedynie do potencjału obronnego. Słabe państwo to przede wszystkim państwo rozbite wewnętrznie, z rozchwianymi instytucjami, niejasnymi kompetencjami czy wręcz niepewną legalnością. Takie, które duża część obywateli uznaje za opresyjne. Takie, któremu nie ufa i z którym wyklucza współpracę. Właśnie do takiego stanu – wraz ze swoimi koalicjantami – doprowadził Polskę Donald Tusk. Nie tylko nie poczynił znaczących postępów w budowaniu systemów będących w stanie realnie stawić opór agresorowi, lecz także przemocą, pogardą, chaosem i łamaniem prawa bezpowrotnie utracił zaufanie znaczącej części społeczeństwa. Jeśli pojawi się prawdziwe zagrożenie, bardzo trudno będzie mu przekonać ludzi do dyscypliny, zaangażowania i współpracy. Koalicja 13 grudnia po prostu obniżyła zdolności obronne Polski, wprowadzając nas w stan jakiejś upiornej publicznej wojny domowej. Planowany napad na Trybunał Konstytucyjny – jeśli stanie się faktem – dramatycznie pogorszy tę sytuację. I jeśli ktoś na Kremlu rzeczywiście zakończył czas testowania i wszedł w fazę autentycznego typowania celów, to trzeba powiedzieć, iż swoją polityką Tusk wręcz zachęca do wybrania właśnie Polski. ■

eprasa.pl 425d19034c

Olga Alehno  Grzegorz Wierzchołowski 

Raport „Nowego Państwa” Outsourcing terroru i luka odstraszania. Jak Rosja testuje granice NATO

Rosja nie musi wysyłać dywizji pancernych, aby spróbować rzucić Europę na kolana. Prowadzona przez kremlowski reżim wojna hybrydowa wkracza w fazę bezpośredniej, acz wciąż nieoficjalnej konfrontacji z Zachodem. Moskwa posługuje się na terytorium NATO armią cieni zwerbowanych w sieci sabotażystów mających wywołać paraliż logistyczny i siać terror. W najbliższych miesiącach państwa wschodniej flanki Sojuszu, a być może także zachodnia Europa, staną się poligonem doświadczalnym dla rosyjskich operacji poniżej progu wojny. Chodzi przede wszystkim o przetestowanie spójności artykułu 5 Taktatu Północnoatlantyckiego i wywarcie presji na społeczeństwa Zachodu. Prezentujemy specjalny raport o tym, jakimi metodami Rosjanie mogą podpalić Europę.



ILUSTRACJA MARIUSZ TROLIŃSKI/AI

eprasa.pl 425d19034c



eprasa.pl 42

Europa i NATO wobec zagrożenia rosyjskiego

1 WRZEŚNIA
Balvi, Łotwa
rozpoczęcie prac przy odcinku Bałtyckiej Linii Obrony

2 WRZEŚNIA
Łatgalia, Łotwa
ćwiczenia gotowości do ewakuacji mieszkańców

2–3 WRZEŚNIA
Kuopio, Finlandia
ćwiczenie Shelter 2026 z ponad 2 tys. uczestników; sprawdzanie gotowości do ochrony mieszkańców na wypadek rosyjskiego ataku

7 WRZEŚNIA
wschodnia Finlandia
ogłoszenie zakończenia budowy 200-kilometrowej zapory na granicy z Rosją

7 WRZEŚNIA
Kijów, Ukraina
gen. Ołeh Iwaszczenko (HUR, ukraiński wywiad wojskowy): „Rosja może zwiększać presję na wschodnią flankę i testować reakcję NATO, aby ograniczać pomoc Ukrainie"

15 WRZEŚNIA
Holandia
akty sabotażu na liniach kolejowych w całym kraju

Jak wskazują ostatnie miesiące, a zwłaszcza zdarzenia z lat 2025–2026, rosyjski wywiad wojskowy GRU i Federalna Służba Bezpieczeństwa (FSB) znacząco zmieniły modus operandi. Razwiedka już tylko sporadycznie deleguje do sabotażowych akcji przeszkolonych oficerów z fałszywymi paszportami – jak miało to choćby miejsce w przypadku spektakularnych otruć w Wielkiej Brytanii bądź eksplozji w czeskich Vrběticach w 2014 roku, za które odpowiadała elitarna Jednostka 29155 (pisaliśmy już o niej szeroko w „Nowym Państwie"). Stawia dziś za to na działania, które można określić mianem „outsourcingu" terroru.

Z ustaleń zachodnich służb wynika, że dawna Jednostka 29155 została włączona do większego departamentu GRU, którym nadal kieruje generał Andriej Awerjanow. Jednak obecnie praca w terenie jest wykonywana przez rekrutów z internetu, a nie przez oficerów, z których większość nie może już swobodnie podróżować po Europie z powodu masowych wydaleń dyplomatów po 2022 roku.

Obecnie rosyjski sabotażysta w Polsce, na Litwie czy w Niemczech to nie wysłany z Moskwy czy Petersburga kadrowy FSB-ista, agent lub stały tajny współpracownik, lecz coraz częściej zwerbowany za pośrednictwem szyfrowanych komunikatorów, takich jak Telegram, drobny przestępca, osoba z problemami finansowymi, radykalny aktywista czy też imigrant z Europy Wschodniej, Bliskiego Wschodu lub Azji Środkowej. Ukraińskie Centrum Zwalczania Dezinformacji ostrzega przed masowym werbunkiem tzw. agentów jednorazowego użytku. Jak wskazuje ta instytucja, rosyjskie służby tworzą w ten sposób bazę kontaktów do szybkich zleceń. Według ukraińskich analityków „celem jest stworzenie sieci tanich agentów, zdolnych do przeprowadzania małych, ale znaczących działań".

eprasa.pl 425d19034c

Jak wygląda mechanizm rekrutacji? Na Telegramie, w przeróżnych grupach zrzeszających osoby szukające pracy publikowane są ogłoszenia stylizowane na zwyczajne oferty zarobkowe. Przykładowe anonse, zidentyfikowane przez służby i dziennikarzy śledczych, to z pozoru niewinne „Praca jako fotograf" czy „Twórz hasztagi i zarabiaj". W innych przypadkach, skierowanych do osób z marginesu społecznego (potencjalni byli przestępcy) lub z doświadczeniem militarnym, komunikaty są mniej zawoalowane, zawierające wręcz nieraz sugestię wynagrodzenia za monitoring, wywiad, logistykę itd. Za wykonanie zadania – może to być zarówno wykonanie zdjęć infrastruktury krytycznej, jak i podpalenie magazynu – oferowane są kwoty rzędu kilkuset lub kilku tysięcy dolarów. Wypłaca je się zwykle w kryptowalutach.

W ostatnim czasie na celowniku rosyjskich terrorystów znalazły się m.in. zakłady zbrojeniowe w Europie. Na przykład: wiosną i latem 2026 roku doszło do pożarów i eksplozji w fabrykach w Niemczech, we Włoszech czy w Bułgarii, a wcześniej zniszczono czeski zakład produkujący drony dla Ukrainy. Jak wskazują zachodnie służby wywiadowcze, wielu z wykonawców do samego końca nie zdaje sobie sprawy, że pracuje dla rosyjskiego wywiadu. Zleceniodawcy pozostają bezpieczni w Rosji, a całe ryzyko i odpowiedzialność karna spadają na lokalnego wykonawcę.

Zaznaczmy, że skala tego zjawiska w Polsce zmusiła Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego do podjęcia niestandardowych kroków. W grudniu 2025 roku ABW uruchomiła na Telegramie specjalnego chatbota o nazwie @ABW_STOPdywersji_bot umożliwiającego szybkie i anonimowe zgłaszanie prób werbunku przez obce służby oraz incydentów sabotażowych.

» 1. Luka odstraszania i wojna kognitywna

Dlaczego Rosja decyduje się na taką formę eskalacji? Działania te wpisują się w szerszą strategię wojny hybrydowej i kognitywnej. Moskwa zdaje sobie sprawę z dysproporcji sił konwencjonalnych między nią a połączonymi siłami NATO. Może jednak wygrać starcie o umysły zachodnich społeczeństw, testując jednocześnie granice cierpliwości i spójności Sojuszu.

Seria niewyjaśnionych pożarów, awarii sieci energetycznych, zakłóceń sygnału nawigacji satelitarnej czy wreszcie wtargnięcia bezzałogowców w przestrzeń powietrzną państw bałtyckich i Polski mają wywołać u przeciętnego Europejczyka poczucie osaczenia. Zgodnie z ocenami ekspertów ataki te mają na celu nie tylko sianie paniki i zakłócanie wsparcia dla Ukrainy, lecz przede wszystkim sprawdzenie gotowości Europy do odpowiedzi.

Zachodni analitycy, tacy jak Julian Pawlak z Niemieckiego Instytutu Spraw Międzynarodowych i Bezpieczeństwa (SWP), zwracają uwagę na zjawisko luki odstraszania. Jest to pusta przestrzeń między obecnym zestawem narzędzi reagowania, jakim dysponuje Europa, a pełną odpowiedzią militarną wobec Rosji. To właśnie powolna i ostrożna reakcja państw europejskich pozwala Rosji na kontynuowanie działań i sprawdzanie, jak daleko może się posunąć.

Widać tu wyraźne różnice w podejściu do zagrożenia. O ile państwa wschodniej flanki domagają się twardych działań, o tyle struktury centralne NATO często tonują nastroje. We wrześniu 2026 roku, po serii incydentów z udziałem rosyjskich dronów i rakiet, sekretarz generalny NATO Mark Rutte apelował o spokój, zapewniając, że Sojusz posiada odpowiednie plany działania, a obywatele państw członkowskich mogą czuć się bezpiecznie. Rutte podkreślał, że rosnąca liczba

eprasa.pl 425d19034c

Europa i NATO wobec zagrożenia rosyjskiego

17 WRZEŚNIA
Waszyngton, USA
prezydent Donald Trump zapowiada działania w kierunku utworzenia stałej bazy US Army w Polsce

18–19 WRZEŚNIA
Ryga, Łotwa
działania w przestrzeni miejskiej i ćwiczenia ewakuacji medycznej

20 WRZEŚNIA
Czechy i Francja
służby obu tych państw ostrzegają przed testowaniem NATO w perspektywie miesięcy

21 WRZEŚNIA
Estonia
gen. John Mead (NATO): „Obrona państw bałtyckich jest już lepiej przygotowana; kluczowe są regularne ćwiczenia i zdolność wykonania planów"

21 WRZEŚNIA
Litwa
ogólnokrajowa dyskusja o planach ewakuacji stolicy państwa

22 WRZEŚNIA
Rovaniemi, Finlandia
próby wytrzymałości schronów, pierwsze tego rodzaju od 1992 roku

incydentów hybrydowych dowodzi słabości Władimira Putina, a najlepszą odpowiedzią jest dalsze dozbrajanie Ukrainy, unikając przy tym bezpośredniego, proporcjonalnego odwetu.

Tymczasem raporty wywiadowcze państw członkowskich są coraz bardziej alarmistyczne. We wrześniu 2026 roku Duńska Służba Wywiadu Wojskowego opublikowała ocenę ryzyka, ostrzegając, że Rosja stała się bardziej skłonna do podejmowania ryzyka i wkrótce zintensyfikuje swoją kampanię hybrydową. Duńczycy przewidują rychłą eskalację zagrożenia, prognozując częstsze ataki o dotkliwszych konsekwencjach, w tym niszczycielskie cyberataki paraliżujące krytyczne funkcje społeczne oraz akty sabotażu niosące ze sobą wysokie ryzyko ofiar w ludziach. I jeszcze jedna prognoza-ostrzeżenie: Moskwa będzie chciała przetestować artykuł 5, kalkulując, że państwa NATO nie zdołają wypracować wspólnej, zdecydowanej odpowiedzi.

O ile jeszcze kilkanaście miesięcy temu w rozważaniach na temat rosyjskiego zagrożenia dla Europy dominowała perspektywa kilkuletnia (mówiono o odbudowie rosyjskiego potencjału w latach 2029–2030), o tyle teraz zachodnio- i środkowoeuropejskie służby wywiadowcze wskazują na najbliższe miesiące. Szef czeskiego kontrwywiadu Bezpečnostní Informační Služba (BIS) Michal Koudelka w głośnym wywiadzie dla „Guardiana" ostrzegł, że Kreml może już niebawem przetestować spójność i determinację NATO. Zaznaczył, że możliwe scenariusze obejmują prowokacje pod „fałszywą flagą", skoordynowane operacje dronowe, a nawet ograniczony terytorialnie incydent militarny na granicy z państwem Sojuszu Północnoatlantyckiego.

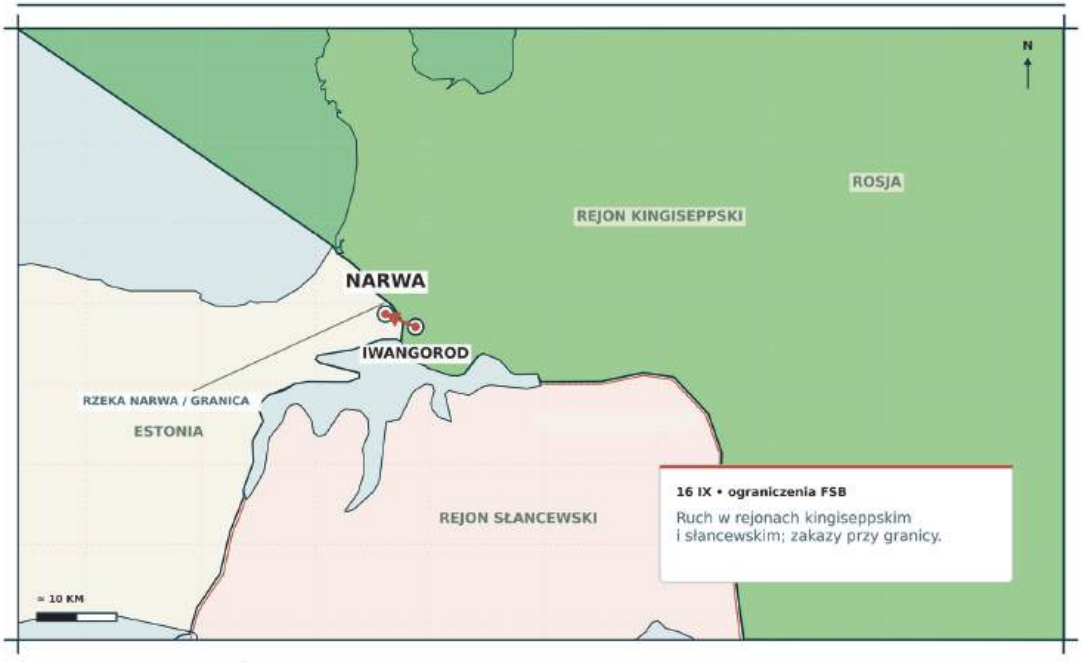
Francuskie służby (kontrwywiad DGSI i wywiad DGSE) przekazały władzom w Paryżu, że zagrożenia polegające na przygotowywaniu

eprasa.pl 425d19034c

ATLAS SYTUACYJNY / PÓŁNOCNO-WSCHODNIA EUROPA 01 / 04

NARWA: TEST NATO BEZ WIELKIEJ INWAZJI?

Scenariusz analityczny ISW / granica Estonii i Rosji



HIPOTEZA ISW / 21 WRZEŚNIA 2026

Analiza dotyczy możliwej, ograniczonej operacji. Nie opisuje dokonanego ataku.

ZAJĘCIE BUDYNKÓW	DRONY Z ROSJI	CEL POLITYCZNY
Agenci i małe oddziały; fikcyjna „republika".	Utrudnienie szybkiego odbicia Narwy.	Wywołanie sporu o reakcję NATO i art. 5.

ILUSTRACJA KRZYSZTOF ŁACHAJ

gruntu pod kryzysy energetyczne czy incydenty związane z portami lotniczymi są „udokumentowane i realne". Zdaniem Normundsa Mežvietsa, dyrektora generalnego łotewskiej Służby Bezpieczeństwa Państwowego (VDD), Moskwa odchodzi od chaotycznych aktów wandalizmu i podpaleń, skłaniając się ku precyzyjnym, celowym uderzeniom zarówno w infrastrukturę transportową – zwłaszcza koleje – oraz logistyczną, jak i w zakłady przemysłu zbrojeniowego istotne dla wspierania Ukrainy. Szef szwedzkiego wywiadu wojskowego (MUST) Thomas Nilsson nazwał obranie taktyki sabotażów z użyciem dronów i materiałów wybuchowych mianem punktu zwrotnego, który lada moment może doprowadzić do ofiar w ludziach na terytorium Sojuszu. Zagrożenie nie ogranicza się przy tym wyłącznie do naszego regionu – norweskie PST (cywilny kontrwywiad) ostrzega przed

eprasa.pl 425d19034c

Europa i NATO wobec zagrożenia rosyjskiego

22 WRZEŚNIA
Litwa
Wilno ogłasza powstanie pancernej stacji elektroenergetycznej w Giżach, odpornej m.in. na ataki uzbrojonych dronów; ma ona zabezpieczać energetycznie Litwę i pozostałe kraje bałtyckie w razie kryzysu; to kluczowy element projektu Harmony Link – planowanego połączenia elektroenergetycznego między Polską a Litwą

23 WRZEŚNIA
Wola Krobowska (woj. mazowieckie), Polska
celowe podpalenie stacji naziemnej Starlinków

23 WRZEŚNIA
Litwa
zapowiedź wznowienia amerykańskich rotacji; na Litwę pod koniec października ma przybyć około tysiąca żołnierzy

23 WRZEŚNIA
Nowy Jork, USA
sekretarz stanu USA Marco Rubio: „Wojna Rosji z Ukrainą może rozszerzyć się wskutek sabotażu, ataku hybrydowego lub nieporozumienia"

uderzeniami w infrastrukturę gazową UE, a Hiszpanie przed bezzałogowcami startującymi z jednostek udających statki handlowe.

Wspólny wniosek płynący z tych ostrzeżeń jest jeden: Rosja dąży do znalezienia „szarych stref" i przetestowania artykułu 5 Traktatu Północnoatlantyckiego. Operując poniżej progu regularnej, wypowiedzianej wojny, Moskwa chce podważyć wiarygodność sojuszniczych gwarancji bezpieczeństwa. Jak dokładnie może wyglądać ta presja na wschodniej flance NATO i na jakie scenariusze w Polsce, krajach bałtyckich i Finlandii musimy być przygotowani?

» 2. Wtargnięcie wojsk i ograniczona operacja zbrojna

Wariant o najokazalszym potencjale destabilizacji globalnego bezpieczeństwa to wykorzystanie przez Moskwę ograniczonych liczebnie, lecz wyspecjalizowanych oddziałów do wtargnięcia i zajęcia przygranicznego terytorium kraju NATO. Wszystko po to, by sprawdzić, czy państwa Sojuszu zdołają uzgodnić zdecydowaną odpowiedź, czy też ugną się pod groźbą możliwej eskalacji.

Właśnie taki rozwój wydarzeń wokół estońskiej Narwy i granicznej rzeki o tej samej nazwie przedstawił 21 września amerykański Instytut Studiów nad Wojną (ISW). Zasadniczym celem rosyjskiej operacji w tym rejonie wcale nie musiałoby być zajęcie całej Estonii: Moskwa miałaby wykorzystać agenturę, drony i środki walki radioelektronicznej do powołania Narwskiej Republiki Ludowej, która stanowiłaby „krymski" precedens na obszarze NATO. Kreml tłumaczyłby taką sytuację koniecznością ochrony obywateli pochodzenia rosyjskiego wobec represji „reżimu w Tallinnie". Choć raport ISW nie był prognozą, a zarysem jednego z potencjalnych scenariuszy, miał pewne oparcie

eprasa.pl 425d19034c

w faktach: 16 września rosyjska FSB wprowadziła restrykcje w przygranicznych rejonach kingiseppskim i słancewskim: zakaz ruchu niedużych jednostek po rzece Narwie, nocne ograniczenia w przemieszczaniu się w pasie pięciokilometrowym oraz zakaz polowań i noszenia broni.

W wypowiedzi dla nas Marek Kohv, szef Programu Bezpieczeństwa i Odporności w Międzynarodowym Centrum Obrony i Bezpieczeństwa (ICDS) w Tallinnie, podkreśla jednak różnice między Estonią a Krymem.

– W 2014 roku granica między Ukrainą a Rosją praktycznie nie istniała. Była bardzo słabo strzeżona. A Estonia stanowi dziś granicę Unii Europejskiej i granicę NATO. Więc jeśli ktoś twierdzi, że rosyjscy żołnierze sił specjalnych mogą przyjechać i przebrać się za cywilów, to się nie wydarzy. Funkcjonariusze rosyjskich sił specjalnych, nawet zakamuflowani, z dużym prawdopodobieństwem zostaną rozpoznani. Musimy też pamiętać o ostatnich wydarzeniach. Unijna agencja Frontex przeniosła swoje centrum operacyjne do Narwy i rozważa również przeniesienie tam centrum szkoleniowego. Oznacza to, że UE ma w naszym kraju jedno ze swoich regionalnych centrów operacyjnych – zaznacza Kohv, który brał udział w misjach zagranicznych w Iraku i Afganistanie i jest absolwentem amerykańskiego John F. Kennedy Special Warfare Center and School, gdzie szkolił się jako oficer operacji psychologicznych.

I dodaje: – Myślę również, że powinniśmy przyjrzeć się rosyjskiej mniejszości, a właściwie rosyjskojęzycznej części społeczeństwa w Narwie i we wschodniej Estonii. Czasami zachodnie media przedstawiają tych ludzi jako piątą kolumnę – jako osoby, które popierają Putina i czekają na jego przyjazd. Ale to nieprawda. Wystarczy spojrzeć na badania prowadzone przez estońskie instytucje rządowe, a także przez estońskie Ministerstwo Obrony, prowadzone już od 2011 roku. Mamy więc punkt odniesienia. Jeśli porównamy postawy Estończyków i osób rosyjskojęzycznych, okazuje się, że nie różnią się one aż tak bardzo. Na przykład 74 proc. osób rosyjskojęzycznych popiera pogląd, że Estonia powinna stawić opór w przypadku zbrojnego ataku. To bardzo wysoki odsetek. Oczywiście jest on niższy niż wśród rodowitych Estończyków, gdzie przekracza 90 proc. Ale to i tak dużo, jeśli porównamy to z Niemcami, gdzie tylko około 20 proc. osób zapytanych w badaniach jest gotowych bronić własnego kraju. Osoby rosyjskojęzyczne zdecydowanie cenią sobie życie w Estonii.

Zupełnie inny charakter ma presja militarna wokół tzw. przesmyku suwalskiego. W połowie września na poligonach w rejonie Brześcia, Różany i – co najważniejsze – w Goży (tuż przy granicy z Litwą) odbyły się tam zresztą intensywne manewry białoruskiego Zachodniego Dowództwa Operacyjnego z udziałem batalionów czołgów i wojsk zmechanizowanych. Realny scenariusz kryzysowy w tym newralgicznym miejscu to utrudnienie łączności lądowej i przerzutu pomocy wojskowej z Polski na Litwę w razie ataku Rosji na kraje bałtyckie.

Artur Płokszto z Litewskiej Akademii Wojskowej, doradca ministra obrony Litwy, wskazuje w rozmowie z nami, że ryzyko ze strony Mińska traktowane jest bardzo poważnie: – Nie jest tak, że jesteśmy absolutnie spokojni i na nic nie reagujemy. Natomiast nasza optyka jest raczej podobna do optyki reszty państw, czyli nie uważamy, że będzie to agresja w postaci kolumn czołgów, wozów pancernych i tak dalej. Oczywiście przygotowujemy się stopniowo do tego, że rosyjskie wojska mogą być w stanie zaatakować również z terenu

eprasa.pl 425d19034c

Białorusi. Ale uważamy, że przygotowanie do tego jeszcze trochę potrwa – podkreśla.

O wrażliwości geograficznej naszego sojuszniczego zaplecza przypomina Māris Andžāns, dyrektor łotewskiego Centrum Studiów Geopolitycznych z siedzibą w Rydze. – Nie jest tajemnicą, że państwa bałtyckie są najwrażliwszym punktem NATO. Jedną z przyczyn jest oczywiście geografia. Mamy Rosję i Białoruś nie tylko na wschodzie, lecz także od południowego zachodu. Mam na myśli Królewiec. Nasz lądowy korytarz z Polską jest więc dość wąski, a siły zbrojne państw bałtyckich należą obiektywnie do jednych z najsłabszych w NATO – przyznaje.

Jak wskazuje Andžāns, Polska odgrywałaby we wsparciu krajów bałtyckich, w razie rosyjskiej napaści, fundamentalną rolę, choćby w neutralizacji zagrożenia związanego z obwodem królewieckim. Dlatego przesmyk suwalski, o którym mówi się już od lat, wciąż ma pierwszorzędne znaczenie, gdy mowa o ewentualnej agresji rosyjsko-białoruskiej.

By zminimalizować te ryzyka, państwa regionu już realizują militarne inwestycje. Na początku września w rejonie miejscowości Balvi (wschodnia Łotwa) ruszyła budowa testowego odcinka Bałtyckiej Linii Obrony. Przygotowanie rowów przeciwczołgowych, przeszkód i tzw. zębów smoka, wycenione na ponad 12 mln euro, ma zostać ukończone jesienią 2027 roku. To działanie długofalowe, zwiększające odporność fizyczną granicy i wyraźny sygnał dla Moskwy, że jakakolwiek operacja lądowa – nawet ta najbardziej ograniczona – nie odbędzie się bez walki.

» 3. Naruszenia przestrzeni powietrznej i wojna elektroniczna

W ostatnich miesiącach polska przestrzeń powietrzna była parokrotnie naruszana przez Rosjan. Ostatni taki przypadek miał miejsce 23 września o godz. 11.08, gdy rosyjski śmigłowiec wojskowy Mi-8 wleciał nad terytorium RP (na północ od Braniewa, tuż przy granicy z obwodem królewieckim) na głębokość 300 metrów i przebywał tam przez 42 sekundy. Według Dowództwa Operacyjnego RSZ „charakter incydentu wskazuje na to, że Rosja po raz kolejny testuje gotowość naszej obrony powietrznej".

Pułkownik Marek Utracki, były wiceszef Służby Kontrwywiadu Wojskowego (SKW), w rozmowie z nami nie ma wątpliwości, że incydenty z udziałem rosyjskich maszyn to element zaplanowanej akcji. – Mamy do czynienia z dalszym ciągiem rosyjskiej operacji wpływu, której celem jest sprawdzenie reakcji politycznych i wojskowych elit odnośnie do ochrony przestrzeni powietrznej państw NATO – ostrzega. Wskazuje przy tym na konieczność zmiany dotychczasowego podejścia i gotowość do stanowczej reakcji: – Co do reakcji, mamy dwie ścieżki do wyboru. Dotychczasową, czyli mówienie o prowokacji, agresywnych działaniach Rosji i poprzestanie na tym. Druga to tzw. ścieżka turecka, związana z tym, jak jesienią 2015 roku Turcja zestrzeliła rosyjski bombowiec, który zignorował ostrzeżenia i wtargnął w jej przestrzeń powietrzną. Uważam, że czas pobłażania wrogowi się skończył.

Do prowokacji z udziałem maszyn załogowych dochodzi rosnące zagrożenie ze strony bezzałogowców. W połowie września na plaży w Rusinowie koło Jarosławca odnaleziono bojowego drona typu Gerbera 2, produkowanego przez Federację Rosyjską. Zneutralizowana głowica zawierała około 4 kg materiału wybuchowego. Jak informował szef MON, statek ten najprawdopodobniej operował wcześniej nad Litwą i Morzem Bałtyckim.

Podobne zdarzenia na Litwie doprowadzają do alarmowania w głębi terytorium kraju.

eprasa.pl 425d19034c



ILUSTRACJA KRZYSZTOF LACHIA

W nocy z 14 na 15 września w miejscowości Pratkūnai zestrzelono uzbrojonego drona, który nadleciał z Białorusi. Ostrzeżenia trafiły m.in. do Wilna, Trok i Kowna. Artur Płokszto, doradca ministra obrony Litwy, podkreśla, że obrona przed tego rodzaju zagrożeniem – stanowiącym w razie wojny śmiertelne niebezpieczeństwo, a obecnie coraz częściej dezorganizującym na przykład ruch lotniczy – stała się priorytetem.

– Kluczowym zadaniem dla nas jest szybkie stworzenie obrony przeciwdronowej, bo głównym zagrożeniem są właśnie drony, również te przypadkowo wlatujące na nasze terytorium. Problemem nie tylko naszym, lecz także całego świata zachodniego, jest bowiem właśnie fakt, że spóźniamy się z opracowaniem technologii pozwalających radzić sobie z dużą ilością tanich bezzałogowców przeciwnika. Pragnę podkreślić, że nie chodzi o brak

eprasa.pl 425d19034c

dronów. To jest brak obrony przeciwko dronom. To nie jest to samo. Bo drony swoje mamy, rozwijamy ich produkcję. Problem polega na tym, że póki co nam jest bardzo trudno obronić się przed dronami wroga.

Zmasowana obecność bezzałogowców paraliżuje także systemy reagowania na Łotwie. Jak relacjonuje Māris Andžāns, ekspert ds. bezpieczeństwa z ośrodka w Rydze, Łotysze mają jeszcze dużo do zrobienia w tej kwestii: – Niedawno ponownie był alarm w Łatgalii. Drony notorycznie spadają lub wlatują na terytorium Łotwy. Jakiś czas temu jeden został zestrzelony przez francuski myśliwiec, innym razem przez włoski. Łotwa nie ma bowiem zdolności do samodzielnego zestrzelenia ani jednego drona.

Część z tych naruszeń przestrzeni powietrznej stanowi „efekt uboczny" prowadzonej przez Kreml wojny radioelektronicznej. Jak ustalił przed kilkunastoma dniami litewski wywiad VSD, Rosja aktywnie wykorzystuje w obwodzie królewieckim sprzęt do zakłócania i fałszowania sygnałów nawigacji satelitarnej, świadomie narażając na ryzyko cywilne lotnictwo i żeglugę państw sąsiednich. Ma to wpływ również na ukraińskie drony wykorzystywane do walki z rosyjskim najeźdźcą. Marek Kohv, estoński ekspert ds. bezpieczeństwa, zwraca uwagę, że zdarza się, iż drony wlatujące nad państwa bałtyckie to maszyny z Ukrainy: – Wiemy już, że niektóre drony, które pojawiały się w przestrzeni powietrznej państw bałtyckich, były w rzeczywistości ukraińskimi dronami lecącymi w kierunku rosyjskiego obwodu leningradzkiego, na przykład w stronę portu Ust-Ługi. Rosja zakłócała ich działanie za pomocą środków walki radioelektronicznej.

Podobne wnioski płyną z Finlandii, gdzie we wrześniu ogłoszono, że cztery drony, które spadły wiosną, miały ukraińskie pochodzenie i zboczyły z kursu m.in. z powodu rosyjskich zakłóceń GNSS.

Scenariusz wydarzeń na kolejne kilkanaście miesięcy zakłada, że Rosja w sposób cyniczny będzie multiplikować tego typu naruszenia – także w Polsce. Powtarzające się wtargnięcia zmuszają NATO do ciągłego alarmowania skupisk ludności i angażowania myśliwców sojuszniczych, przeciążając w ten sposób obronę przed faktycznym, ewentualnym uderzeniem rakietowym na flankę. A jeśli szkody na terytorium RP wyrządzi dron ukraiński, zmylony przez elektronikę białoruską lub rosyjską, wykorzystywane to będzie do walki informacyjnej i propagandy.

» 4. Rakiety i ograniczone uderzenia

Kolejna kategoria zagrożeń to precyzyjne, celowe uderzenia rakietowe, które Moskwa spróbuje przedstawić jako omyłkę. Zasadniczym celem takiego incydentu byłoby zbadanie reakcji militarnej i politycznej członków NATO – i osłabienie wewnętrzne Sojuszu.

Na początku września szef ukraińskiego Głównego Zarządu Wywiadu (HUR) gen. Ołeh Iwaszczenko ogłosił, że Moskwa właśnie poprzez takie działania będzie testować „czerwone linie" Zachodu. Chodzi o zademonstrowanie nieprzygotowania Sojuszu do otwartego starcia oraz wymuszenie ograniczenia pomocy dla walczącej Ukrainy. Generał nie pozostawia złudzeń co do charakteru niedawnych incydentów lotniczych nad terytorium RP: „Można tu wspomnieć o przypadku (...) rosyjskiego pocisku manewrującego Ch-101 w Polsce 30 lipca. Od początku lotu trajektoria rakiety różniła się od grupy pocisków wystrzelonych na terytorium Ukrainy, co świadczy o celowym charakterze tych działań".

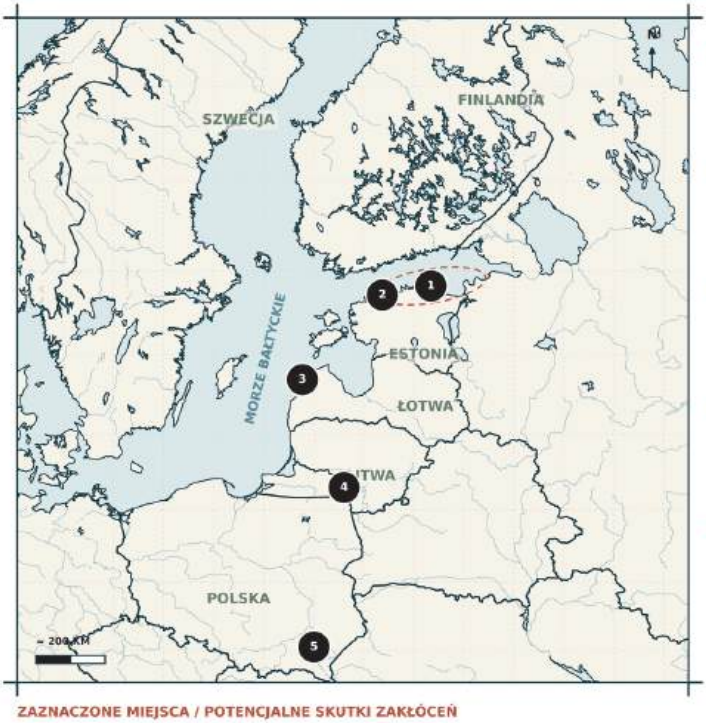
Istotnym elementem rosyjskiej presji militarnej na wschodnią flankę jest instrumentalne wykorzystanie terytorium Białorusi.

eprasa.pl 425d19034c

ATLAS SYTUACYJNY / PÓŁNOCNO-WSCHODNIA EUROPA 03 / 04

SABOTAŻ: PRĄD, ŁĄCZNOŚĆ, PRZEMYSŁ I DOSTAWY

Pięć punktów wrażliwych / Bałtyk i sąsiednie państwa



NAJBARDZIEJ WRAŻLIWE PUNKTY

1 **Zatoka Fińska**
Kable podmorskie i Balticconnector; gazociąg uszkodzony w 2023 r.

2 **Tallinn • Estonia**
Centrum obrony cybernetycznej CCDCOE i sektor nowoczesnej obrony.

3 **Windawa • Łotwa**
Niezamarzający port; transport paliw i logistyka sojusznicza.

4 **Giże • Litwa**
Planowana stacja Harmony Link; obecnie nie jest czynnym węzłem.

5 **Rzeszów-Jasionka • Polska**
Lotnisko i zaplecze kolejowo-drogowe wsparcia Ukrainy.

ZAZNACZONE MIEJSCA / POTENCJALNE SKUTKI ZAKŁÓCEŃ

Mapa wskazuje obiekty i regiony omawiane w scenariuszach zagrożeń; nie oznacza potwierdzonych ataków ani dokładnych tras kabli.

ILUSTRACJA KRZYSZTOF ŁACHAJ

Ukraiński wywiad wskazuje na rozmieszczenie tam pododdziałów rosyjskiej 101. Brygady Rakietowej, uzbrojonych w system Oriesznik – pociski balistyczne średniego zasięgu mogące potencjalnie przenosić głowice jądrowe. Co więcej, Białoruś aktywnie wspiera ataki na zachodnie obwody Ukrainy, co stwarza bezpośrednie ryzyko dla polskiego pogranicza i ruchu transgranicznego. Świadczy o tym m.in. atak drona z 13 września w pobliżu przejścia granicznego Jagodzin–Dorohusk. „Niepokoi nas fakt, że Białoruś otrzymała zezwolenie na umieszczenie na swoim terytorium nadajników sygnałów radiowych, które kierują rosyjskie bezzałogowe statki powietrzne typu »Szahed« na ukraińskie obiekty cywilne i infrastrukturę krytyczną" – zaznacza szef HUR.

Prowokacje rakietowe mogą obnażyć kluczowy punkt zapalny na wschodniej flance: niewystarczającą liczbę nowoczesnych systemów przeciwlotniczych. W niezwykle szczerym i ostrym tonie odniósł się do tego

eprasa.pl 425d19034c

niedawno prezydent Łotwy Edgars Rinkeviczs, oceniając w wywiadzie dla „Guardiana", że europejskie państwa NATO miałyby dziś ogromny problem z odparciem rosyjskiego ataku rakietowego. „Bądźmy szczerzy. Obrona powietrzna, obrona przed dronami i obrona antybalistyczna mają poważne problemy. Ma je Ukraina, ma je cała Europa i NATO" – stwierdził prezydent. Ostrzegł też, że gdyby Moskwa zdecydowała się na wystrzelenie kilku rakiet w kierunku Europy, „dla wielu krajów stanowiłoby to dziś poważne wyzwanie, z którym trudno byłoby sobie poradzić". Zwrócił także uwagę na opóźnienia w dostawach amerykańskich systemów Patriot, dla których wciąż na Starym Kontynencie nie ma realnej alternatywy.

» 5. Sabotaż i cyberataki

Raporty europejskich kontrwywiadów wskazują, że charakter rosyjskich operacji sabotażowych w Europie przechodzi ewolucję. Rosjanie odchodzą od chaotycznych – chciałoby się powiedzieć: losowych – aktów wandalizmu, których celem było jedynie wywołanie paniki i zamieszania. Na celowniku FSB i GRU znalazły się wyselekcjonowane szlaki dostaw, magazyny, łączność, logistyka, energetyka oraz zakłady zbrojeniowe wspierające obronność państw zachodnich i pomoc dla walczącego Kijowa.

Przykładem może być podłożenie ognia w Estonii (w tallińskiej dzielnicy Lasnamäe) pod obiekt spółki Milrem Robotics, produkującej bezzałogowe pojazdy wykorzystywane m.in. na ukraińskim froncie. Śledczy ustalili, że była to zaplanowana, skoordynowana operacja, za którą przypuszczalnie stali Rosjanie. W Polsce także musimy być przygotowani na najgorsze. Po serii potencjalnych aktów terroru na kolei oraz podpaleń budynków handlowych coraz częściej dochodzić może do operacji wymierzonych w jednostki wojskowe, węzły logistyczne (na przykład port lotniczy w Jasionce) i stacje telekomunikacyjne. Dosłownie kilka dni temu, 23 września, doszło do pożaru naziemnej stacji Starlink w Woli Krobowskiej pod Grójcem. Obiekt ten, obsługiwany przez państwową firmę Exatel, jest newralgicznym „hubem internetowym", zapewniającym m.in. bezpieczny przesył sygnału dla Ukrainy.

Na takie złożone kryzysy przygotowują się już Finowie. Na początku września w mieście Kuopio ponad 2 tys. osób wzięły udział w gigantycznych ćwiczeniach obrony cywilnej „Shelter 2026". Scenariusz zakładał paraliż usług poprzez cyberatak i zakłócenie dostaw wody oraz uderzenie rakietowe.

Obszarem wysokiego ryzyka pozostają Morze Bałtyckie i dno Zatoki Fińskiej, gdzie leżą kable telekomunikacyjne i energetyczne. 17 września przeprowadzono wielonarodowe ćwiczenia MARSEC EU26 (z udziałem m.in. polskiej Straży Granicznej), podczas których trenowano przejmowanie ze śmigłowców statków podejrzanych o podwodny sabotaż. Zagrożenie przestało być hipotetyczne na przełomie 2025 i 2026 roku, kiedy to frachtowiec „Fitburg" płynący z Rosji uszkodził dwa kable łączące Finlandię i Estonię. Jak podkreślił kierujący ćwiczeniami komendant fińskiej straży przybrzeżnej Ilja Iljin: „W ciągu ostatnich dwóch lub trzech lat mieliśmy na Bałtyku kilka incydentów związanych z uszkodzeniem kluczowej infrastruktury podwodnej. Musimy więc być gotowi na kolejny taki przypadek". Służby przygotowują się nie tylko na „przypadkowe" uszkodzenia poprzez ciągnięcie po dnie kotwicy (jak w przypadku „Fitburga"), lecz także na sabotaż prowadzony przez nurków, miniaturowe łodzie czy podwodne drony z ładunkami wybuchowymi.

eprasa.pl 425d19034c

ATLAS SYTUACYJNY / PÓŁNOCNO-WSCHODNIA EUROPA 04 / 04

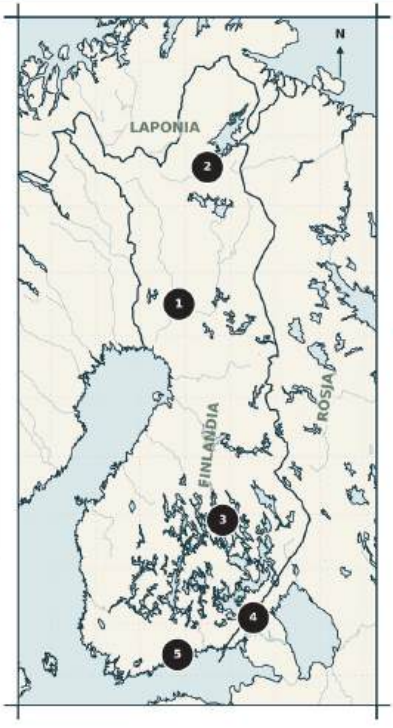
FINLANDIA: NALOT, BLACKOUT I PRESJA GRANICZNA

Przygotowania cywilne i wojskowe / wrzesień 2026

1 Rovaniemi • F-35
Baza Lapland Air Wing; we wrześniu testowano schrony po raz pierwszy od 1992 r.

2 Laponia / Kola
Sąsiedztwo obwodu murmańskiego i baz Floty Północnej; trudne warunki operacyjne w regionie.

3 Kuopio • obrona cywilna
Ćwiczenie Shelter 2026 odbyło się 2–3 IX i objęło ponad 2 tys. uczestników.



4 Wschodnia granica
7 IX zakończono budowę 200 km płotu w WYBRANYCH odcinkach granicy z Rosją.

Zabezpieczenie przed hybrydową agresją, m.in. przy użyciu migrantów

5 Porvoo • wybrzeże
Rafineria i rejon Zatoki Fińskiej. Odnotowywano podejrzenia naruszeń przestrzeni powietrznej; incydenty wymagały weryfikacji.

ROSJANIE ZNÓW NAPADNĄ FINÓW? HELSINKI SZYKUJĄ SIĘ NA NAJGORSZY SCENARIUSZ

Rozmieszczenie oznaczeń jest geograficzne; miejsce symbolu „4" wskazuje kierunek pogranicza, a nie odcinek płotu. Zasięg prowokacji i ryzyk jest w opisie ujęty jako ocena.

ILUSTRACJA KRZYSZTOF ŁACHAI

W ostatnich dniach w Rzeszowie aż roi się od zagranicznych dyplomatów, przedstawicieli służb i wojskowych, pojawili się nawet żołnierze z Hiszpanii. – Port lotniczy w Jasionce i związana z nim infrastruktura to z pewnością jeden z wymarzonych celów dla Rosjan, dlatego w ostatnich tygodniach nastąpiło znaczne wzmocnienie ochrony tego miejsca. Chroni go obecnie około tysiąca wojskowych, w tym 500 Polaków i 300 Holendrów. Inne potencjalne miejsca rosyjskich ataków sabotażowych – wymieniane w nieoficjalnych rozmowach – to Tallinn i Windawa oraz powstająca na Litwie 30 km od granicy z Polską pancerna stacja elektroenergetyczna w Giżach – zdradza nam nieoficjalnie osoba związana z kontrwywiadem. ■

współpraca Konrad Wysocki

eprasa.pl 425d19034c



Jakub Maciejewski



Bizantynizm zrehabilitowany



Zwycięzcy, którzy, jak wiemy, piszą historię, pokonali Bizancjum i dla uzasadnienia swojej niechlubnej destrukcji obrzydzili światu wschodniochrześcijańskie cesarstwo na 800 lat. Ręka w rękę zrobili to zarówno oświeceniowi, jak i katoliccy autorzy. Tymczasem bizantynizm bywa i ważnym dorobkiem chrześcijaństwa, i wyzwaniem, z którym trzeba się zmierzyć. To fascynujące zjawisko.

ILUSTRACJA MARIUSZ TRACIŃSKI/AI

Politycy rzucają określeniem „bizancjum" wobec przerostu biurokracji albo niestosownego przepychu. „Kiedyś symbolem rozpasania – znamy to z historii – było Bizancjum. Przez ostatnie 4 lata PiS w Polsce zbudowało PiS-ancjum – system, w którym rozpasanie władzy, polityków, rządzących sięgnęło zenitu" – mówił w 2019 roku Robert Biedroń. W 2012 roku Jarosław Gowin tak uzasadniał swoją rolę jako ministra sprawiedliwości: „Jak sądy rejonowe mogą funkcjonować sprawnie, skoro połowa sędziów to funkcyjni? Chcę ukrócić to Bizancjum". Ostatnio Paweł Jabłoński nazwał tak realia Ministerstwa Spraw Zagranicznych pod rządami Radosława Sikorskiego: wzrost wydatków, nepotyzm i zajmowanie się sobą – tak zdefiniował resort i potoczne rozumienie bizantynizmu. Nie ma w tym nic złego – weszło to do kultury zachodniej jako synonim takich właśnie negatywnych zjawisk. Wkroczyło tam jednak bezprawnie i bez rzeczowego uzasadnienia.

» Kto cesarstwu przyprawił gębę?

Kampania dyskredytowania Bizancjum zaczęła się z końcem XII wieku, gdy kolejni krzyżowcy, a przede wszystkim wenecka plutokracja uznali, że cesarstwo stoi im na przeszkodzie w wyzwalaniu Ziemi Świętej i robieniu interesów, zamiast im pomagać. Steven Runciman, badacz tych dziejów, twierdzi nawet, że to wtedy tak naprawdę zaczęła się wielka schizma Kościołów wschodniego i zachodniego, a nie w 1054 roku, gdy wyklęto się w kilku dokumentach. Łacinnicy właśnie wtedy zaczęli nazywać Konstantynopol „miastem bezbożnym", a jego mieszkańców „heretykami". Europejskie rycerstwo nie rozumiało też jednej rzeczy, która dopiero dziś znajduje swoich badaczy – zawiłej cesarskiej dyplomacji. Jeśli krzyżowcy gubili się w obietnicach, warunkach i biurokracji

5d19034c

cesarskiej, nazywając całą tę politykę intryganctwem, dzisiejsi historycy, tacy jak Robert Browning, wspomniany Runciman czy Anthony Kaldellis, dostrzegają tam coś zupełnie innego. Gorliwość religijna, a także chłodna kalkulacja władców nakazywały unikać wojny niemal za wszelką cenę – stąd przekupstwa, dyplomacje, skłócanie przeciwników, przekierowywanie ich na inne niż Bizancjum cele. A przecież cesarstwo wschodnie było otoczone ludami koczowniczymi, buntowniczymi albo wrogimi państwami: Gotami, Bułgarami, Słowianami, Awarami, Persami, Arabami i dziesiątkami innych. Dyplomatyczny taniec na linie, rozgrywanie sąsiadów, ich dworskich zależności, emocji, nie-

totalitaryzmu, „nudną i monotonną opowieść o słabości i nędzy". Oświecenie uznało, że Bizancjum było patologiczną teokracją, niszczącą wolność i intelekt, kształtując swoje terytorium na surowy Konstantynopol pozorujący ucywilizowanie i pustkę poza stolicą. „Od czasów Heraklusza teatr bizantyński kurczy się i pogrąża w ciemności [...] imię rzymskie sprowadzone zostaje do wąskiego zakątka Europy, do samotnych przedmieść Konstantynopola [...] Poddani imperium bizantyńskiego, którzy przyjmują i hańbią imiona zarówno Greków, jak i Rzymian, ukazują martwą jednolitość podłych występków, których nie łagodzi słabość człowieczeństwa ani nie ożywia energia pamiętnych zbrodni». Dla

Można by dziś dyskutować, które słabości Bizancjum obecne elity zaszczepiają w patologicznej formie na przykład w Unii Europejskiej.

sprecyzowanych praw pozwalały cesarstwu przetrwać 1000 lat! Dla prostolinijnego rycerstwa z Francji czy Italii, gdzie z przeciwnikiem trzeba się było zmagać z mieczem w ręku, na honorowych zasadach pojedynku, takie reguły gry były haniebne. Dziś jednak możemy z listy bizantyjskich grzechów skreślić intryganctwo, które było po prostu wysoko rozwiniętą i skuteczną dyplomacją.

» Postępowcy i konserwatyści

To, co jednak z pamięcią o Bizancjum zrobił XVIII-wieczny, oświeceniowy, postępowy historyk Edward Gibbon, jest mistrzostwem czarnej propagandy. Obraz cesarstwa narysowany w jego pismach wygląda na ponurą tyranię i mrok

Gibbona piękny i światły był starożytny Rzym, zaś Bizancjum było jego marną agonią. Aż dziw, że przez ponad 100 lat nikt nie zadał pytania, w jaki sposób agonia miałaby trwać dłużej niż samo życie, bo właśnie pełne milenium.

Katolicki historyk Feliks Koneczny, mistrz definiowania cywilizacji, docenił kilka osiągnięć średniowiecznego imperium – zwłaszcza pociąg do wiedzy, ksiąg i mądrości. Opisuje rozwój myśli prawniczej i religijnej, studiowanie Pisma Świętego, rozbudowaną i zawiłą teologię. Zarzuty krakowskiego profesora były inne – imperialność i praworządność Bizancjum ujednolicały całą ludność, która miała być identyczna nad morzem Adriatyckim i taka sama nad Nilem, po prostu chrześcijańscy, płacący podatki poddani

eprasa.pl 425d19034c

cesarza. Ta jednostajność, monochromatyczność polityczna miała zabijać inicjatywę, czynić z ludzkości bezwolne masy. Zdaniem Konecznego pochodziło to z cywilizacji wschodnich. „Od Babilonu i Egiptu spłynęła Idea uniwersalizmu państwowego na późne cesarstwo rzymskie i na bizantyńskie. Wybitnie zaś bizantyński ideał jednostajności i odczuwanie jej tak silne, iż z przekonania używa się przemocy, byle zaprowadzić jednostajność, pochodzi ze starożytnego Iranu". Konieczny zdecydowanie przesadził – powtarzał zdziwienie średniowiecznego rycerstwa wobec rozmachu i zawiłości konstantynopolitańskiej potęgi. Jednostajność, z której robił zarzut, może dziś bardziej kojarzyć się z pojęciem obywatelstwa, ponadetnicznej wspólnoty Romanoi (gr. Rzymian), bez względu na ich pochodzenie, stan społeczny czy nawet wyznanie. To tak jakby robić zarzut z tego, że paszport dostają wszyscy obywatele, a nie któraś z wybranych kast, albo że różne grupy ludnościowe w jednym kraju powinny mieć inne typy dowodów osobistych.

Próby czasu nie wytrzymuje też główny zarzut Konecznego wobec tej cywilizacji – że w polityce pozwalała na cynizm, moralność stosując jedynie w życiu prywatnym. Spojrzawszy na publiczną troskę cesarzy o moralność (szczegółowe edykty dotyczące małżeństw, kościołów, unikanie wojen, teologiczne dysputy), wydaje się, że ta diagnoza autora „O wielości cywilizacji" jest najbardziej chybiona.

» Import najgorszych cech

Na czarny PR Bizancjum może się składać fakt, że dwa wielkie państwa Europy nawiązywały do cesarskiej tradycji, ale w praktyce zaimportowały mechanizmy nieadekwatne do zmieniających się czasów i do innego położenia. Moskwa od XV wieku, gdy na Kreml przyjęto wielu imigrantów ze zdobytego przez Turków Konstantynopola, mieniła się spadkobiercą cesarstwa, trzecim Rzymem, naśladując przepych, poczucie religijnej wyłączności (prawosławie dobre, reszta szatańska), a intryganctwo i „dyplomacja" nie były stosowane zamiast wojen, lecz raczej jako ich ponure drugorzędne narzędzie. Moskwa wchłonęła biurokrację i blichtr urzędników, ale odrzuciła intelektualną otwartość i pokojowe nastawienie do świata.

Pewne elementy bizantynizmu zaadoptowali również Niemcy. Oni także budowali cesarstwo i aspirowali do reprezentowania całej chrześcijańskiej ludności (a potem całej, rzekomo aryjskiej, rasy). Tak jak cesarze z Konstantynopola czuli chrześcijańską misję nawracania świata na wiarę w Jezusa i starali się reprezentować Boga na Ziemi, tak mocarstwa ze stolicami w Akwizgranie, Wiedniu czy Berlinie również przybierały jakieś uniwersalistyczne misje, choć przecież nie tak cywilizowane jak w Bizancjum, lecz z siłowym nawracaniem, unifikacją, a także eksterminacją opornych.

Można by dziś dyskutować, które słabości Bizancjum obecne elity zaszczepiają w patologicznej formie na przykład w Unii Europejskiej. Na ile kasta urzędników, która może i była odpowiedzią na chaos Anatolii, Syrii i Egiptu w VII wieku naszej ery, sprawdza się w dynamicznym kotle europejskich narodów XXI wieku. Można by nazwać farsą to, gdy bizantyjską misję ochrony chrześcijaństwa (w V wieku było to jedyne państwo stosujące właściwe nauczanie Kościoła) zamienia się w misję zbawiania klimatu w brukselskiej wersji. Z drugiej jednak strony sama biurokracja jako koordynator machiny państwowej, coś, co w Europie narodziło się właściwie w XVII wieku, zdała egzamin jako metoda usprawniania życia publicznego. Trudno sobie wyobrazić nowoczesne państwo bez administracji, choć można z tejże administracji zrobić przecież narzędzie ucisku, wyzysku i społecznej apatii. To ostatnie to specjalność samozwańczych spadkobierców Bizancjum, zwłaszcza Moskwy.

eprasa.pl 425d19034c

» Nie tak daleki kuzyn

Zupełne odcięcie Bizancjum od zachodniej tradycji cywilizacyjnej wydaje się więc zbyt surowe i przesadne. Jak dowodzi Runciman, Rzym jako stolica chrześcijaństwa znajdował wiele troski i sympatii dla surowych teologów z Konstantynopola przez blisko 900 lat (330–1204). Mamy więc zatem blisko tysiąc lat wspólnej chrześcijańskiej koegzystencji, co prawda ze sporami, ale niewiększymi niż te, które wobec Rzymu wprowadzały herezje arianizmu, albigensów czy jansenizmu. Bizancjum podtrzymywało instytucje soborów powszechnych, które przecież w zachodniej strukturze nadal są wyznacznikiem rozwoju Kościoła. Kult cesarza jako przedstawiciela Boga na ziemi, władcy, który ma dbać nie tylko o doczesność, lecz także o zbawienie poddanych, został właściwie skopiowany przez monarchów od Atlantyku po Dniepr i królowie Portugalii, Francji, Szwecji czy Rzeczpospolitej – na mniejszą skalę, lecz analogicznie – myśleli w tych ponaddoczesnych kategoriach.

Bizancjum można by więc nazwać kuzynem naszej zachodniej cywilizacji, nieco ekscentrycznym, nie do końca przez nas zrozumianym (z wzajemnością), z którym sprzeczki i utarczki zamieniły się 800 lat temu w ostateczną awanturę. Wtedy właśnie IV krucjata zdobyła ten drugi Rzym, strąciła z tronu cesarza i wprowadziła cesarstwo łacińskie, utrwalając wzajemne antagonizmy. Do dziś istnieje w świecie prawosławnym żal za brutalność tamtych wydarzeń i cios w centrum wschodniochrześcijańskiego świata. To dlatego właśnie papież Jan Paweł II przeprosił za tamtą wyprawę krzyżową, która zresztą uderzyła w Bizancjum nie z powodów cywilizacyjnych, lecz z poduszczenia republiki weneckiej zdeterminowanej, by opanować szlaki handlowe we wschodniej części Morza Śródziemnego.

Nie rzecz w tym, by dziś przesądzać o winie, skoro nieporozumienia na linii Wschód–Zachód były obustronne, a poczucie wyższości wschodnich patriarchatów wobec Rzymu nawet dzisiaj razi swoim paternalizmem i pretensjonalnością. Rzecz w tym, że nawet papież Polak ewidentnie uznał rozliczenie się z IV krucjaty za niezbędny, choć niejedyny warunek do przyszłego pojednania chrześcijan – wielkiej wspólnoty osób wierzących w tego samego Boga.

» Echo XIII wieku

To skądinąd zabawne, że gniew zachodnioeuropejskiego rycerstwa z XIII wieku, wraz z intrygami weneckich kupców i surowością łacińskiego duchowieństwa, zapisał swoją pamięć o niechęci do Bizancjum właśnie w nadaniu temu słowu pejoratywnego wydźwięku. Jakiś przykładowy Lorenzo z Sycylii czy Franciszek z Akwizgranu grabili skarbiec cesarskich ministrów, gardzili zawiłym prawem i ceremoniałem konstantynopolitańskich urzędników i ten gniew przekazali nam w potocznym wyzwisku wobec pysznych i leniwych urzędników.

Nie rzecz w tym, by tamto przysłowie zmieniać – jest ono zapisem i recepcją emocji oraz konfrontacji pomiędzy Rzymem a Konstantynopolem, ale zarazem utrwala w nas wielkie uproszczenie dziejów imperium, które przecież przetrwało 1000 lat.

Jeśli zaś intuicja i mądrość papiestwa okażą się słuszne – a w dłuższej perspektywie zazwyczaj tak bywało – to naszym potomkom przyjdzie się zmierzyć z wyzwaniem zakopywania przepaści, która wyrosła pomiędzy Wschodem a Zachodem. Choć w prawosławiu narosło przecież tak wiele pozabizantyjskich naleciałości, że porozumienie czy nawet wzajemne zrozumienie będzie o wiele bardziej skomplikowane niż dawne konfrontacje z cesarskim dworem w Konstantynopolu. ■

eprasa.pl 425d19034c

Małgorzata Matuszak

Czym jest... granica

Granica kojarzy się przede wszystkim z końcem, z miejscem, w którym coś się urywa i zaczyna coś innego. Wyznacza terytorium, oddziela państwa, miasta, domy i przestrzenie. Mówimy zatem o przekraczaniu granic, ich obronie, naruszaniu albo wyznaczaniu. Granica wydaje się więc przede wszystkim tym, co dzieli. Jednak nie tylko, każda granica jest bowiem również miejscem styku. Dwa państwa mogą graniczyć tylko dlatego, że każde z nich ma własne terytorium. Dwa brzegi rzeki są od siebie oddalone, a przecież razem wyznaczają jej koryto. Granica oddziela wnętrze od zewnętrza, ale zarazem pozwala je rozróżnić. Nie byłoby „mojego" bez „twojego", „tutaj" bez „tam", „ja" bez „ty". Granica nie jest zatem wyłącznie końcem. Jest także początkiem.

Słowo „granica" szczególnie mocno ujawnia się we współczesnym języku również w innym kontekście. Nieustannie zachęca się nas bowiem do przekraczania granic. Mamy wychodzić ze strefy komfortu, pokonywać własne ograniczenia, przesuwać własne możliwości. Przekraczanie granic stało się wręcz synonimem rozwoju. Istotnie, czasem granica, którą uznajemy za nieprzekraczalną, rzeczywiście taką nie jest i przykładając starań, jesteśmy w stanie ją przesunąć, odkrywając, że potrafimy więcej, niż sądziliśmy. Nie zawsze jednak tak jest. Nie każda granica jest przecież wyzwaniem, które należy podjąć. Współczesna kultura chętnie przekonuje, że każdy może osiągnąć wszystko, jeśli wystarczająco mocno tego chce. Obietnica to atrakcyjna, lecz fałszywa. Człowiek nie może wszystkiego. Nie może być wszędzie. Nie może przeżyć wszystkich możliwych żyć. Nie może rozwijać się w każdym kierunku. Nie może cofnąć czasu ani odzyskać tego, co utracił. Nie jesteśmy tacy sami i nie możemy być tacy sami.

Dlatego przekraczanie granic wymaga najpierw ich rozpoznania. Trudno bowiem przekroczyć coś, czego się nie dostrzega, a jeszcze trudniej rozeznać się w tym, czy dana granica jest przeszkodą, którą warto pokonać, czy tez granicą, którą należy przyjąć. Być może dojrzałość nie polega więc wyłącznie na odkrywaniu, jak daleko możemy pójść, lecz także na rozpoznaniu, jak daleko pójść nie możemy.

Istnieje jeszcze inny rodzaj granicy, której nie wyznacza nasze „nie mogę", lecz nasze „nie powinienem". To granica moralna. Jej istota ujawnia się właśnie w różnicy między tym, czego człowiek zrobić nie może, a tym, czego może dokonać, ale nie powinien. Człowiek może bowiem kogoś skrzywdzić, sama możliwość wykonania pewnego działania nie oznacza jednak, że ma do niego prawo. Przeciwnie, tam, gdzie pojawia się możliwość wyboru, pojawia się również odpowiedzialność za wybór. Granica moralna ma więc sens właśnie dlatego, że człowiek jest wolny. Gdyby nie mógł przekroczyć pewnych granic, nie potrzebowałby nakazu, zakazu ani odpowiedzialności. To, że możemy uczynić coś złego, nie oznacza, że wolno nam to zrobić.

Granica oddziela, ale również łączy. Ogranicza, ale też określa. Czasem trzeba ją przesunąć, czasem przekroczyć, czasem bronić, a czasem trzeba się przed nią po prostu zatrzymać. ■

eprasa.pl 425d19034c

Ewa Polak-Pałkiewicz



Mogłoby się to wydawać baśnią odległą i tajemniczą. Rzewną i naiwną. A jednak nasi przodkowie, dawni przywódcy naszego państwa byli szermierzami broni, dzięki której naprawdę zwyciężali. Dziś osobistości polityczne, co do których mamy wciąż nadzieję, że dzięki nim nastąpi odrodzenie Polski, jej nie używają. Jaka to broń? Jacy to przywódcy?

Jak zwyciężaliśmy

To oręże, którego nie posiadają imperia i państwa, które opierają się na najnowszej technologii i na najnowocześniejszych metodach walki – i są akurat naszymi sąsiadami. Z nimi liczy się reszta świata; mają poczucie przewagi i przeświadczenie o nieograniczonych wręcz możliwościach. Mają najlepsze wywiady, wiedzą wszystko o wszystkich. W ukazywaniu siebie jako dobroczyńców ludzkości, siewców pokoju i międzynarodowego braterstwa są prawdziwymi wirtuozami.

Cóż znaczy dla nich taka śmieszna Polska? Średni kraj, o skłóconym społeczeństwie, nienajpotężniejszych zasobach, z kłamliwą i tchórzliwą władzą. To państwo dla nich „przezroczyste", jako przeszkoda wprost idealne. Nietrudno zgadnąć, gdzie nacisnąć, gdzie postraszyć, jak wykorzystać wewnętrzne antagonizmy, jak zepsuć doszczętnie humory jego mieszkańców, by odechciało im się wszystkiego, co może być dla ich planów niekorzystne.

A nade wszystko ten smakowity kąsek do schrupania jest krajem zaskorupiałym w swych religijnych tradycjach. Bywa pocieszny, choć zazwyczaj irytujący. Naprawdę denerwuje. Z tymi swoimi pełnymi kościołami, ciągnącymi się kilometrami pielgrzymkami, „cudownymi" miejscami, niezliczonymi sanktuariami, z Radiem Maryja. Z rodzicami i nauczycielami, którzy upierają się, by ich dzieci uczyły się w szkole religii.

» Memento dla patriotycznej prawicy

Jednak wydawać się dziś może niejednemu katolikowi w Polsce, że ludzie, którzy jeszcze trzy lata temu rządzili z tak wyraźnym powodzeniem naszym krajem, że musieli przez naszych usłużnych sąsiadów zostać wyeliminowani, zamierzają odzyskać władzę, stawiając tylko na horyzontalny wymiar egzystencji człowieka. Przekonują, że trzeba być pragmatycznym. Dbać o właściwe priorytety. O dobrobyt, gospodarkę, interesy naszego państwa. A przede wszystkim o jego rozwój i jeszcze raz rozwój. Nie ma mowy o stagnacji. Cywilizacja współczesna stawia nam wszystkim nowe wyzwania. Nie bójmy się ich.

Wszystko to prawda, ale może to właśnie sprawia, że część polskich katolików ogląda się za postaciami „z innej bajki", które jawią się jako ktoś nowy, kto posługuje się innym językiem. Kto mówi o zagrożeniach cywilizacyjnych, nawet jeżeli robi to w sposób histeryczny. Skoro prawicowi politycy ustąpili pola, to ten ktoś zamierza je wypełnić. Warto zastanowić się, czy ludzie, którzy w tę stronę dziś spoglądają, są tylko pomyleńcami. Nie chodzi tylko o to, co głosi pan z zawołaniem „Szczęść Boże!", a co nawet poważni eksperci kwitują banalną uwagą: „Cóż, taki jest trend w Europie", przywołując przykład AfD i Marie Le Pen. Ten jego radykalizm jest laboratoryjnie spreparowanym zlepkiem najrozmaitszych dziwnych elementów, obliczonych także na zwykłą ignorancję historyczną prostych ludzi, i działać ma silnie na emocje. Ale to tylko sztafaż, głównie chodzi o to, by skrzętnie wykorzystać to, czego nie mówią nasi reprezentanci na prawicy. Zagospodarować ziemię niczyją.

» Z obawy przed prawdą, z lęku przed rozumem

„La politique, d`accord! Mais, premièrement, la maison" (franc. „Polityka, tak. Ale po pierwsze dom") – mawiało się w domach europejskich konserwatystów. Domem Polaków jest ich wiara. O tym się dziś często na prawicy zapomina, ku uciesze naszych wrogów. A przecież nie chodzi wcale o ucieczkę od polityki w dziedzinę konfesyjną.

Czy politykiem par excellence nie był król Jan III Sobieski? Czy nie był nim ojciec Augustyn Kordecki? Czy nie byli nimi: Władysław Jagiełło, Mieszko I, Józef Piłsudski… Ci przywódcy, którzy stali się wielkimi bohaterami naszej historii,

ILUSTRACJA MARIUSZ TKOLIŃSKI/AI

eprasa.pl 425d19034c

uprawiali politykę aż miło. Ale czynili to, nie zapominając o publicznym wyznaniu wiary, oddaniu należnego hołdu Panu Bogu. I dochowaniu Mu wierności. Przed Nim upadali na kolana nie tylko w ciszy swych kaplic czy prywatnych siedzib. Uznanie władzy Boga, także władzy doczesnej, nad sobą i swoim państwem w akcie publicznym nie było tylko przyjętym obyczajem tamtych czasów. Nie było rytuałem obowiązującym rządzących. Było wyrazem suwerenności rozumu, który był wolny. Dlatego nie uznawali wyznawanej wiary – swojej i rodaków – za sprawę prywatną. Dla tych historycznych postaci było czymś oczywistym, że wiara jest potęgą, która spaja ten świat. Jeżeli ktoś uważa, że obecność wiary w prawdziwego Boga jest obojętna dla istnienia jego państwa, jest w błędzie, tak podpowiadał im rozum. Dlatego występowali odważnie przeciw pogaństwu – pierwotnemu i ideologicznemu – oraz agresji potęg reprezentujących fałszywe religie.

Ludzie ci posiadali pewną cechę, której dziś trudno doszukać się nawet u osób znacznego formatu intelektualnego: nie przeceniali własnych talentów ani siły swoich oddziałów, choć potrafili ją prawdziwie po mistrzowsku wykorzystywać. Mieli pokorę. Cnotę, bez której trudno nazwać siebie katolikiem.

„Żołnierze muszą walczyć, ale to Bóg daje zwycięstwo" – mówił Józef Piłsudski w czasie ofensywy polskiej armii, w większości ochotniczej, w 1920 roku. Po zakończeniu wojny z bolszewikami nigdy nie przypisywał sobie tego nieprawdopodobnego wręcz militarnego sukcesu, zwanego w Polsce Cudem nad Wisłą. Tak jak król Jan III Sobieski, który wyznaczył imię Maryi dla odsieczy wiedeńskiej, a po zwycięstwie nad Turkami sparafrazował słynne „Veni, vidi, vici" Juliusza Cesara na „Venimus, vidimus, Deus vicit!" – „Przybyliśmy, zobaczyliśmy, Bóg zwyciężył!". Tak jak ojciec Augustyn Kordecki, przeor Jasnej Góry, dowódca jej obrony, który nosząc na wałach klasztoru cudowny obraz Matki Boskiej, obronił z garstką żołnierzy Rzeczpospolitą przed niewolą i sprotestantyzowaniem przez Szwedów. Nigdy nie przypisywał sobie zwycięstwa, które wtedy ocaliło Rzeczpospolitą.

To byli z krwi i kości politycy. Ale gdy przyszło stanąć oko w oko z wrogiem, wiedzieli, że nigdy nie pójdą na układy z nim, bo ich zadaniem jest obrona wiary, która jest prawdą o Bogu, na której wyrosło i stało się potęgą nasze państwo i cała Europa – i która jest ich fundamentem. To jest sprawa ich honoru i powołania.

» „Marto, Marto, troszczysz się o zbyt wiele…"

Ojciec Maksymilian Kolbe był wcieleniem praktyczności, mistrzem organizacji. Na gołym polu wzniósł klasztor z najnowocześniejszą jak na owe czasy infrastrukturą, pozwalającą w jego murach rozkwitać przedsiębiorczości na rzecz ludzi potrzebujących. W zawrotnym tempie wybudował kolejny klasztor w Japonii, nie mając grosza przy duszy, a wcześniej jeszcze założył w Niepokalanowie drukarnię, uruchomił elektrownię, dalekopis, Radio Niepokalanów, zaczął realizować pomysł telewizji, studia filmowego i lotniska. Pytany, jak to było możliwe, mówił zawsze: „To wszystko przychodzi samo…". Nie bujał w obłokach, był do bólu praktyczny. Właśnie dlatego stawiał na modlitwę.

Gdy Niemcy wdarli się do Polski w 1939 roku, żeby zabijać i rabować, chcieli udowodnić światu swoją wielkość. Uważali, że uczynią to przez unicestwienie „jedynego katolickiego narodu w tej części Europy", jak mówił angielski pisarz Hilaire Belloc, przeświadczony, że wraz z zagładą Polski zginie Europa, wraz z jej ocaleniem i ona ocaleje.

Dobrze byłoby, gdyby nasi prawicowi politycy zwracali się do Polaków własnym głosem. Do rodaków, nie do „wyborców" (co zawsze sugeruje element handlowy). Nie głosem ustawionym

eprasa.pl 425d19034c

pod sondaże, opracowanym przez ekspertów, nie językiem atrakcyjnych programów, obietnic, jak bardzo poprawi się status materialny Polaków, jak stanie na nogi gospodarka. To za mało dla ludzi, którzy widzą dziś, że ich państwo rozpływa się w czymś nieokreślonym, tonie w mętnej brei, rozbierają je na drobne elementy specjaliści od stopniowego demontażu suwerennych państw. Państw, które łączy dziś jedno – są pozbawione moralnego i duchowego kośćca.

Najlepszy program społeczny i ekonomiczny nie wystarczy w czasach tak przełomowych, by ludzie chcieli się z jego głosicielami utożsamiać. Najwyższa pora na publiczne zwrócenie się do Boga, przypomnienie sobie i innym Dziesięciorga Przykazań, z których pierwsze głosi: „Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną". Przyznanie się do wiary. Nie unowocześnionej, rozwodnionej, ułatwionej, która staje się religią człowieka i usprawiedliwia wszystkie po kolei wykroczenia przeciwko Bogu, lecz tradycyjnej.

» Podręczniki historii o tym nie wspominają

Dziś przyjmuje się, że sfery duchowa i polityczna są od siebie definitywnie oddzielone. Łączenie ich jest w złym stylu. Pachnie naftaliną. Sojusz tronu i ołtarza? – żenujące… Przyjmuje się, że politykę można uprawiać, wyłącznie składając atrakcyjne oferty człowiekowi – przed nim de facto padając na kolana. Że polityka może być brudna, byle tylko była skuteczna. Dlaczego jednak nie podkreśla się publicznie – także stronią od tego politycy prawicy– że Polska została wybrana w 1877 roku, w Gietrzwałdzie, jako jeden z zaledwie dwunastu krajów na świecie…

Można by zapytać: z jakiej dziedziny jest wydarzenie, o którym mowa? Politycznej, społecznej, kulturalnej? A może z psychologii? Podręczniki historii o nim nie wspominają. Encyklopedie milczą. Ale fakt jest faktem. Przypieczętowanym przez uroczyste orzeczenie Kościoła. Miało miejsce w Polsce coś nadprzyrodzonego, coś, co zostało zarazem poświadczone przez rzesze świadków, potwierdzone przez wiele nieodgadnionych interwencji, które nastąpiły później. Religia, duchowość, konfesyjność? Gdzie umiejscowić objawienie Maryi, która przyszła z Nieba? Do swoich, by rozmawiać z nimi po polsku, w czasie, gdy Polski na mapach i w żadnym spisie państw w Europie nie było.

» Skąd to zwycięstwo?

Gdy Józef Piłsudski podsumowywał to, co wydarzyło się w Polsce 43 lata po Gietrzwałdzie, w 1920 roku, nie wspominał o własnym geniuszu. „Ja nie wiem, kto zwyciężył…", miał się wyrazić, przynaglany, by wypowiedział swoje zdanie. Zaznaczył w ten sposób, że dotyka tajemnicy. Podobnie, jakby z niedowierzaniem, że mogło zdarzyć się coś tak nieprawdopodobnego, wobec ogromnej przewagi napastnika wypowiadał się w tamtych dniach ks. Józef Meysztowicz, porucznik kawalerii, odznaczony za bohaterstwo Orderem Virtuti Militari, profesor prawa kanonicznego i radca ambasady w Watykanie. „Skąd takie zwycięstwo?" – pytał we wspomnieniach, wciąż zdumiony jego nagłością i rozmiarami. Ale obaj tak naprawdę wiedzieli… Tak jak wiedziała ogromna część Polaków. Piłsudski, przywódca o umyśle agnostyka, stał się człowiekiem wiary. Podkreślał to ojciec Maksymilian Maria Kolbe, który nie wahał się bronić marszałka na łamach „Rycerza Niepokalanej" – po jego śmierci – przed oskarżeniami o ateizm ze strony narodowców.

Tekst podpisany M.K. nosił tytuł „Jak marsz. Piłsudski kochał Niepokalaną"[1]. Warto go przytoczyć.

[1] „Rycerz Niepokalanej", 9 (165), wrzesień 1935, s. 263. (Pisownia oryginalna).

eprasa.pl 425d19034c

„Umilkły już dzwony odprowadzające na Wawel zwłoki pierwszego Marszałka Polski. I serce Jego spoczęło już w ukochanym grodzie Ostrobramskim. […] Zapewne ktoś zbierze rozsiane ułomki różnych piór i skleci z nich historyczną całość życia, śmierci i pożegnania Marszałka. »Rycerz Niepokalanej« pragnie pozbierać z różnych czasopism nieco o Jego miłości ku Niepokalanej.

»Wybitną – mówi 'Przegląd Powszechny' – a bardzo piękną cechą religijności wielkiego Wodza narodu, było to, że w stosunku jego do Boga nic się nie działo na pokaz«; stąd też wielu niedostatecznie Go znało i różnie sądziło. A nawet – pisze dalej tenże »Przegląd« – »pod pozorem obrony wiary nie tylko odmawiano Mu współpracy, ale nieraz i kłody rzucano pod nogi«.

Miłość ku Matce niebieskiej wyssał z piersi ziemskiej swej matki, którą też bardzo miłował, X. St. Szurek w »Gazecie Kościelnej« (Nr. 20) cytuje własne wyznanie Marszałka: »Gdy jestem w rozterce ze sobą, gdy wszyscy są przeciwko mnie, gdy wokoło podnosi się burza oburzenia i zarzutów, gdy okoliczności nawet są pozornie wrogie moim zamiarom, wtedy pytam się siebie samego, jakby Matka kazała mi w tym wypadku postąpić i czynię to, co uważam za Jej prawdopodobne zdanie, za Jej wolę, już nie oglądając się na nic…«.

»Od matki też swojej – pisze dalej X. Sz. – nauczył się kochać wspólną, wszystkich ludzi Matkę, a ukochał ją w postaci Ostrobramskiej Marji Panny«. Cieszył się, »że w czasach, w których wszystko się gięło i upadlało przed rosyjskim ciemiężcą, ten sam, gnębiciel Polski korzyć się musiał przed Ostrobramską Panią i zdejmować musiał nakrycie głowy, kiedy mijał jej rezydencję«.

»Wiadomo było bliskim – mówi 'Przegl. Pow.' – że modli się codziennie przed zawieszonym nad łóżkiem wizerunkiem Ostrobramskiej Pani, który go nigdy nie opuszczał«. Ks. senator Żebrowski opowiadał mi, jak to Marszałek, jako Naczelnik Państwa przyjechał do Wilna i nie chciał położyć się na spoczynek, dopokąd nie znaleziono dla Niego obrazu Matki Bożej Ostrobramskiej i nie umieszczono nad łóżkiem. Toteż po wypadkach majowych ciekawie poszukiwałem fotografji sypialni Marszałka w Belwederze i z radością stwierdziłem, że Pani Ostrobramska rzeczywiście tam króluje.

»Gaz. Kość.« opowiada jeszcze: »Marszałek pragnął jak najprędzej wyzwolić Wilno. A kiedy się tam wybierał z wiosną 1919 r.; to tak powiedział do Bolesława Wieniawy-Długoszewskiego: 'Chłopcze, wiesz pan do czego my się zabieramy? Idziemy na odsiecz Matce Boskiej Ostrobramskiej. To nie fraszki. Na intencję powodzenia naszej wyprawy, postanowiłem nie palić przez trzy dni, a ponieważ *dulce est in dolore socium habere*[2] – przeto przez solidarność ze mną Pan także – mam nadzieję – palić nie będzie'. 'I – mówi dalej Wieniawa – przez trzy dni cierpieliśmy wspólnie, a moje próby obrócenia tej decyzji w żart, spełzły na niczem'«.

»A obecny wojewoda lwowski, Belina-Prażmowski – ciągnie dalej 'Gaz. Kość.' – który wówczas prowadził wojsko do ataku, opowiada, że przed Ostrobramą żołnierze musieli na jego rozkaz zdjąć czapki i tak wroga stamtąd wyparli«.

Ks. J. Rostworowski T.J. opowiada jeszcze w »Przeg. Pow.«, że Marszałek: »przy pierwszej bytności w oswobodzonym Wilnie na klęczkach przeszedł długie schody, wiodące do cudownej kaplicy nad Ostrą Bramą«.

»Głos Karmelu« wspomina: »Po zdobyciu Berdyczowa, dna 23 kwietnia 1920 r. pierwsze Jego kroki skierowały się do kościoła«… »W kościele odsłonięto obraz Matki Boskiej i odmówiono litanję loretańską«.

[2] Łac. „Słodko jest mieć towarzysza w cierpieniu (w bólu)".

eprasa.pl 425d19034c

Obecny Ojciec święty[3] tak opowiada: »Pamiętam, gdy byliśmy razem z Marszałkiem Piłsudskim w Wilnie, nie wiedząc jeszcze, jak Opatrzność pokieruje naszemi krokami. Byłem świadkiem, jak gorąco modlił się Marszałek Piłsudski w Ostrej Bramie przed obrazem Matki Boskiej. Dał w naszej obecności do poświęcenia dwa obrazki Matki Bożej, ażeby później powiesić je nad łóżeczkami najdroższych istot, swoich córeczek«.

»Kiedy w ubiegłym roku – pisze 'Głos Karmelu' – przebywał (Marszałek) na wypoczynku we dworze w Moszczenicy, w powiecie żywieckim, polecił sobie sporządzić fotografję statuy Matki Boskiej w tym dworze przechowywanej, a na odjezdne, opuszczając dwór Moszczenicki i przyjmując wyhaftowany mu przez panią domu obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej, wyrzekł te słowa: 'MATKA NAJŚWIĘTSZA WZIĘŁA NA SIEBIE JAKBY MINISTERJUM DOBROCI, BO KIEDY CZŁOWIEK CHOCIAŻBY NA JEJ OBRAZ TYLKO POPATRZY, TO CZUJE SIĘ LEPSZYM'«.

Teraz może łatwiej także zrozumiemy, dlaczego Matka Boża dała Mu złamać hordy bolszewickie w dzień Swego Wniebowzięcia. Słusznie też dano Mu w zastygłe ręce obrazek ukochanej Królowej Ostrobramskiej, słusznie wyryto ten wizerunek na urnie z Jego sercem, słusznie włożono do trumny ryngraf z Matką Boską Ostrobramską ofiarowany ongiś przez I. p. I. brygady. Niechaj by te kilka kwiatków uszczkniętych z życia Wielkiego Budowniczego Polski pociągnęło swą wonią licznych naśladowców".

» „My naprawdę potrafimy!"

Prawicowi liderzy mówią dziś bez zająknienia: „Ja potrafię, ja wiem… My możemy, my wiemy, damy radę, jesteśmy skuteczni…". Chcą, by zaufać im jako sprawdzonym w osiąganiu celów, wytrawnym graczom, ludziom kompetentnym, ogarniającym wszystkie wyzwania i potrzeby Polaków. „Mamy najlepszy program, mamy ekspertów", „Jesteśmy prawdziwie patriotyczną partią", „Jesteśmy jedynymi, którym możecie powierzyć los Polski".

To prawda. Nie sposób się z tym nie zgodzić… Ale przecież wybierając ten utarty kanon retoryki przedwyborczej, zapewne sami w to nie całkiem wierzą. Wiedzą, że działa tu pewien schemat, który bywa obciążeniem. I widzą, że wciąż przybywa ludzi, którzy nie ufają politykom właśnie dlatego, że obawiają się, iż w ramach gry politycznej powiedzieć mogą wszystko. Trafna diagnoza, celne spostrzeżenie, pociągająca obietnica, nowatorski program zostaną podchwycone – jako jednodniowa sensacja – ale polityk pozostanie tylko człowiekiem. Słabym, omylnym, skłonnym do zmiany zdania, nawet do zdrady, o czym przekonaliśmy się także po rozłamie w Prawie i Sprawiedliwości. Nie dlatego, że jest nieudolny, sprzedajny, zepsuty i ma chore ambicje. Nie ma ludzi ani partii idealnych – choć są ludzie zręczni, prawi, uczciwi, mądrzy, kochający Polskę. Bo nie ma ludzi, którzy mogliby postawić się w miejscu należnym Bogu.

Polacy – a przynajmniej ich znaczna część – chcieliby widzieć w swoich prawicowych przywódcach ludzi walecznych, ale pokornych wobec Stwórcy, spełniających Jego wolę, a nie przedstawicieli establishmentu.

Gdy Marszałek Piłsudski mówił, że „nie wie", kto zwyciężył, chciał zostawić w umysłach Polaków miejsce dla tajemnicy, dla czegoś, co przewyższa intelekt człowieka, przekracza jego najśmielsze wyobrażenia. Wiedział, że zrobiliśmy wszystko, co do nas należało, że wznieśliśmy się na wyżyny bohaterstwa, ale zwyciężyliśmy tylko dzięki woli Boga, dzięki Jego decyzji.

W umysłach elit niepodległej Polski królował jednak pozytywistyczny i naturalistyczny światopogląd i Marszałek nie potrafił jeszcze powiedzieć otwarcie, tak jak król Jan Sobieski: „Bóg zwyciężył!". ■

[3] Achilles Ratti Pius XI, który był nuncjuszem apostolskim w Polsce w latach 1919–1921.

eprasa.pl 425d19034c



Małgorzata Matuszak

Kto trzyma kompas? O nauczycielu, któremu powierzamy szkołę

Jeśli chcemy naprawdę zmieniać szkołę, musimy odpowiedzieć nie tylko na pytanie, dokąd ma ona zmierzać, lecz także komu powierzamy jej prowadzenie.

W ubiegłym miesiącu przyglądaliśmy się już „Kompasowi Jutra" i pytaliśmy o kierunek, w którym ma podążać polska szkoła. Każda reforma edukacji potrzebuje bowiem nie tylko nowych programów, dokumentów i metod, lecz przede wszystkim odpowiedzi na pytanie, dokąd właściwie chcemy prowadzić młodego człowieka. Sam kompas nie wystarczy, jeśli nie wiemy, gdzie znajduje się północ. Jest jednak jeszcze jeden warunek. Nawet najlepszy kompas nie pomoże, jeśli nie ufamy człowiekowi, który ma według niego prowadzić. Tym człowiekiem jest nauczyciel. O szkole nie da się więc mówić, pomijając tego, który każdego dnia staje przed klasą.

» „Boomer" zamiast nauczyciela?

W oficjalnym języku MEN nauczyciele są „sercem polskiej edukacji", a skuteczne wdrożenie Reformy26 – jak podkreśla samo ministerstwo – wymaga współpracy z nauczycielami. W ramach ogólnopolskiej trasy „Kierunek: Kompas Jutra" przedstawiciele MEN i IBE spotkali się z koło 24 tys. nauczycieli. A jednak wystarczy posłuchać, jak o nauczycielach mówi się w przestrzeni publicznej, aby dostrzec pewien osobliwy rozdźwięk. Z jednej strony bowiem nauczyciel ma być najważniejszym ogniwem, z drugiej – coraz częściej staje się jej przedmiotem, kimś, kogo trzeba przeszkolić, zmienić, dostosować wyposażyć w nowe kompetencje. Kimś, kto być może nie nadąża za uczniem.

W sierpniu bieżącego roku, podczas Campusu Polska Przyszłości, Adrian Witczak, poseł i nauczyciel, zapytał, czy nauczyciele nie są trochę „boomerami" i nie nadążają za tym, jak uczą się uczniowie. Katarzyna Lubnauer zgodziła się z tą diagnozą, powołując się na wyniki badań dotyczących stosunku uczniów do szkoły. Można oczywiście dyskutować o tym, jak interpretować te badania. Można również zgodzić się, że nauczyciel powinien znać współczesny świat, rozumieć swoich uczniów i nie pozostawać w tyle za zmianami technologicznymi. Dlaczego jednak tak łatwo uznajemy, że problemem jest nauczyciel, który nie nadąża, a tak rzadko pytamy, co sprawia, że nauczycielowi coraz trudniej dobrze wykonywać swoją pracę?

Słowo „boomer" nie jest przecież neutralnym określeniem człowieka z większym doświadczeniem. Zawiera sugestię, że ktoś jest nieaktualny, nie rozumie współczesności i powinien ustąpić miejsca młodszym. Tymczasem problem polega raczej na tym, że do zawodu nie napływa wystarczająco wielu młodych ludzi. Warto więc zastanowić się nie tylko nad tym, jak dostosować do współczesności nauczycieli z wieloletnim stażem, lecz także dlaczego młodzi nie wybierają nauczycielstwa tak chętnie, jak potrzebowałaby tego szkoła.

To pytanie prowadzi również do kwestii wynagrodzenia, warunków pracy i prestiżu zawodu. Jeśli młody człowiek ma wybór między pracą wymagającą wysokich kwalifikacji, odpowiedzialności za innych i stałej gotowości do uczenia się a innymi możliwościami zawodowymi, sama opowieść o „misji" może nie wystarczyć. Nie można oczekiwać, że pokolenie rozpoczynające karierę zawodową będzie wybierało nauczycielstwo wyłącznie dlatego, że jest to praca potrzebna społecznie. Niezbędne są również warunki, które pozwalają potraktować ją jako poważną drogę zawodową.

Dlatego określenie starszych nauczycieli mianem „boomerów" odwraca uwagę od właściwego problemu. Nie jest nim bowiem to, że doświadczeni nauczyciele jeszcze pracują, lecz to, że bez wystarczającego dopływu

ILU. MARIUSZ TROLIŃSKI/AI

eprasa.pl 425d19034c

nowych osób szkoła coraz bardziej zależna będzie od tych, którzy zostali.

» Nauczyciel nie jest cudotwórcą

Tymczasem współczesny polski nauczyciel coraz częściej otrzymuje zadania wykraczające daleko poza samo nauczanie. Ma przekazywać wiedzę, rozwijać kompetencje, motywować, diagnozować, wychowywać, wspierać, reagować na problemy emocjonalne, współpracować z rodzicami, dokumentować swoją pracę, wypełniać kolejne formularze, uczestniczyć w szkoleniach i realizować następne pomysły reformatorów polskiego szkolnictwa. Ma być nauczycielem, wychowawcą, mediatorem, doradcą, czasem psychologiem czy pedagogiem specjalnym, a niekiedy niemal całodobowym punktem kontaktowym dla rodziców. A kiedy coś nie działa, bardzo łatwo zadać pytanie, dlaczego nauczyciel sobie nie radzi. Znacznie rzadziej pytamy o to, ile właściwie powinien udźwignąć jeden człowiek.

Nie chodzi przy tym o to, aby nauczycieli przedstawiać jako bezradne ofiary systemu. To również byłoby niesprawiedliwe. Są nauczyciele znakomici, są przeciętni, są i tacy, którzy nigdy nie powinni wykonywać tego zawodu, tak jak w każdym innym środowisku zawodowym. Jeśli jednak chcemy poważnie rozmawiać o jakości szkoły, musimy umieć odróżnić odpowiedzialność konkretnego człowieka od odpowiedzialności systemu.

Jeżeli nauczyciel przez kilka godzin dziennie ma uczyć dwudziestu kilku uczniów o bardzo różnych możliwościach, nadrabiać zaległości, reagować na problemy wychowawcze, prowadzić dokumentację i realizować program, to nie można każdej słabości systemu tłumaczyć jego brakiem zaangażowania. MEN nie może powiedzieć nauczycielowi: „Masz wychować i wykształcić kolejne pokolenie", a potem przy każdym problemie odpowiadać: „Widocznie za mało się starasz".

W tym kontekście niepojący jest również sposób, w jaki mówimy o nauczycielskim „powołaniu" i „misji". To piękne słowa. Nauczyciel rzeczywiście może traktować swoją pracę jako coś więcej niż tylko sposób na zarabianie pieniędzy. Może mieć poczucie odpowiedzialności za młodego człowieka i czerpać satysfakcję z tego, że dobrze wykonuje swoją pracę. Jednak misja nie może stać się elegancką nazwą dla obowiązku nieustannego poświęcania się. Paradoksalnie jest też tak, że im bardziej komuś zależy na swojej pracy, tym łatwiej oczekiwać od niego jeszcze więcej. „Przecież to dla dzieci", „Przecież nauczyciel powinien mieć pasję", „Przecież to zawód zaufania" – to wszystko prawda. I właśnie dlatego powinien być traktowany jak zawód wymagający wysokich kompetencji, odpowiedzialności i profesjonalizmu, nie zaś jak posłannictwo, które usprawiedliwia wszystko.

» Kto decyduje, czego warto się uczyć?

W sporze o nauczycieli pojawia się jeszcze jedna rzecz, znacznie głębsza niż niefortunne określenie „boomer". Chodzi o przekonanie, że skoro uczniowie nie chcą się czegoś uczyć, szkoła powinna przede wszystkim zmienić sposób, w jaki uczy. Oczywiście metoda ma znaczenie. Szkoła nie powinna być miejscem bezmyślnego zapamiętywania, a wiedza winna być rozumiana, porządkowana i wykorzystywana. Ale istnieje tutaj pewna granica, której nie wolno przeoczyć. Szkoła nie jest po to, żeby zawsze była ciekawa, ale by człowieka czegoś nauczyć. Oczywiście dobrze, jeśli przy tym potrafi zainteresować, jeśli uczeń chce do niej przychodzić. Edukacja jednak

eprasa.pl 425d19034c

nie może być podporządkowana wyłącznie temu, co uczeń w danym momencie uważa za interesujące i przydatne. Nauczyciel jest zaś kimś, kto wie, czego uczeń jeszcze nie wie, i może mu powiedzieć: „Tego musisz się nauczyć, nawet jeśli jeszcze nie widzisz po co". Nie jest to bynajmniej zaprzeczeniem podmiotowości ucznia, lecz przeciwnie – warunkiem jego rozwoju.

Gdybyśmy uznali, że warto uczyć się tylko tego, co uczeń potrafi dziś wskazać jako potrzebne, musielibyśmy zadać sobie pytanie: kto właściwie ma decydować, czego człowiek będzie potrzebował w przyszłości? Można oczywiście odpowiedzieć, że nie wszystkiego w jednakowym stopniu. Problem jednak w tym, że szkoła nie może ograniczać swojej misji do przygotowania ucznia do zadań, które już dziś potrafimy przewidzieć. Ma przecież przygotować go również do świata, którego jeszcze nie zna, i do ról, których jeszcze nie potrafi sobie wyobrazić. Dlatego nie powinna uczyć wyłącznie tego, co wydaje się uczniowi bezpośrednio użyteczne, lecz także tego, co rozwija jego rozumienie świata, poszerza horyzonty i daje możliwości, których sam jeszcze nie umie dostrzec.

Nie jest to możliwe bez wiedzy, która ma wartość nie tylko wtedy, gdy można ją natychmiast zastosować. Matematyka uczy porządku i rozumowania, literatura – rozumienia ludzkiego doświadczenia, historia pokazuje, że świat, który uznajemy za oczywisty, nigdy taki nie był, nauki przyrodnicze uczą patrzenia na rzeczywistość, której nie można zmienić samą opinią, a sztuka uczy dostrzegać to, czego nie da się sprowadzić do użyteczności. Nie wszystko, co ważne, musi być od razu praktyczne. I właśnie dlatego nauczyciel nie może być jedynie tłumaczem aktualnych zainteresowań ucznia. Czasem jego zadaniem jest otworzenie przed nim drzwi, których uczeń sam nie próbowałby nawet uchylić.

» Kompas nie jest kierownicą

To prowadzi nas z powrotem do „Kompasu Jutra". Ministerstwo słusznie zauważa, że żadna reforma nie powiedzie się bez nauczycieli. Oficjalnie reforma ma zwiększać ich autonomię i wyposażać ich w narzędzia do pracy. Autonomia nauczyciela zaczyna się jednak tam, gdzie uznajemy, że nie jest on jedynie wykonawcą kolejnych odgórnych poleceń. To nauczyciel stoi przed klasą i żaden dokument nie zastąpi tego doświadczenia.

Trzeba zatem postawić pytania. Czy potrzebujemy nauczyciela, który będzie wykonywał kolejne instrukcje, czy takiego, który potrafi samodzielnie myśleć? Czy potrzebujemy kogoś, kto będzie potrafił odpowiedzialnie ocenić, które rozwiązanie rzeczywiście służy jego uczniom, czy kogoś, kto będzie bez końca dostosowywał się do kolejnych reform? Czy chcemy nauczyciela, którego trzeba nieustannie poprawiać, czy takiego, któremu można powierzyć odpowiedzialność?

Nie chodzi o to, aby nauczyciela otoczyć szczególną ochroną przed krytyką. Chodzi o coś bardziej podstawowego: aby krytyka nie zastąpiła zaufania, a kontrola odpowiedzialności. Nauczyciel nie jest nieomylny, jest jednak człowiekiem, któremu powierzamy człowieka. Można zmieniać programy, podręczniki, metody i dokumenty, można tworzyć nowe reformy i nadawać im nowe nazwy. Ostatecznie jednak w klasie nadal pozostaną nauczyciel i uczeń. Jeśli chcemy naprawdę zmieniać szkołę, musimy odpowiedzieć nie tylko na pytanie, dokąd ma ona zmierzać, lecz także komu powierzamy jej prowadzenie. Kompas wskazuje kierunek, ale nie prowadzi przecież za rękę. ■

eprasa.pl 425d19034c



Sprawiedliwość spóźniona o 80 lat. Historia dziadka aktora Macieja Musiała

Piotr Lisiewicz



26 czerwca 2026 roku w opolskim sądzie zapadł wyrok uniewinniający kapitana Mariana Markiewicza, pseudonim Maryl. Sprawiedliwość spóźniła się podwójnie. O prawie 80 lat, bo tyle czasu minęło od haniebnego wyroku skazującego. I o ponad 3 lata, bo „przestępca" zmarł w 2022 roku w wieku 98 lat. „Wczoraj przeglądałem listy, które dziadek pisał z więzienia, i nagle w radiu poleciał utwór »Now we are free« z filmu »Gladiator«, w wolnym tłumaczeniu tytuł znaczy – teraz jesteśmy wolni. To jest ta słynna scena, kiedy, już po śmierci, tytułowy gladiator idzie przez pole i dotyka dłonią łanów zboża. Pomyślałem, że to jest w tym momencie, kiedy po decyzji sądu dziadek stał się wolny" – powiedział po jego uniewinnieniu wnuk, aktor Maciej Musiał.

FOT. WIKIMEDIA

O uniewinnieniu kapitana Mariana Markiewicza poinformowały trzy miesiące temu media, w tym także plotkarskie, z racji na osobę jego popularnego wnuka. Ale jakoś nie wszędzie wystarczyło miejsca na przypomnienie jego mocnego przesłania.

» „Nam z okupantem współpracować nie pasowało"

Kapitan Marian Markiewicz w ostatnich latach życia mówił bardzo mocno o tym, jakie idee były dla niego najważniejsze. Portal Scena Kultury cytował jego bardzo klarowne słowa: „Nasze powstańcze zrywy były niezbędne do tego, żeby stworzyć narodową tożsamość. Nas nikt nie przymuszał do udziału w ruchu oporu, do walki z bronią w ręku. Trzeba było znaleźć dla siebie miejsce.... Nam z okupantem współpracować nie pasowało. Stanie z boku też nam nie pasowało".

Maciej Musiał napisał na Instagramie o tym, jakie konsekwencje dla samego patrioty i dla jego rodziny miała postawa dziadka: „Komunistyczna propaganda zrobiła z niego przestępcę, a on sam spędził w więzieniu 9 lat. Przez dziesiątki lat był uznawany za bandytę. Żył z takim określeniem prawie całe swoje życie".

Co szczególnie mocne, kapitan Markiewicz jako stary konspirator rozumiał, czym jest transformacja komunizmu w system, w którym komunizm niby upadł, z tym że na cztery łapy, dlatego występując po 1989 roku po należne mu uprawnienia kombatanckie, przyznał się tylko do walki z okupantem niemieckim do roku 1945. Gdyż drugi, sowiecki okupant, z którym walczył do aresztowania go w 1947 roku, zachował w III RP ogromne wpływy. „Mój dziadek był żołnierzem niezłomnym. Żołnierzem wyklętym.

eprasa.pl 425d19034c

Po zakończeniu II Wojny Światowej nie złożył broni i walczył z okupującymi Polskę Rosjanami" – napisał w mediach społecznościowych wnuk.

» Ojciec uznany za polskiego szpiega

Marian Markiewicz urodził się 29 marca 1924 roku w Kownie. Gdy miał 4 latka, wraz z rodzicami przeprowadził się do Wilna. Dlaczego? Jak opisuje Katarzyna Maler z Kresowego Serwisu Informacyjnego, zdecydowała polityka: „W październiku 1920 r., gdy Wileńszczyzna została zajęta przez polskie oddziały gen. Lucjana Żeligowskiego, Kowno zaczęło pełnić funkcję stolicy państwa litewskiego. Mieszkała w nim duża liczba Polaków, co nie podobało się władzom Litwy. Bezpieczniej dla ludności polskiej było zamieszkać w granicach Rzeczypospolitej". Dlatego w 1928 roku ojciec Mariana, Edward Markiewicz, próbował nielegalnie przekroczyć granicę państwową, aby udać się do Wilna, w celu znalezienia odpowiedniego mieszkania i pracy. „Został jednak schwytany przez polskich pograniczników i uznany za szpiega. Oczyścili go z podejrzeń i poręczyli za niego: brat babci Edwarda, profesor Władyczko z Uniwersytetu Wileńskiego i znany wileński adwokat Mieczysław Engel" – pisze Maler.

W wyniku tego ojciec został wypuszczony i cała rodzina trafiła do Wilna. Matka Mariana Anna Markiewicz rozdała koweńskim Polakom większość rzeczy, pozostawiając sobie tylko to, co najpotrzebniejsze, i udała się do Wilna z Marianem i jego starszym bratem Henrykiem. Wspominał te czasy pod koniec życia, mówiąc do młodzieży: „Nasze pokolenie było wychowane w rodzinach. W atmosferze patriotyzmu, ciepła, miłości. Szkoła nas również wychowywała patriotycznie. Kościół nas kształtował. My te wszystkie wartości mieliśmy w sobie. Wykonywaliśmy służbę dla ojczyzny, dla narodu. Ale to nie była nasza zasługa, tylko tych, którzy byli przed nami i nas wychowali. Chciałbym tym, którzy są po nas, przekazać to samo. Miejcie marzenia. Walczcie o przyszłość. Dbajcie o państwo polskie".

W Wilnie Marian Markiewicz zaczął uczęszczać do Szkoły Ćwiczeń im. Tomasza Zana przy ul. Ostrobramskiej. „Uczyli go nauczyciele, którzy mieli za sobą służbę wojskową podczas I wojny światowej i wojny z bolszewikami. Wspomina, że w wileńskich szkołach było patriotyczne wychowanie. Pamięta, że jego nauczyciel śpiewu i muzyki Latoszek stracił dłoń, którą odcięto mu szablą na wojnie z bolszewikami" – pisze Maler. „Chłonęliśmy historię, którą opowiadali nam nauczyciele, tworząc patriotyczny klimat" – opowiadał jej Markiewicz. Na defiladach w Wilnie widział marszałka Piłsudskiego.

Na wakacje państwo Markiewiczowie jeździli w pobliże granicy ze Związkiem Sowieckim. Pewnego dnia zbierający grzyby, Marian z bratem zabłądzili w młodniku. „Nagle ujrzeli ludzi w burkach, którzy ich również dostrzegli i zaczęli do chłopców krzyczeć: – Stoj! Stoj! Chłopcy jednak uciekli na posterunek Korpusu Ochrony Pogranicza, którego dowódcą był kapitan Kaiser. Widzieli też, jak przebiega obustronna wymiana osób zatrzymanych na granicy" – pisze Maler.

» 17-latek w niemieckim areszcie

Jak relacjonuje, w 1939 roku odczuwało się już powiew wojny. W domu państwa Markiewiczów słuchano audycji z radioodbiornika o nazwie „Elektryt". Marian wspomniał, że było to bardzo dobre radio. W Głubczycach widział takie tylko u fryzjera

eprasa.pl 425d19034c

Haremzy, który miał swój salon w budynku z wieżyczką na rogu ulic Kochanowskiego i Chrobrego. Przed wybuchem wojny brał udział w ćwiczeniach i szkoleniach, uczył się, jak rozpoznawać szpiegów, jakie podejmować działania na wypadek wybuchu pożaru.

„Pierwsze bomby spadły na sąsiednią dzielnicę. Marian pobiegł tam i zobaczył pierwsze ofiary. Gdy zaczynały się naloty, nie schodził, jak inni, do piwnicy. Na podwórzu był wykopany rów, z którego obserwował bombardowania. Bardzo go martwiły klęski polskiego wojska" – czytamy dalej w Kresowym Serwisie Informacyjnym. 18 września usłyszał, że Sowieci przekroczyli granicę i zbliżają się do Wilna.

Mimo młodego wieku należał do tych nielicznych, którzy próbowali zatrzymać Sowietów zbrojnie. Żołnierze pozwolili 15-letnim chłopcom wziąć karabiny, magazynki i granaty. „Mieli rzucać granatami w czołgi. Czołgi pojawiły się, jednak nie w kolumnie, lecz pojedynczo. Marian wyciągnął zawleczkę i rzucił granat" – pisze Maler. Chłopcy ukryli karabiny, aby wyglądać niewinnie bez broni i w mundurkach gimnazjalnych. Gdy Sowieci chcieli ich zatrzymać, polskie kobiety zaczęły krzyczeć po rosyjsku, żeby zostawili „uczniników" w spokoju. Szarpały ich za karabiny i wygłupieni czerwonoarmiści wypuścili chłopców.

Jako 15-latek w 1939 roku zaangażował się w konspirację w Związku Wolnych Polaków. W wieku 17 lat został aresztowany przez gestapo. „Przez »wsypę« jednego z kolegów spędził 1,5 roku w areszcie gestapo" – pisał Marcin Żukowski w „Nowej Trybunie Opolskiej", bo na Opolszczyźnie osiadł Markiewicz po wojnie.

Po wyjściu na wolność z niewoli niemieckiej został zaprzysiężony w Okręgu Nowogródek Armii Krajowej. Służył w Oddziale II, czyli wywiadzie. W ramach akcji „Burza", w lipcu 1944 roku, wziął udział w wyzwalaniu Wilna, czyli operacji „Ostra Brama". 21 sierpnia 1944 roku walczył w bitwie o Surkonty. W czasie bitwy, wykonując rozkaz majora Macieja Kalenkiewicza, ps. Kotwicz, wyprowadził z obławy grupę żołnierzy.

» Napad dla zdobycia pieniędzy

Po wojnie działał w konspiracji, biorąc udział w akcjach polskiego podziemia niepodległościowego. 1 września 1947 roku został aresztowany przez UB w Stargardzie Szczecińskim podczas akcji zdobywania pieniędzy. Pieniądze miały posłużyć do wyrobienia dokumentów dla zagrożonych aresztowaniem żołnierzy i ewakuowania ich na Zachód.

„W tamtej akcji uczestniczyło czterech akowców. Funkcjonariusz SOK zaczął do nich strzelać. Później była obława, z której dwóch żołnierzy zdołało się wydostać. Wśród nich był Tadeusz Bieńkowicz ps. Rączy, kawaler orderu Virtuti Militari, późniejszy generał. Jeden akowiec zginął. Marian Markiewicz został postrzelony w rękę i aresztowany przez funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa" – pisze Żukowski. Prokurator żądał dla niego kary śmierci. Po brutalnym śledztwie skazany został na 15 lat pozbawienia wolności za działania wrogie ustrojowi.

W Radiu Wnet Markiewicz opowiadał o tym: „Pomyślałem sobie: jak przyznam się do organizacji, to dostanę w łeb, w czapę (śmiech)… Strzelą, zakopią gdziekolwiek i nawet nikt nie będzie wiedział, gdzie jestem pochowany… W końcu nie mogli ze mnie nic wydobyć, wrzucili do piwnicy. Nie wiem, ile tam byłem dni i nocy. Dostałem gangreny, lało się ze mnie wszystko, traciłem przytomność, odzyskiwałem i cały czas

eprasa.pl 425d19034c

myślałem, co teraz może mnie uratować. A postanowiłem żyć… I przeżyłem, ale dostałem 15 lat więzienia. Prokurator żądał kary śmierci. Wyszedłem po siedmiu i pół latach. Siedem i pół lat siedziałem na bloku izolacyjnym, gdzie ani ołówka, ani niczego, cztery ściany i nic".

» Pierwszy założyciel Solidarności

Zwolniony w wyniku amnestii w styczniu 1955 roku, trafił do Głubczyc na Opolszczyźnie. Dzięki znajomym ojca, jeszcze z Wilna, ukończył kurs księgowości we Wrzeszczu w Gdańskim Zjednoczeniu Budownictwa Drobnego. „Niestety przeszłość stale była przeszkodą w stałym zatrudnieniu, dlatego wyjechał na tzw. Ziemie Odzyskane i osiadł z żoną w Głubczycach" – czytamy na stronie Scena Kultury.

Pracował w służbie zdrowia. W 1980 roku był organizatorem pierwszej Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność" w powiecie głubczyckim. Jak do tego doszło? W czasie strajku w Stoczni Gdańskiej był u rodziców w Gdańsku. Zaangażował się w pomoc w dostarczaniu jedzenia strajkującym stoczniowcom. Po podpisaniu Porozumień Sierpniowych poszedł do hotelu obok stoczni, gdzie mieściło się zaimprowizowane biuro Solidarności, i poprosił o informacje oraz dokumenty potrzebne do założenia organizacji związkowej. „Przywiózł instrukcje do Głubczyc i w Szpitalu, razem z lekarzami: Mieczysławem Trefońskim oraz Mieczysławem Madejem zorganizowali Komitet Założycielski NSZZ Solidarność. Była to pierwsza Komisja Zakładowa Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego Solidarność, jaka powstała w powiecie głubczyckim. W wyniku wyborów został przewodniczącym organizacji" – czytamy na portalu Scena Kultury.

» Dom kapitana, czyli reduta polskości

W III RP zajął się krzewieniem patriotyzmu wśród młodzieży. Wiesław Janicki, podharcmistrz Związku Harcerstwa Rzeczypospolitej z Chorągwi Ziemi Opolskiej, mówił w Radiu Opole o tym, jaką rolę odgrywał kapitan Markiewicz w kwestii młodzieży: „Jego dom w centrum Głubczyc dla mnie był taką redutą – powiem górnolotnie – redutą polskości, niepodległości. Tego, czemu był wierny pan Marian całe życie. Hołdował najpiękniejszym wartościom. Jego dom, tak jak powiedziałem, był oazą polskości. Będę myślał o tym, że tam zawsze można było przyjść. Spotkania z panem Marianem nakłaniały do tego, by się krzepić jego postawą i tym, że warto żyć mądrze, warto żyć szlachetnie, warto żyć w sposób prawy".

Katarzyna Ziomko, instruktorka ZHR, odwiedzając Markiewicza pod koniec jego życia, mówiła tam z kolei: „Pan Marian dba, abyśmy nie zapomnieli, co działo się w przeszłości. Chętnie analizuje z nami bieżącą sytuację w kraju i na świecie. Uczy nas szukania prawdy i uczula na kłamstwa. Jest żywym łącznikiem między pokoleniami".

Gdy w 2021 roku polscy żołnierze walczyli z prowokacjami na białoruskiej granicy, 97-letni kapitan Markiewicz nagrał filmik: „Ojczyzny zacząłem bronić, mając 16 lat… Chcę wyrazić swój szacunek, uznanie i zachęcić do służby Ojczyźnie… Dziś już mój wiek i moje zdrowie nie pozwala na to, ale wam składam najlepsze życzenia i podziękowania".

Był mentorem dla wielu środowisk patriotycznych, na Facebooku można odnaleźć filmik, na których reklamuje koncerty nonkonformistycznego barda Andrzeja Kołakowskiego.

Markiewicz wystąpił w filmie dokumentalnym „Cichociemni. Wywalcz wolność lub zgiń", w którym opowiadał o walkach na Nowogródczyźnie. W uczczenie go zaangażowali

eprasa.pl 425d19034c

się także uczestnicy biegu Tropem Wilczym w… Nowej Zelandii. „Urodził się na Kresach, a więc jest bardzo bliski Dzieciom z Pahiatua, które tu jeszcze wśród nas żyją, a są to te dzieci, które z armią Andersa wyszły z Syberii. Nowa Zelandia je przygarnęła" – wyjaśniał Piotr Sawicki, jeden z organizatorów biegu w Nowej Zelandii, na łamach NTO. Honorowy patronat nad wydarzeniem objęła w 2021 roku ambasada RP w Nowej Zelandii. Po biegu uczestnicy podpisali specjalną kartkę z życzeniami dla Mariana Markiewicza.

Co brzmi kuriozalnie, Markiewicz musiał udowodnić w III RP, że za komuny… nie był bandytą z lasu, tylko walczył o niepodległość. A tu na przeszkodzie stały… zeznania z czasów stalinowskich. „Przed stalinowskim sądem Marian Markiewicz celowo unikał przyznania, że był członkiem podziemia niepodległościowego. Trzymał się narracji, że brał udział w zwykłym napadzie rabunkowym, ratując w ten sposób nie tylko siebie, ale też kolegów z AK. Wiedział, że powiedzenie prawdy zapewne skutkowałoby dla niego wyrokiem śmierci" – pisał Marcin Żukowski.

» Odznaczany jako przestępca

„Nigdy nie zabiegał o żadne odznaczenia, bo jak twierdził, jest o wiele więcej osób bardziej zasłużonych od niego, a on robił tylko to, co do niego należało i to, czego wymagał od niego honor" – czytamy na portalu Scena Kultury.

Pamięć o kapitanie Markiewiczu w III RP przywracano stopniowo. Niemniej w końcu spóźnionych orderów się doczekał, jeszcze jako… prawomocny przestępca. Taki paradoks III RP. Został odznaczony: Krzyżem Walecznych, Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, Brązowym Krzyżem Zasługi z Mieczami, Złotym Krzyżem Zasług, Krzyżem Partyzanckim oraz Krzyżem Armii Krajowej.

A za prezydenta Andrzeja Dudy otrzymał… zaległe odznaczenia państwowe za 1944 i 1945 rok. Mocne słowa wypowiedział przy tej okazji opolski wojewoda Adrian Czubak: „W sercach mamy jeszcze setki tysięcy wielkich bohaterów, których znamy z opowieści, z książek, ale nie wiemy do dzisiaj, gdzie zostali złożeni do ziemi przez swoich oprawców. Dopóki będziemy przy władzy, będziemy walczyć o ich dobre imię, o ich godność i oto, aby odnaleźć wszystkich i oddać im cześć".

„Ufam wam, że pokochacie tak naszą Ojczyznę, jak myśmy kochali, i że swoją przyszłość będziecie widzieli w państwie silnym, sprawiedliwym, zapewniającym spokój własnej Ojczyźnie" – mówił sam kapitan Markiewicz podczas uroczystości.

» Piękny widok upadających cegieł

Tak się złożyło, że kilka dni po śmierci „przestępcy" w Głubczycach, gdzie mieszkał on po wojnie, zdemontowano pomnik wdzięczności Armii Czerwonej. Brał w tym udział prezes IPN, przyszły prezydent Karol Nawrocki.

Obalenie pomnika oprawców dziadka skomentował też będący świadkiem jego runięcia Maciej Musiał: „Jestem wzruszony, jestem szczęśliwy. Wierzę, że taki układ wydarzeń pozwolił dziadkowi dziś tutaj być duchowo. Pewnie zabrał ze sobą kilku kolegów… Jestem wdzięczny za całą pracę wykonywaną przez IPN na rzecz usuwania takich obiektów. Jednocześnie jest mi przykro, że dziadek tyle lat tutaj żył i nikt wcześniej się o to skutecznie nie zatroszczył. Zapewne wielu z nas, patrząc dziś na te upadające cegły, miało w głowach myśl, że sami mogliśmy zrobić dla tej sprawy więcej". ■

eprasa.pl 425d19034c









Dariusz Jarosiński



Milenium Chrztu Polski. Walka o rząd dusz

Aresztowany we wrześniu 1953 roku prymas Stefan Wyszyński przebywał początkowo przez kilkanaście dni w Rywałdzie, a później w Stoczku Warmińskim, Prudniku i Komańczy. W Stoczku Warmińskim spędził pierwszy i najtrudniejszy rok pełnego odosobnienia i to tam dokonał aktu osobistego oddania się Matce Bożej. W czasie uwięzienia narodził się też program Wielkiej Nowenny Narodu – dziewięcioletnich przygotowań Polaków do roku milenijnego, który przypadał w 1966 roku.

eprasa.pl 425d19034c

16 maja 1956 roku kardynał Wyszyński stworzył tekst Jasnogórskich Ślubów Narodu Polskiego – zawierzenia narodu Maryi, będących odnowieniem królewskich ślubów lwowskich Jana Kazimierza. Tekst udało się przemycić z Komańczy, został on uroczyście odczytany w obecności licznych wiernych na Jasnej Górze 26 sierpnia 1956 roku. Na pustym fotelu ciągle więzionego prymasa leżały biało-czerwone kwiaty. Kardynał Wyszyński został uwolniony 28 października 1956 roku. Śluby zawierały zobowiązania wiernych do kierowania się w życiu codziennym zasadami moralnymi i pogłębienia życia religijnego. Akt złożenia Ślubów był wstępem do Wielkiej Nowenny Narodu – zaplanowanych przez prymasa przygotowań do uroczystych obchodów Milenium Chrztu Polski.

» „Losy komunizmu rozstrzygną się w Polsce"

Każdy rok z dziewięciu lat Nowenny miał swoje dedykowane hasło, wokół którego organizowane były misje święte, rekolekcje i ślubowania parafialne. Kluczowym elementem spajającym cały przebieg Nowenny była peregrynacja kopii obrazu Matki Bożej Częstochowskiej, która od 1957 roku wędrowała po wszystkich diecezjach i parafiach w Polsce, gromadząc wielotysięczne tłumy wiernych.

Władysław Gomułka, I sekretarz KC PZPR, wyniesiony do władzy na fali tzw. odwilży w październiku 1956 roku, sam więziony w latach stalinizmu, 24 września 1958 roku w rozmowie z Jerzym Zawieyskim, pisarzem, przewodniczącym katolickiego koła poselskiego „Znak", powiedział: „Kościół prowadzi z nami wojnę, ale tej wojny nie wygra. To my ją wygramy. Wyszyński [...] chce mieć rząd dusz. Rząd dusz w tym kraju ma socjalizm. Socjalizm sięga po dusze. Kościół nie ma do tego prawa! Wy mówicie, że idzie wam o Polskę. A tu, panie Zawieyski, idzie o socjalizm, bo nie ma Polski bez socjalizmu. Kto wyraźnie nie opowie się po stronie socjalizmu – ten jest wrogiem ustroju" (słowa te zanotował Zawieyski w „Dziennikach").

Prymas Stefan Wyszyński doskonale zdawał sobie sprawę z tego, z jak zbrodniczym, bezwzględnym przeciwnikiem ma do czynienia, jednak był pełen wiary, że komunizm można pokonać, że system ten jest systemem sezonowym: „Trzeba całą Polskę przeorać kazaniami, misjami i rekolekcjami. Dziewięciolecie przygotowania do Milenium winno całą Polskę przeobrazić wewnętrznie. Losy komunizmu rozstrzygną się w Polsce. Jak Polska się uchrześcijani, stanie się tak wielką siłą moralną, że komunizm sam przez się upadnie. Losy komunizmu rozstrzygną się nie w Rosji, tylko w Polsce, przez jej katolicyzm. Tu leży strach Rosji przed nami. Polska pokaże całemu światu, jak się brać do komunizmu, i cały świat będzie jej wdzięczny za to" – przekonywał 3 sierpnia 1957 roku na spotkaniu w Warszawie prowincjałów kapituły warszawskiej i księży diecezjalnych.

Milenium Chrztu Polski oraz poprzedzająca je Wielka Nowenna Narodu były głęboko przemyślanym programem duszpasterskim kardynała Stefana Wyszyńskiego, który po okresie stalinowskiego terroru ocalił duchową niezależność Polaków i stał się historycznym fundamentem drogi do niepodległości.

Wojna komunistycznego państwa z Kościołem przybierała różne formy, oprócz brutalnych, groźnych sytuacji, zdarzały się też momenty groteskowe. Komuniści nie zdawali sobie sprawy z własnych ograniczeń intelektualnych. Janusz Szpotański przedstawił Gomułkę, nazwanego Gnomem, w operze „Targowica, czyli opera Gnoma", napisanej w roku obchodów milenijnych, jako człowieka

FOT. NAC (4)

eprasa.pl 425d19034c

ogarniętego fobią antyklerykalną, który wszędzie węszy spisek „czarnej reakcji". W twórczości Szpotańskiego prymas pojawia się jako Kardynał, jest on głównym antagonistą Gnoma. Szpotański z ironią i humorem opisał starcie tych dwóch silnych osobowości PRL-u. Podczas gdy Gnom miotał się, krzyczał i używał aparatu represji, Kardynał zachowywał stoicki spokój i godność, co doprowadzało jego oponenta do jeszcze większej wściekłości. Szpotański pokazywał, jak gigantyczne siły i środki aparat państwowy marnował na inwigilowanie parafii, podsłuchiwanie kazań, konfiskowanie materiałów religijnych czy utrudnianie procesji.

» My chcemy Boga

W styczniu 1966 roku władze PRL proklamowały konkurencyjne wobec kościelnego milenium obchody Tysiąclecia Państwa Polskiego. Zenon Kliszko, prawa ręka Gomułki, szef Komisji PZPR do spraw Kleru, w lutym 1966 roku podobnie diagnozował problem jak jego pryncypał: „Problem przedstawia się następująco: rozpoczęła się w nowych warunkach walka o to, kto ma kierować narodem, kto ma sprawować »rząd dusz« w narodzie. Do tej walki trzeba się odpowiednio przygotować. Cała nasza praca polityczna i publicystyczna powinna brać to pod uwagę".

Obchody Milenium Chrztu Polski kardynał Wyszyński rozpoczął w Gnieźnie i Poznaniu, kolebkach państwa polskiego, w kwietniu 1966 roku, a następnie do lipca 1967 roku uczestniczył w uroczystościach milenijnych we wszystkich diecezjach Polski.

W tym samym czasie, gdy w poznańskiej katedrze odbywały się uroczystości religijne, na Placu Mickiewicza zorganizowano gigantyczny przymusowy wiec państwowy. Głównym mówcą był sam I sekretarz KC PZPR Władysław Gomułka, który w swoim przemówieniu brutalnie zaatakował prymasa: „Ten wojujący z naszym państwem ludowym nieodpowiedzialny pasterz pasterzy, który głosi, że nie będzie się korzył przed polską racją stanu, stawia swoje urojone pretensje do zwierzchnictwa duchowego nad narodem polskim wyżej niż niepodległość Polski. […] Jakież to musi być zaślepienie tegoż kierownika Episkopatu Polskiego i jego popleczników, lansujących pokraczną, antynarodową ideę »przedmurza«, której treść polityczna w naszych czasach sprowadza się do skłócenia narodu polskiego z narodem radzieckim […], do nowej katastrofy Polski". Komuniści zamontowali na trasie przejścia procesji potężne głośniki, z których na pełny regulator puszczano muzykę jazzową i przemówienia partyjne, aby zagłuszyć śpiewy wiernych. 17 kwietnia, po zakończeniu mszy świętej, tysiące ludzi uformowały spontaniczny pochód poparcia dla Kościoła. Tłum ruszył pod rezydencję arcybiskupią, skandując: „Chcemy prymasa!", „Wyszyński!". Milicja i ZOMO zablokowały ulice. Doszło do gwałtownych szarpanin, bicia pałkami i rozpędzania demonstrantów. Zatrzymano kilkadziesiąt osób.

Kulminacją obchodów Milenium Chrztu Polski były uroczystości na Jasnej Górze 3 maja 1966 roku, podczas których kardynał Wyszyński odczytał Akt oddania Polski w macierzyńską Niewolę Maryi, Matki Kościoła za wolność Kościoła Chrystusowego. Komuniści nie wyrazili zgody na przyjazd papieża Pawła VI do Polski, więc w czasie sumy jasnogórskiej stał symboliczny pusty fotel pontyfikalny. Mimo gróźb i utrudnień, na Jasnej Górze 3 maja 1966 roku zgromadziło się około miliona wiernych. Ludzie szli pieszo dziesiątki kilometrów, ponieważ władze uniemożliwiły przemieszczanie się autobusami.

W kilkudziesięciu masowych uroczystościach religijnych wzięły udział miliony

eprasa.pl 425d19034c

Polaków, co pokazało ogromne poparcie narodu dla Kościoła katolickiego, prymasa, tradycji katolickiej. Próby wyparcia religii z przestrzeni publicznej przez komunistów kończyły się fiaskiem i osłabiały pozycję komunistów.

Władze PRL rzuciły duże zasoby finansowe i organizacyjne, aby storpedować kościelne milenium. Organizowano atrakcyjne wydarzenia świeckie dokładnie w tych samych dniach i godzinach, w których odbywały się nabożeństwa. Gdy 16 kwietnia 1966 roku w poznańskiej katedrze prymas Wyszyński odprawiał uroczystą mszę świętą, na pobliskim stadionie władze zorganizowały darmowy mecz piłki nożnej Polska–NRD. Jednak tysiące wiernych i tak wybrały obecność w kościele lub zgromadziły się wokół niego.

Władze robiły wszystko, by zniechęcić mieszkańców do udziału w uroczystościach – organizowano masowe, przymusowe wycieczki dla szkół i zakładów pracy, wypłacano dodatki za nadgodziny, a w telewizji emitowano atrakcyjne zachodnie filmy. W miastach, do których zbliżały się uroczystości religijne, nagle otwierano darmowe kina plenerowe, organizowano występy popularnych zespołów bigbitowych, darmowe loterie fantowe, w sklepach można było kupić deficytowe towary, na przykład pomarańcze czy lepsze gatunki wędlin. Gomułka rzucił słynne hasło: „Tysiąc szkół na Tysiąclecie Państwa Polskiego". Budowa nowoczesnych placówek oświatowych, oczywiście potrzebna, miała udowodnić, że to socjalistyczne państwo dba o przyszłość młodego pokolenia, odciągając je od religii. 22 lipca 1966 roku odbyła się Defilada Tysiąclecia – była to największa parada wojskowa w historii Polski Ludowej, zorganizowana w Warszawie. Nad miastem przeleciały formacje samolotów układające się w kształt orła i liczby „1000", a ulicami maszerowali rekonstruktorzy w strojach od wojów Mieszka I po współczesnych żołnierzy. Chodziło o ostateczne przykrycie symboliki chrztu narracją militarno-państwową.

» ZOMO przeciwko modlącym się Polakom

Reakcją komunistów na wydarzenia związane z Milenium Chrztu Polski stały się w wielu miastach prowokacje ze strony Służby Bezpieczeństwa. Konfrontacyjny charakter obchodów milenijnych ujawnił się m.in. 8 maja 1966 roku w Krakowie. Równolegle do mszy świętej odprawianej przez prymasa Wyszyńskiego w Kościele Mariackim, na płycie Rynku Głównego władze zorganizowały wiec państwowy, podczas którego premier Józef Cyrankiewicz ostro atakował polski Episkopat. Wieczorem, po zakończeniu uroczystości kościelnych i tradycyjnej procesji na Skałkę, na Rynku Głównym uformowała się niezależna manifestacja. Zgromadzeni ludzie zaczęli wznosić okrzyki w obronie Kościoła i więzionego przez władze obrazu Matki Bożej Częstochowskiej. Komunistyczne oddziały milicji oraz ZOMO (Zmotoryzowane Oddziały Milicji Obywatelskiej) brutalnie wkroczyły do akcji, używając siły do rozproszenia manifestantów. Aby utrudnić przebieg uroczystości i demonstracji, władze komunistyczne wyłączyły latarnie uliczne na trasie wieczornej procesji.

Do poważnych zamieszek z użyciem ponadstuosobowego oddziału ZOMO doszło 29 maja w Gdańsku. W opinii komunistów to słowa prymasa wypowiedziane w kazaniu miały wywrzeć silne wrażenie na gdańskiej młodzieży i podburzyć ją do manifestacji. Prymas mówił o wszechobecnej propagandzie i kłamstwie: „Czy pójdziemy za Bogiem, czy za Baalem; czy zaufamy miłości, czy nienawiści; czy umiłujemy prawdę i będziemy żyć duchem prawdy, czy też zaufamy sprytowi, taktyce, dyplomacji, wykrętom, propagandzie i tym wszystkim bezecnym terminom, nadużywanym kosztem

eprasa.pl 425d19034c

godności osoby ludzkiej". Aby sprowokować wiernych wychodzących z niedzielnej mszy świętej w Bazylice Mariackiej, komuniści ustawili na ówczesnym Placu Gorkiego instalacje propagandowe w formie wielkich tablic zawieszonych na metalowych rusztowaniach. Uzbrojeni po zęby zomowcy czekali na odpowiedni moment, aby zaatakować młodzież niszczącą plansze z obraźliwymi, antychrześcijańskimi hasłami. Zatrzymano kilkadziesiąt osób, również przypadkowych, z których ponad 20 aresztowano. Kilka dni później w trybie ekspresowym (bez udziału prokuratora i adwokatów, z funkcjonariuszem jako oskarżycielem i bez prawa do obrońców) sąd skazał 10 osób na kary od 3 do 6 miesięcy więzienia. Siedem dalszych osób ukarały kolegia karno-administracyjne wysokimi grzywnami, a jedna otrzymała karę 2 miesięcy aresztu. O zamieszkach w Gdańsku informowały Radio Wolna Europa i media zagraniczne.

W Warszawie uroczystości milenijne trwały od 21 do 26 czerwca. 24 czerwca po uroczystej mszy świętej w Kościele św. Anny w Warszawie biskupi z kardynałem Stefanem Wyszyńskim na czele zostali otoczeni przez milicję oraz zorganizowane przez PZPR bojówki aktywistów partyjnych. Komunistyczni demonstranci wznosili wrogie okrzyki pod adresem hierarchów, m.in.: „Biskupi precz od polityki!", a pod adresem prymasa partyjna bojówka wrzeszczała: „Baranie, ty baranie!". 26 czerwca 1966 roku, na zakończenie stołecznych uroczystości milenijnych, bojówki aktywistów zamknęły wiernym dostęp do Katedry św. Jana, aby nie mogli oni wziąć udziału w uroczystościach milenijnych. Milicja ścisłym kordonem otoczyła całe Stare Miasto. Zgromadzony tłum, wspomagany m.in. przez studentów, zaczął skandować hasła antykomunistyczne i ruszył w kierunku gmachu Komitetu Centralnego PZPR. Oddziały milicji użyły siły fizycznej i pałek do brutalnego rozproszenia demonstrantów. Starcia trwały około dwóch godzin, a milicjanci aresztowali na miejscu co najmniej 46 osób – uczestników pochodu poparcia dla prymasa i biskupów.

Wydarzenia w Warszawie były kulminacją milenijnej konfrontacji. Sytuacja była tak napięta, że w kręgach władzy rozważano, w jaki sposób pozbawić prymasa godności i uchwalić nowy dekret o obsadzie stanowisk kościelnych na wzór dokumentu z 9 lutego 1953 roku. Prymas Wyszyński w liście do premiera Józefa Cyrankiewicza w sierpniu 1966 roku protestował przeciwko zakłócaniu kościelnych uroczystości milenijnych. Pisał w imieniu Episkopatu o prowokacyjnym postępowaniu państwa wobec uczestników tych uroczystości, dyskryminowaniu Kościoła, szykanowaniu wiernych, gwałceniu ich uczuć religijnych. „Stosunek do uroczystości milenijnych ujawnił całą prawdę o postępowaniu państwa wobec Kościoła w naszej rzeczywistości" – pisał prymas.

Nie można nie wspomnieć o wydarzeniach, które miały miejsce w maju 1967 roku w Sosnowcu. Komuniści uznali, że obchody w ich mieście, „czerwonym Sosnowcu", są „prowokacyjną manifestacją polityczną", zwłaszcza z uwagi na obecność w uroczystości prymasa Wyszyńskiego i arcybiskupa Karola Wojtyły. W nocy z 20 na 21 maja bezpieka oplotła i spięła grubymi łańcuchami bramę wejściową prowadzącą na teren kościoła, aby sparaliżować uroczystości Milenium Chrztu Polski. „W czasie uroczystej procesji oraz powitania Prymasa i biskupów przez wiernych [...] przez cały czas [...] rozlegały się gwizdy i krzyki: »Precz z Prymasem Wyszyńskim!«. Chóralnie skandowano: »Precz! Precz!«„ – wspominał ks. Mariusz Trąba. Od obchodów milenijnych próbowano również odciągnąć dzieci i młodzież. Na miejskim Stadionie Ludowym

eprasa.pl 425d19034c

zorganizowano imprezę „Czterej pancerni i pies" z udziałem twórców i aktorów popularnego serialu. Udział w niej był obowiązkowy. Młodzież szkół średnich zobowiązano do udziału w koncercie zespołu Czerwone Gitary. Za zbojkotowanie tego wydarzenia i pójście na uroczystości religijne groziło uczniom usunięcie ze szkoły.

» Aresztowanie obrazu Matki Bożej Częstochowskiej

Jak zostało wspomniane, centralnym punktem uroczystości milenijnych była poświęcona przez papieża Pawła VI kopia obrazu Matki Bożej Częstochowskiej, którą przewożono z miasta do miasta. 5 czerwca w Lublinie, podczas procesji, milicja zatrzymała kościelną półciężarówkę z obrazem i po przykryciu go brezentową płachtą wywiozła z miasta. Sytuacja powtórzyła się w połowie czerwca, kiedy samochód z obrazem jadący na uroczystości do Olsztyna został zatrzymany przez patrol MO na trasie między Nidzicą i Olsztynkiem, a następnie odholowany do Fromborka.

20 czerwca 1966 roku obraz wyruszył z Fromborka do Warszawy na uroczystości milenijne. Jechał w samochodzie-kaplicy, a tuż za nim samochód prymasa Stefana Wyszyńskiego. Pod Liksajnami, na drodze między Pasłękiem a Ostródą, milicja zatrzymała obie kolumny. Mimo protestów prymasa samochód z obrazem odebrano i pod eskortą odwieziono do Warszawy.

Obraz trafił do Archikatedry św. Jana. Nie było tam jeszcze przygotowanego miejsca, więc ustawiono go w zakrystii, w oknie wychodzącym na ulicę. Okno było zakratowane. Wierni przychodzili pod zakratowane okno, klękali na chodniku i zostawiali kwiaty.

Obchody milenijne w stolicy, zamykające cykl uroczystości kościelnych, odbywały się bez obrazu, który zastąpiły symboliczne ramy wypełnione kwiatami. Po brutalnych zamieszkach w Warszawie 24 i 26 czerwca 1966 roku władze komunistyczne postanowiły całkowicie uniemożliwić dalszą peregrynację obrazu po kraju. We wrześniu 1966 roku, podczas przewożenia kopii obrazu z Warszawy do Katowic, samochód-kaplica został zatrzymany na drodze przez uzbrojone oddziały milicji. Funkcjonariusze sterroryzowali kierowcę i siłą eskortowali obraz bezpośrednio do klasztoru na Jasnej Górze. Tam wydano państwowy nakaz uwięzienia wizerunku – milicja i SB postawiły wokół klasztoru całodobowe posterunki, rewidując każdy wyjeżdżający pojazd, aby zakonnicy nie wywieźli obrazu. Kościół nie przerwał jednak peregrynacji. Decyzją prymasa Wyszyńskiego po polskich parafiach zaczęły krążyć same puste ramy, paschał i księga Ewangelii. Ten widok wywierał na wiernych jeszcze większe wrażenie religijne i polityczne niż sam obraz – puste ramy stały się dla milionów Polaków potężnym wizualnym symbolem zniewolenia narodu i bezduszności komunistów.

Zdaniem ks. Bogdana Bartołda, proboszcza Katedry św. Jana Chrzciciela w Warszawie, komuniści zaaresztowali obraz, ponieważ nie mogli drugi raz aresztować prymasa.

Obraz pozostawał uwięziony przez niemal sześć lat. W czerwcu 1972 roku grupa odważnych duchownych – za wiedzą kardynała Wyszyńskiego – dokonała spektakularnej akcji. Ksiądz Józef Wójcik, młody wikariusz z Radomia, zmylił czujność SB i potajemnie wykradł kopię obrazu z zamkniętej kaplicy na Jasnej Górze. W akcji pomagały mu siostry służebniczki i ks. Roman Siudek. Ksiądz Józef Wójcik był jednym z najbardziej nieugiętych duchownych w PRL. Łącznie w swoim życiu usłyszał 18 wyroków sądowych i dziewięć razy trafiał do więzienia. ■

eprasa.pl 425d19034c



Agnieszka Kowalczyk

OSIEMSET LAT ZE ŚWIĘTYM FRANCISZKIEM Z ASYŻU

Głoszący radość życia wierny uczeń Chrystusa, nędzarz z wyboru, mistyk i stygmatyk, orędownik pokoju i powszechnego braterstwa, misjonarz, który nie bał się głosić Ewangelii samemu sułtanowi Egiptu… Od śmierci św. Franciszka z Asyżu mija w październiku bieżącego roku równe 800 lat, a on wciąż jest wśród nas. Jego filozofia, postawa życiowa, głęboka wiara nie straciły nic ze swej aktualności w epoce wojen, strachu i kryzysu duchowego, w których obecnie pogrąża się Europa, odchodząc coraz bardziej od fundamentalnych wartości chrześcijańskich.

Jego rodzinną ziemią była włoska Umbria, kraina surowych szczytów i potoków spływających w głąb górskich gardzieli, zielonych dąbrów, oliwek i winnic „ciągnących się girlandami wzdłuż morw i pęków czarnych cyprysów czuwających u wezgłowia kaplic". Tam właśnie, na zboczu góry Subasio, rozsiadł się Asyż ze swą katedrą św. Rufina, pałacem biskupim i starymi domkami odcinającymi się różową barwą kamienia. I tam prawdopodobnie 24 czerwca 1182 roku przyszedł na świat Franciszek, syn zamożnego kupca sukiennego Pietro Bernardone i pobożnej Giovanny.

» Marzył o rycerskiej sławie

Z czasem wyrósł na czarującego młodzieńca, który rozkochany w poezji trubadurów marzył o rycerskiej sławie. Ujmował swą elegancją i gracją, paradując ulicami Asyżu w modnym aksamitnym kaftanie, żółtych jedwabnych pończochach, czerwonych butach z długimi nosami oraz zdobnym w pióra kapeluszu. Dźwiękami swej lutni zdobywał serca asyskich panien, był duszą towarzystwa podczas uczt i zabaw złotej młodzieży Asyża. Jednocześnie był wrażliwy na los nędzarzy, których wspierał hojną jałmużną. Gdy pewnego dnia w sklepie Bernardonów pojawił się żebrzący kaleka, a nie doczekawszy się wsparcia ze strony zajętego interesami Franciszka, wyszedł zawiedziony, ten rzucił wszystko i wybiegł za nim na ulicę. Dogoniwszy nędzarza, uklęknął przed nim, prosząc o przebaczenie, i ofiarował mu sakiewkę pełną florenckich guldenów.

Gdy w 1202 roku wybuchła bratobójcza wojna między Asyżem a sąsiednią Perugią, Franciszek wyruszył na nią we wspaniałej zbroi wraz z kompanią kopijników. W listopadzie wziął udział w krwawej bitwie na wzgórzu Collestrada w okolicach Treve. Wtedy też oddziały asyskie wpadły w zasadzkę i zostały rozbite, a młody Bernardone trafił do niewoli. Po rocznym pobycie w ciężkich więziennych warunkach wyczerpany i poważnie chory powrócił do rodzinnego domu, gdzie przez długi czas dochodził do zdrowia.

Trudne doświadczenia wojny i niewoli zmieniły go wewnętrznie – narastała w nim niechęć do dawnego beztroskiego życia, ale wciąż jeszcze pragnął zostać walecznym rycerzem, co podsycała „sława francuskiego kapitana Gualtiero di Brienne, który zasłynął w obronie Kościoła i cesarstwa. By spotkać się z nim i oddać pod jego komendę, Franciszek udał się do Spoleto" – pisze jego biograf Piotr Słabek. Przed wyruszeniem w drogę wraz z dwudziestoma innymi ochotnikami miał spędzić noc w gospodzie. Sen nie przychodził, a z minuty na minutę rósł w nim wewnętrzny niepokój potęgowany bolesnymi wspomnieniami z Perugii. Postanowił się pomodlić i właśnie wtedy usłyszał głos Boga: „Wróć do Asyżu. To nie jest twoja droga". Posłuchał i wrócił do domu, choć nazwany został tchórzem i uciekinierem, a w rodzinnym mieście spotkał się z pogardą. Zachodziła w nim jakaś duchowa przemiana i odkrywał w sobie nowe powołanie, które nakazało mu udać się do Rzymu i ofiarować wszystko, co miał, ubogim.

» Przyjaciel trędowatych przed Ukrzyżowanym

Podczas jednej z konnych przejażdżek w okolicach Asyżu Franciszek usłyszał dźwięk dzwonka, co oznaczało, że oto nadchodzi trędowaty. „Chory mężczyzna zbliżał się, a okropny fetor, jaki wydawało jego gnijące ciało, coraz ostrzej drażnił powonienie. Franciszek ze wstrętem odjechał w inną stronę. [...] Po chwili przypomniał sobie

FOT. WIKIMEDIA

eprasa.pl 425d19034c

o złożonym ślubie, że nigdy nie odmówi ubogiemu pomocy […]. Zawrócił konia i dogonił trędowatego, podszedł do niego i pełen wzruszenia objął go i ucałował. Z oczu popłynęły mu łzy". Tradycja mówi, że tym trędowatym był sam Chrystus.

Gdy przez wiele godzin modlił się przed bizantyńską ikoną krzyża w ruinach małego kościółka św. Damiana, patrzył na niego Ukrzyżowany królujący „ponad cierpieniem, śmiercią i złem". Franciszek pojął wówczas, że „jedyną, prawdziwą, nigdy nieprzemijającą sławą jest kroczenie za Jezusem". Zapewne dlatego podczas takiej natchnionej modlitwy miał usłyszeć Jego głos: „Franciszku, czy nie widzisz, że mój dom jest w ruinie? Idź i napraw go dla mnie". Chcąc spełnić wolę Pana, udał się do sklepu ojca, zabrał stamtąd wszystkie drogie materie i sprzedał je kupcowi w Foligno, a zdobyte pieniądze postanowił ofiarować na rzecz kościółka św. Damiana.

» Kamień, błoto i gniew ojca

Gdy ojciec Franciszka dowiedział się o tym, wpadł w furię, usiłując z pomocą sąsiadów siłą sprowadzić syna do domu. Ten zaś ukrył się w jakimś starożytnym rzymskim grobowcu i po miesiącu dopiero odważył się wyjść z ukrycia. Ludzie, widząc w nim szaleńca w łachmanach, rzucali weń kamieniami i błotem, pluli na niego i obsypywali śmieciami. Takim też wyszydzanym zobaczył go na ulicy ojciec, a przyprowadziwszy do domu, skrępował łańcuchami i wtrącił do ciemnicy. Dopiero gdy stary Bernardone wyjechał w interesach, współczująca matka wypuściła syna na wolność.

Pietro, chcąc, by syn zmienił swoje postępowanie, wniósł przeciw niemu skargę do sądu grodzkiego, ale ten odmówił stawienia się, twierdząc, że oddawszy się służbie Bożej, podlega już tylko władzy kościelnej. Sąd odbył się więc przed biskupem Asyżu Guido II, który wysłuchawszy argumentów obu stron, zwrócił się do Pietra, by nie bronił synowi iść drogą wyznaczoną mu przez Boga. Franciszkowi zaś nakazał zwrócić nieprawnie przywłaszczone pieniądze. Wtedy ten cisnął przed ojcem pełną sakiewką i zrzucił z siebie drogie szaty, zostając w samej tylko włosienicy. Poruszony tym biskup porwał go w ramiona i otulił swym płaszczem.

» „Szaleniec Boży" budowniczym

Odtąd Franciszek należał już wyłącznie do Chrystusa, odrzucając wszystko, co ziemskie i światowe. Na swych zgrzebnych szatach namalował wapnem znak krzyża i rozpoczął nowe życie w skrajnym ubóstwie, bez oparcia w rodzinie. Idąc za Jezusem, zyskał jednakże o wiele więcej – był wewnętrznie wolny, wypełniały go prawdziwa radość życia i miłość do stworzenia. Pragnąc odbudować zrujnowany kościółek św. Damiana, prosił każdego napotkanego człowieka o kamień na budowę… Sam je zresztą zbierał i znosił na miejsce, a za jego przykładem poszli inni, którzy pomagali potem w odbudowie kościoła San Pietro delta Spina oraz Porcjunkula – świątyni Matki Bożej Anielskiej.

Jego życie naznaczone pokorą, prostotą i miłością bliźniego pociągało wielu. Pierwszym, który poszedł za „szaleńcem Bożym", był Bernard z Quintavalle, bogaty kupiec, który wszystko rozdał biednym. Potem dołączył do nich Piotr Catani, ceniony prawnik z tytułem doktora Uniwersytetu w Bolonii. We trzech zamieszkali nieopodal przytułku dla trędowatych, by potem opuścić Asyż i przenieść do nędznej chaty w pobliskim Rivotorto – „pierwszej kolebki

eprasa.pl 425d19034c

ruchu franciszkańskiego". W niedługim czasie zebrało się ich już dwunastu, niczym apostołów, bo za Franciszkiem poszli kolejni: Sabatino, Morico, Filip, Giovanni di San Costanzo, Barbaro i Bernard Vigilante, a także młody wieśniak Egidiusz, kapłan Sylwester oraz rycerz Angelo Tancredi. Święty Biedaczyna uczył ich dobroci, okazywania serca, miłości do Boga i bliźniego. Zgromadzeni wokół niego bracia sami pracowali na kawałek chleba – wyplatali koszyki, zbierali orzechy i oliwki, sprzedawali wodę źródlaną, a otrzymane pieniądze rozdawali ubogim. Franciszek przekonywał, że jedynie cnotliwe, pełne ubóstwa życie przynosi radość. Radość sprawia także człowiekowi obcowanie z przyrodą, która jest doskonałym tworem boskim. Sam często przemawiał nie tylko do ludzi, lecz także do kwiatów, ptaków, zwierząt. Zło zwyciężał dobrem, łagodnością, miłością. Potrafił oswoić nawet krwiożerczego wilka z Gubbio. Bożą miłością dzielił się z innymi, wędrował po miastach i siołach, wygłaszając pouczające kazania i przypowieści.

» Sen, który miał się ziścić

Postać Biedaczyny z Asyżu uczyniła głównym bohaterem swej powieści „Bez oręża" znana pisarka Zofia Kossak-Szczucka, orędowniczka myśli chrześcijańskiej w literaturze. „Szaleńca Bożego" poznajemy w chwili, gdy podąża ze swymi współbraćmi do Rzymu, by w Stolicy Piotrowej stanąć przed obliczem papieża Innocentego III i prosić go o zatwierdzenie reguły swojego zakonu. Idących za nim współbraci pouczał stale, że trzeba wyrzec się dóbr tego świata i zachować stan doskonałego ubóstwa, bo tak kazał Chrystus – porzucić wszystko i iść za nim. To warunek konieczny do duchowego przeistoczenia.

Gdy w Stolicy Piotrowej ważyły się losy nowego zakonu, Ojciec Święty miał dziwny sen, w którym ujrzał siebie samego u bram świątyni laterańskiej, „zwanej matką i sercem kościołów", i z przerażeniem spostrzegł powstającą na jej ścianie rysę, a potem szereg podłużnych i poprzecznych pęknięć i szpar. Widział, jak „czernieją wzdłuż ścian" i pokrywają je gęstą siatką, słyszał trzeszczące mury, które zaczynały się wyginać… Ogarnął go paniczny strach, że lada moment Lateran upadnie… W tej jednakże chwili doszedł go odgłos czyichś kroków, coraz wyraźniejsze dudnienie bosych stóp. To zjawił się on: „Człowiek niewielkiego wzrostu, nędznie odziany, chuderlawy. Bura, pospolita opończa żebracza, sznur zamiast pasa, kaptur, goła głowa. Idzie szybko ku spękanej ścianie, rozkłada ramiona, jakby pragnął kościół objąć i podtrzymać. I w zdumionych oczach Innocentego poczyna rosnąć, rosnąć, już nie jest mały ani chuderlawy… Jest wielki jak drzewo, jak góra, dosięga głową kalenicy […]. Mocnym pchnięciem pleców naprostowuje chylący się mur […], gdzie ręką przejedzie, tam zasklepiają się szpary, tam mur się zrasta na nowo. Wielka, czcigodna budowla stoi mocna, prosta i krzepka jak pierwej". Gdy w tym śnie papież się odwraca, widzi jego twarz.

Była to twarz Franciszka, który nazajutrz stanął przed jego obliczem, a ten rozpoznał w nim człowieka zesłanego przez Boga na ratunek Kościołowi. Ów rycerz zmieniający świat bez oręża uzyskał ustną aprobatę Innocentego III dla działania swojej wspólnoty (1210), która przyjęła z czasem nazwę Zakonu Braci Mniejszych. W 1223 roku papież Honoriusz III zatwierdził jego Regułę opartą na wiernym naśladowaniu Chrystusa przez dobrowolne ubóstwo, pokorę i braterstwo ze wszystkimi potrzebującymi.

eprasa.pl 425d19034c

» Święta Klara ucieka z domu

Po wypędzeniu z chaty w Rivotorto św. Franciszek przeniósł się wraz z braćmi do Kościoła Matki Bożej Anielskiej (Porcjunkula), gdzie stworzył centrum apostolskiej działalności misyjnej. Jego płomienne kazania przeobrażały serca mieszkańców Asyżu, a największe wrażenie wywarły na córce asyskiego rycerza Favarone di Offreduccio. Była to Klara, piękność o długich złocistych włosach, która myślała jedynie o poświęceniu swego życia Bogu i potrzebującym. „Pod wykwintnymi strojami nosiła ostrą włosienicę, gardziła pieniędzmi, miłowała ubogich i odejmowała sobie od ust najlepsze kąski, by oddać je nędzarzom". Zwierzając się ojcu Franciszkowi ze swoich wątpliwości, usłyszała od niego: „Nie wahaj się pójść tam, gdzie Jezus cię wzywa". Umocniona duchowo tuż po Niedzieli Palmowej 1211 roku uciekła z domu, by rozpocząć życie zakonne. Sam Franciszek obciął jej piękne włosy na znak, że poświęca siebie samą jedynemu Oblubieńcowi – Chrystusowi. W ten sposób Klara dała początek Drugiemu Zakonowi św. Franciszka, który od jej imienia nazywany jest zakonem klarysek. Mając zaledwie 22 lata, została pierwszą ksienią założonej przez siebie wspólnoty. Zawsze „miłosierna, urocza, wesoła i rycerska" nie tylko wielbiła Stwórcę za piękny świat, lecz także kochała przyrodę – drzewa, kwiaty, zwierzęta... Jednocześnie prowadziła ascetyczny żywot – ciągle pościła, sypiała na deskach, umartwiała swoje ciało, tak że na koniec liczne choroby przykuły ją do łóżka, lecz jej dusza pozostała „płomienna i pogodna".

» Apostoł Chrystusa przed sułtanem

Tymczasem św. Franciszek poświęcił się działalności apostolskiej. Swym gorącym słowem pociągał za sobą rzesze wiernych, nawracał, czynił cuda. W Asyżu poszło za nim trzydziestu mężczyzn, by towarzyszyć mu na drodze pokuty, w Montecasale odmienił trzech zbójców, a w Todi uratował życie cudzołożnej kobiecie i powstrzymał ją przed zabiciem nienarodzonego dziecka. Nie poprzestał jednak na głoszeniu Słowa Bożego w Italii. Jego celem stała się Ziemia Święta, gdzie udał się w 1219 roku. Dotarłszy do Egiptu, znalazł się w obozie krzyżowców pod miastem Damietta, skąd wyruszył w stronę głównej kwatery Saracenów gotów na męczeńską śmierć z rąk niewiernych. Każdy muzułmanin, który w tym kraju ściął głowę chrześcijaninowi, nagradzany był złotym dukatem. W czasie swojej wędrówki przez pustynię natknął się na dymiące zgliszcza osady muzułmańskiej i trupy tych, którzy zginęli z rąk krzyżowców. Gdy zaś próbował pochować zabitych, nadjechał oddział Saracenów i zabrał go ze sobą jako jeńca. W obozie wyznawców islamu czekałaby go niechybnie śmierć, ale na dziwacznego przybysza zwrócił uwagę sam sułtan Malek-El-Kamela i nakazał przyprowadzić go do siebie. Franciszek, pragnąc nawrócenia dla niego i jego poddanych, nauczał o Bogu, a „zainspirowany przykładem proroka Eliasza, zaproponował sułtanowi, że potwierdzi swą prawdomówność, rzucając się w ogień. Do tego samego wezwał duchownych muzułmańskich, jednak mahometanie nie przyjęli propozycji". Sułtan na znak przyjaźni ofiarował mu róg z kości słoniowej jako glejt na drogę do Palestyny.

» Mistyczne spotkanie z Chrystusem

Na północ od Asyżu wystrzela ku niebu góra Alverna. Wieńczące jej szczyt skały zostały ponoć rozczepione podczas trzęsienia

eprasa.pl 425d19034c

ziemi, które nastąpiło, gdy Chrystus konał na krzyżu. Do tej to zanurzonej wśród dzikiej przyrody pustelniczej samotni Franciszek zawędrował jesienią 1224 roku, prawdopodobnie w dzień Podwyższenia Krzyża Świętego. Modląc się i kontemplując Mękę Pańską, dostąpił najwyższej łaski mistycznego spotkania z Chrystusem, który objawił mu się jako emanujący światłością serafin z sześcioma skrzydłami, przybity do krzyża. „Doświadczenie Bożej obecności przeszywało ciało i duszę Franciszka". Wówczas to otrzymał dar stygmatów – jego ręce i nogi wyglądały jakby przebite gwoździami, a prawy bok – lancą, po której pozostała brocząca krwią blizna.

Miał wtedy przed sobą jeszcze dwa lata życia wypełnione wielkim cierpieniem. Z każdym dniem stawał się coraz słabszy, wyniszczała go ciągle postępująca choroba, tracił też wzrok. Gdy nie mógł już samodzielnie chodzić, bracia wozili go na osiołku. Nakłaniany przez nich poddał się bolesnej operacji, podczas której rozpalonym do czerwoności żelazem przebito mu szczękę i policzek, ale nadaremnie, bo jego stan zdrowia ciągle się pogarszał. Jego ostatnim życzeniem było umrzeć w Asyżu, gdzie mimo nasilających się boleści dotarł w Niedzielę Palmową, kiedy wjeżdżał na osiołku niczym Chrystus do Jerozolimy. Czekając z utęsknieniem na śmierć, kończył swą słynną „Pieśń słoneczną" – hymn miłości do Boga i całego stworzenia. Z ziemskim życiem żegnał się w Porcjunkuli 3 października 1226 roku słowami: „Do Ciebie, Panie, podnoszę mój głos, Tobie ufa dusza moja…". Tak odchodził ten, który odrodził pogrążony w kryzysie Kościół i stworzył potężny ruch franciszkański do dziś przeobrażający ducha ludzkości. Dwa lata po śmierci został kanonizowany, a w 1980 roku św. Jan Paweł II ustanowił go patronem ekologów.

» Polacy w rodzinie franciszkańskiej

Do tej wielkiej franciszkańskiej rodziny, którą założył Franciszek z Asyżu, należą też polscy święci. Jest wśród nich m.in. znana ze swych cnót św. Kinga – XIII-wieczna księżna krakowska, fundatorka klasztoru klarysek w Starym Sączu; jest św. Szymon z Lipnicy – słynny XV-wieczny kaznodzieja, po śmierci którego odnotowano ponad 370 cudownych uzdrowień i łask; jest też i św. Jan z Dukli – XV-wieczny bernardyn, którego wstawiennictwu przypisuje się cudowne uratowanie Lwowa przed wojskami Chmielnickiego. Wierny nauce Franciszka pozostawał aż do końca św. Maksymilian Maria Kolbe, twórca Rycerstwa Niepokalanej, misjonarz z Nagasaki, więzień niemieckiego obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau, który oddał życie za innego współwięźnia. Na pamięć zasługują też współcześni nam franciszkańscy męczennicy za wiarę – bł. Zbigniew Strzałkowski i bł. Michał Tomaszek – polscy misjonarze zamordowani 9 sierpnia 1991 roku w Peru przez terrorystów.

Nauka św. Franciszka nie jest przeznaczona wyłącznie dla herosów ducha. Uczy nas wszystkich, że życie ludzkie może być afirmacją tego, co rodzi się z dobroci serca, miłości do Boga, bliźniego i wszelkiego stworzenia. Miłość zaś prowadzi do radości i doskonałości wewnętrznej, a ubóstwo uczy pokory i współczucia innym. Zasady myślenia i postępowania, którymi Franciszek kierował się osiem wieków temu, wciąż pozostają inspiracją i drogowskazem dla współczesnego człowieka. ■

_____

Źródła: P. Słabek, „Św. Franciszek z Asyżu", Kraków 2002; O. Omer Englebert, „Życie św. Franciszka z Asyżu", Niepokalanów 2023.

eprasa.pl 425d19034c

Można by w istocie ułożyć kiedyś litanię „wszystkich świętych” największej bitwy lądowej frontu zachodniego w II wojnie światowej, czyli bitwy o Monte Cassino, w której znamienne miejsca w łańcuszku kolejnych świętych zajmowaliby: św. Benedykt z Nursji, jego siostra św. Scholastyka oraz św. Tomasz z Akwinu. Sama bitwa była dla biorących w niej udział żołnierzy z całego świata najtrudniejszym wyzwaniem życia – wielu z nich poległo bądź zostało rannych, swoje cierpienia składając w ofierze na ołtarzach Wolności, Niepodległości i Miłości. Ich szlak bojowy stał się jednocześnie szlakiem duchowym, a ziemia, na której toczyła się bitwa, była (i jest) pełna niesamowitych symboli i znaczeń, z których ułożyć można traktat duchowo-moralno-bitewny. Czy da się go nakreślić, czerpiąc z myśli Akwinaty?



Tomasz Łysiak

Monte Cassino według Świętego Tomasza

eprasa.pl/425d190344

W maju 1964 roku w Rzymie kardynał Stefan Wyszyński wygłosił przepiękną rocznicową homilię, opartą w całości na wierszu wykutym na pomniku Brygady Karpackiej. Pomnik ten, w kształcie obelisku, wznieśli po bitwie na wzgórzu 593 sami żołnierze, na rozkaz generała Bronisława Ducha, dowódcy 3. Dywizji Strzelców Karpackich z 2 lipca 1944 roku: „Trzeba, aby na wzgórzu 593, gdzie najwięcej krwi żołnierskiej się polało, stanął pomnik godny ich żołnierskiej chwały". Było to tuż po tym, jak na niedalekim wzgórzu 575 stanął krzyż upamiętniający poległych żołnierzy Dywizji Kresowej.

» Via Crucis

Najważniejszym pomnikiem polskim powstałym na polu bitwy jest oczywiście nasz cmentarz położony w tzw. Dolinie Śmierci, zbudowany także (jak wszystkie inne pomniki) rękami żołnierzy polskich. Cała ta zbroczona krwią ziemia, cały ów masyw montecassiński jest pełen symboli, ukrytych znaczeń i sensów, czasem w nazwach wzgórz, czasem zaś słów wybranych przez kogoś, kiedyś, by ową ziemię zamienić w ukrytą księgę świętą. Na część tej księgi zwrócił właśnie uwagę prymas Wyszyński w trakcie wspomnianej homilii rzymskiej, podczas mszy świętej celebrowanej 13 maja w kaplicy Domu Polskiego. Kardynał odniósł się w niej do inskrypcji znajdującej się na pomniku Karpatczyków: „Za naszą wolność i waszą. My żołnierze polscy oddaliśmy Bogu – ducha, ciała – ziemi włoskiej, a serca – Polsce". „Uczymy się oddawać ducha – Bogu, serce – Ojczyźnie, a życie nasze całe – ludzkości" – powiedział w pięknym, mocnym kazaniu. Pomnik, inskrypcja, napis, wiersz Kobrzyńskiego (poety Dywizji Karpackiej, który ów napis skomponował) stają się oto jakąś filozoficzną klamrą dla każdego, kto przejdzie górskimi ścieżkami prowadzącymi po polu bitwy, kto stanie u stóp wzgórz, zatrzyma się przy pomnikach, przy cmentarzu, a na koniec dotrze na ową „Górę Ofiarną" 593 – górę, która dosłownie spływała krwią żołnierzy alianckich w czasie wszystkich kolejnych ofensyw. Stanie się ów pomnik stacją ostatnią modlitewnej, wiodącej szlakiem bitwy, Drogi Krzyżowej. Nie bez kozery zresztą, bo owa krwawa góra już przed wiekami zwała się Monte Calvario, Kalwarią, na której mnisi odprawiali Via Crucis. Na jej szczycie, tam, gdzie resztki dawnego zameczku, stały krzyże, jak na Golgocie. I to tam właśnie bronili się Niemcy, tam ginęli nasi żołnierze, na miejscu Krzyża. Ich ciała zrzucano ze skały oznaczanej na mapach wojskowych numerem 569, wyglądającej jak urwisko na Wzgórzu Czaszki w Jerozolimie.

» Piekło–czyściec–raj

Symbolami usiana była cała droga żołnierzy idących w stronę bitwy. Zacząć tę opowieść można od tego, co uchwycił swym piórem Melchior Wańkowicz w reportażu: od długiego wąwozu idącego dnem wyschłej rzeki, zwanego już od dawien dawna przez mieszkańców okolicznych „Inferno" („Piekło"). Żołnierze alianccy dodali do niego słowo „Track" (droga, szlak transportowy) – i tak powstało „Inferno Track", którym z góry w dół zjeżdżali lub schodzili żołnierze mający świadomość tego, iż faktycznie wejdą za chwilę w obszar wojennego piekła. Co ciekawe, w samym Klasztorze św. Benedykta znajduje się loggia, rodzaj taraso-balkonu, który nosi nazwę „Paradiso" – „Raj". Całkiem jak u Dantego, mamy więc pierwszą część w piekle, a ostatnią w raju. Gdzie więc czyściec? Czyżby był on całym bitewnym

FOT. ZOFIA KUBLIK

eprasa.pl 425d19034c

polem cierpienia, bólu, śmierci, ran, rozpaczy i najtrudniejszych, niewyobrażalnie okrutnych doświadczeń człowieka zderzonego z maszynerią wojenną: wybuchami, szrapnelami zrywającymi skórę i mięśnie, odłamkami wyrywającymi kawałki ciała i żarzącymi się jak rozpalone piętna? Czy też nadal jest to piekłem? Czołgi polskie, Shermany pułku 4. Pancernego „Skorpion" pną się w górę Drogą Cavendish, a przed nimi idzie z krzyżem kapelan pułkowy o. Studziński. Idzie i usuwa z drogi leżących rannych, tak by gąsienica nie przejechała po nogach nieprzytomnego lub zbyt słabego, by je podciągnąć ku sobie żołnierza. Nie zawsze się to udaje. Czasem w ciemnościach czołg najedzie na swojego.

» Domek Doktora

A co na Monte Castellone na wysokości 771 metrów n.p.m.? Na wzgórzu tym znajdował się przed wiekami Klasztor pod wezwaniem św. Mateusza – relikwie świętego przywiózł na tę ziemię książę normański Guiscard, jeden z dobroczyńców Klasztoru na Monte Cassino. Gdy polscy żołnierze pięli się w górę, dochodzili do wzgórz kolejnych, na których także były ślady dawnych niewielkich monasterów, zaś niektóre ze wzgórz noszą poprzez swoje nazwy ślady dawnych związków z benedyktyńskim „centrum", jakie stanowiło opactwo. Oto „Głowa Węża", wzgórze o wysokości 603, z którego ruszała Dywizja Karpacka – nosi ono nazwę Colle San Comeo. Skąd taka nazwa? Żadnego świętego o takim imieniu nie mamy. Ale za to mamy Świętego Kosmę – zapewne od jego imienia (w języku francuskim brzmi ono Saint Côme) wzięło nazwę – który wraz z bratem Damianem był i jest patronem lekarzy i doktorów. Jak to się dzieje zatem, że na „jego" wzgórzu znajduje się domek, który w czasie bitwy stał się Batalionowym Punktem Opatrunkowym i otrzymał nazwę „La Casa del Dottore" (Domek Doktora)? Tu ratowali życie rannym lekarze 2. Korpusu Polskiego. Domek ów stoi na grzebiecie górskim ciągnącym się od owej Głowy Węża aż po wzgórze 593, cel ataków. Grzbiet został nazwany przez wojskowych „Grzbietem Węża". Gdybyśmy się unieśli w niebo albo dobrze przyjrzeli mapom, ujrzymy, iż faktycznie całość układa się w wizerunek węża – z jego głową, a potem cielskiem, które ogonem wycelowane jest w Górę Ofiarną, Kalwarię.

» Kielich mszalny

A teraz gdyby jeszcze wyżej wznieść się nad polem bitwy, to ujrzymy z wysokości orlej ów niezwykły, piękny cmentarz polski. Jaka w nim jest ukryta symbolika? Oto pokazał mi kiedyś Pino Valente, przewodnik po górskich terenach wokół Monte Cassino, zdjęcie satelitarne cmentarza i powiedział, stojąc u wejścia do długiej alei prowadzącej w jego stronę: „Spójrz, czy ten kształt czegoś ci nie przypomina? Patrz, góra rozszerza się, jest ułożona w stronę Monte Calvario, tej Chrystusowej Góry, z której w dół, w dolinę śmierci płynęła krew". Teraz widzę i rozumiem, jaki kształt się pojawia: to kielich! Kształt polskiego cmentarza na Monte Cassino przypomina w istocie kielich eucharystyczny! Melchior Wańkowicz w swojej książce daje inną jeszcze interpretację – związaną z kształtem rzymskiego, antycznego teatru. Ale gdy zdamy sobie sprawę z miejsca, w którym się znajdujemy, dostrzeżemy, że owa symbolika kielicha tak trafnie oddaje sensy ukryte w całej przestrzeni objętej polskimi pomnikami. Kielich i wąż – obie te figury symboliczne wpisane są w medalik św. Benedykta – po jednej jego

eprasa.pl 425d19034c

stronie znajdziemy kruka i chleb (odnosi się to do historii uratowania życia świętego przed próbą otrucia go w postaci chleba), a po drugiej stronie jest pęknięty kielich, z którego wypełza wąż – to znowuż obrazuje historię z żywota, w której Benedykt z Nursji miał odmówić modlitwę nad kielichem i wtedy trucizna podrzucona przez zazdrosnych mnichów zamieniła się w węża, zaś sam kielich pękł. Na polu bitwy mamy więc Golgotę (Górę Ofiarną, Monte Calvario), węża i kielich.

» Widmo

Czy znajdziemy coś jeszcze? Owszem – lecz na dalszym odcinku bitwy, czyli tam, gdzie biła się Dywizja Kresowa. Miała ona dwa zasadnicze cele natarć. Pierwszym, bliższym, był długi, ciągnący się prawie przez kilometr grzbiet zwany „Widmem" („Phantom Ridge"). Ponoć został on tak nazwany przez amerykańskiego oficera, który zobaczył go na żywo i zdziwił się, że coś takiego w ogóle istnieje – nie widział go na mapie ani na lotniczych zdjęciach. Był niczym widmo. A dalej? Kolejne wzgórze do zdobycia – Colle Sant'Angelo. Wzgórze Świętego Anioła. Wańkowicz nazwał je Wzgórzem Anioła Śmierci. Bo na nim ginęli Kresowiacy. To tam kapitan Leśkiewicz, widząc, że jego kompania zaległa między kamieniami i nie ma siły poderwać się do walki, zaintonował polski hymn. Żołnierze podjęli śpiew i nagle poczuli jakieś dodatkowe siły w sobie, runęli do ataku i przełamali Niemców.

A my możemy iść dalej, wspiąć się na wzgórze 575, gdzie stoi pomnik Kresowiaków, gdzie ów krzyż kratownicowy i skąd także widać 593. Gdy spojrzymy w prawo, dostrzeżemy w oddali Akwin. Za Piedimonte San Germano leży też Roccasecca, miejsce urodzin świętego Tomasza. Tam też w czasie bitwy mieściło się dowództwo niemieckie, tam rezydował gen. von Senger und Etterlin, u podnóża zamku, w którym urodził się Akwinata.

» Ciało i dusza

Święty Tomasz pisał traktaty, komentarze, dzieła teologiczno-filozoficzne („Summa teologica") najwyższej próby. To on mówił o Prawdzie, o Mocy Boga czy o duszy ludzkiej. Święty Tomasz pisał też o tym (w mocnym uproszczeniu), iż człowiek składa się zarówno z ciała, jak i z duszy – stanowi całość, jedność. W dodatku istotny był dla niego element inteligentnego, rozumowego poznania, niezbędny do budowania własnej drogi ku Bogu. Aby jednak takie rozumowe poznawanie nastąpiło, człowiek musi uruchomić zmysły, zobaczyć coś, dotknąć, posłuchać. Wtedy tworzy sobie „widma", przypasowuje owe wyobrażenia do bytów i zaczyna rozumować. Dlatego poznanie zmysłowe jest potrzebne, by drogą rozumu dojść do Boga i oddać Mu swą duszę. Ktoś, kto chce w sposób pełny teologicznie poznać ukryte sensy bitwy o Monte Cassino, zrozumieć ją, powinien nie tylko uruchomić umysł (na przykład czytając książki), lecz także zmysły – idąc polem bitwy, odczuwając jej trudności, dotykając kamieni i pomników. Widmo jest tu także na drodze poznania, zupełnie tak, jakby ów grzbiet górski ze swą nazwą zaprojektował św. Tomasz. Całość doświadczenia bitwy możemy jednak uchwycić na koniec, stając przy obelisku Karpatczyków i czytając: „My żołnierze polscy oddaliśmy Bogu – ducha, ciała – ziemi włoskiej, a serca – Polsce". To patriotyzm uchwycony klamrą teologiczną św. Tomasza. Daje do myślenia. Ale zaprasza też do tego, by Monte Cassino potraktować jako księgę do odczytania… ■

eprasa.pl 425d19034c

Piotr Lisiewicz

Niektórzy mało rozgarnięci czytelnicy mogą się dopatrywać w mojej książce braku poszanowania dla religii, wojskowości, monarchii, arystokracji, sejmu, moralności – no dla wszystkiego. Protestuję jak najenergiczniej. Ani mi w głowie żadne »szarganie świętości«. Lecz nie mogę ludzi, co doprowadzili Polskę do upadku, przedstawiać w korzystnym świetle" – pisał genialny felietonista Karol Zbyszewski we wstępie do swojej książki „Niemcewicz od przodu i tyłu". Gdy ukazała się w 1939 roku, wywołała jeden z większych skandali literackich w II RP, tak że zaraz potrzebne było… drugie wydanie. „W ciągu dwóch miesięcy doczekałem się wyczerpania I-go nakładu, kilkunastu rzeczowych recenzyj i przeszło 50 wściekłych napaści przypominających kubły pomyj" – komentował we wstępie do owego drugiego wydania Zbyszewski. Do najbardziej skandalizujących należał opis skorumpowanego Trybunału Rzeczypospolitej w Grodnie, który przedrukowujemy poniżej. Czy w dniach, w których dochodzi do brutalnego niszczenia niezależności wymiaru sprawiedliwości, ten opis czegoś nam nie przypomina? Oby nie skończyło się jak wtedy…

Karol Zbyszewski

Tylko durnie nie biorą łapówek. Trybunał Rzeczypospolitej przedrozbiorowej

Pierwszy raz ujrzał Niemcewicz ten najwyższy sąd Rzeczypospolitej, od którego nominalnie nie było apelacji. Składał się on z 20 szlacheckich deputatów i 10 duchownych; bardzo rzadko obradowano w pełnym komplecie, bo rzadko stronom starczyło pieniędzy na obdarowanie wszystkich sędziów, a deputat co nie otrzymał znikąd łapówki, nie interesował się sprawą i wolał spać w domu.

Wobec sknerstwa stron po kilkanaście dni nie dochodziło do sesji z braku kompletu. Musiał marszałek objeżdżać deputatów i prosić jak o łaskę, by raczyli się zejść.

Deputaci stali bardzo wysoko etycznie: wziąć kozubalca od więcej dającej strony było rzeczą godziwą i zgodną z dobrymi obyczajami, ale wziąć cichcem od obu stron było świństwem i wszyscy takim gardzili. Nie brać wcale było najgorzej – zyskiwało się dozgonną opinię skończonego durnia.

***

Pracy miał trybunał nawał. Szanujący się szlachcic musiał toczyć procesy, nieraz sprawa o wioskę z 5 chłopów i 3 cieląt trwała bite stulecie, za pieniądze wydane na spojenie

eprasa.pl 425d19034c

i upasienie deputatów, na kozubalce, na mecenasów – można by kupić pół województwa, ale nie chwały z wygrania procesu. Przychylny wyrok trybunału stanowił dumę rodu – jak chorągiew zdobyta na Turkach. Panna mająca w posagu kilka wyroków łatwiej znajdywała męża niż inna z kilku folwarkami. Nikogo nie zrażało, że wyroków przeważnie nie można było egzekwować – trybunał nie miał siły, a zajazd nie zawsze się udawał – chodziło o honor nie o wioskę.

Grodno było przepełnione. Szlachta ściągnęła tłumnie na trybunał – niezrównaną okazję do sutej, darmowej wyżerki. U księcia marszałka co dzień nakrywano stół dla 60 osób; gdy wybuchała zwada na sali i do szabel się brano, adiutant księcia kazał wejść kilkunastu dragonom i dać salwę w pułap – ze strachu wnet milkły waśnie; gdy pito czyjeś dostojne zdrowie za oknem grzmiały moździerze – w ten sposób wojsko i artyleria były jednak w Polsce potrzebne. Inni dygnitarze też karmili, poili od świtu do świtu. Choć kto i nie miał żadnej sprawy, siedział kołem do końca kadencji, wyjeżdżał z brzuchem o ćwierć metra większym.

Młodzież przybywała z najdalszych okolic uczyć się prawa, swady oratorskiej i przekupywania sędziów. Tańczyła nocami do upadłego, grała w faraona, piła – kto wytrzeźwiał do rana szedł istotnie posłuchać rozpraw.

Posiedzenia trybunału miały miejsce na Zamku. Sala natłoczona arbitrami, za długim stołem siedzieli deputaci, marszałek pośrodku; pięciu woźnych myczało bez przerwy:

– Mości panowie uciszcie się! Rozstąpcie się mości panowie! Nie pchajcie się mości panowie! Nie szurajcie nogami, nie łamcie ławek! Mości panowie nie mruczcie…

Nikt nie zważał na te wezwania, gwarzono dalej wesoło, dopiero gdy woźni ochrypli i zamilkli robiło się nieco ciszej.

Książę Adam marszałkował w tak niezwykły sposób, iż wszyscy baranieli ze zdumienia, stuletni mecenasi nie pamiętali nic podobnego. Według statutu litewskiego, gdy raz zaczęto obradować nad jakimś dekretem – deputatom nie wolno było wyjść z sali; miało to niby zapobiec przekupstwu. Książę wygrzebał ten zapomniany przepis i przestrzegał go z całym pedantyzmem, trzymał sędziów po dwa dni w zamknięciu. Przychodzili z piernatami, nie mogli się z nikim komunikować. Oczywiście nie wpływało to wcale na ich cnotliwość – opłaceni z góry, najdłuższe debaty i najlepsze argumenty nie zmieniały zgoła nieodwołalnie przez kieszeń powziętej decyzji. Lecz zdumiewała myśl, iż książę jest jak gdyby przekupstwu przeciwny.

W beznadziejnych sprawach zwracano się nieraz do króla po protekcję. Dla zyskania względów jakiejś damy, czy też przez wdzięczność za już okazane, dla zjednania sobie wpływowego stronnika, dla dogodzenia magnatowi – nie wahał się Stanisław August interweniować u marszałka trybunału prosząc o wydanie wyroku wręcz odmiennego niżby należało, lub – jeśli wobec jasności sprawy groziło to za wielkim skandalem – o odłożenie do następnej kadencji. Nic łatwiejszego od takiego zrzucenia sprawy z wokandy; woźni wypychali wszystkich za drzwi, zamykali je na klucz i wtedy przywoływano strony, naturalnie nikt się nie stawiał, wobec czego marszałek ogłaszał odroczenie. Niewinny ten trick umożliwił ciągnięcie wielu procesów latami.

Książę Adam był głuchy na wszelkie przedłożenia Stanisława Augusta, a że deputaci nie będąc posmarowani nie przeszkadzali – ferował najsprawiedliwsze wyroki w sprawach królewskich pupilów.

Największą jednak sensację wywołał ks. Adam przyznając rację ubogiemu szlachcicowi, który skarżył dzierżawcę wojewody ruskiego o mordobicie i wyzucie z gruntu.

eprasa.pl 425d19034c

Ponieważ, wedle prawa, za dzierżawcę odpowiadał jego pan przeto ks. Adam skazał własnego ojca na 6 tygodni wieży.

Oczywiście nie było mowy o istotnym zapakowaniu do ula zgrzybiałego wojewody, czy nawet o represjach w stosunku do punktualnie płacącego czynsz dzierżawcy – tego byłoby za wiele, lecz sam niesłychany fakt, że trybunał publicznie zganił magnata wystarczał dla epatowania kraju. Widziano w księciu nie autora taniego efektu – lecz polskiego Catona różniącego się od rzymskiego jedynie tym, że siedział we fraku na krześle marszałkowskim zamiast w todze na nocniku.

***

Niemcewicz śledził z podziwem wyczyny swego szefa, wkrótce jednak, znudzony sesjami trybunału, począł się wymykać z nowym przyjacielem – Michałem Brzostowskim, starostą pińskim – do okolicznych dworów. Najweselej było w Swisłoczy u referendarza litewskiego Tyszkiewicza, kompletnego wariata. Zacny grubas przebierał się co rano w ornat i odprawiał mszę, a wieczorem w suknie kobiece i haftował robótkę. Niemcewicz służył mu do mszy, udawał, że olśniony wdziękami chce go zgwałcić. Raz, pośrodku stawu, Tyszkiewicz wypchnął z łódki swego nadwornego spowiednika; kapelan był garbaty i nie umiał pływać – tarzali się wszyscy ze śmiechu. Niemcewicz, że nie tylko tych subtelnych żartów, ale i przedstawień, żywych obrazów był czynnym uczestnikiem – tak zjednał sobie wiecznie nudzącego się referendarza, iż gwałtem chciał go zatrzymać w Swisłoczy. Najponętniejsze obietnice nie skusiły Niemcewicza – pojechał za Czartoryskim do Wilna.

Poprzednikiem księcia na stolcu marszałkowskim był tu Piłsudski – stary dziwak nie mający innej ambicji jak by na jego obiadach podawano tyleż potraw co województw w Polsce i każda przybrana w odpowiedni mundur. Książę Adam polecił swemu kuchmistrzowi Gorlitzowi, szkolonemu w kuchni Augusta lll-go, dołożyć starań by zakasować wspomnienia piłsudowych obiadów. Kadencja trybunału wypadła znakomicie: dzień w dzień bale, festyny... zapomniano jak wygląda człowiek trzeźwy.

Przyszła wiadomość z Warszawy, że sędziwy wojewoda ruski, grając w whista wieczorem z nuncjuszem, odłożył nagle karty sumitując się, iż nie może skończyć partii gdyż umiera. W fotelu, pośrodku salonu, otoczony tłumem gości i domowników, skonał 85-letni wojewoda z grzecznym uśmiechem na ustach. Ręką pełną kart przeżegnał nuncjusz i zamknął powieki temu, który dla przeforsowania swej polityki wprowadził po raz pierwszy do kraju moskiewskie żołdactwo. Targowiczanie uczynili to po raz ostatni.

Książę Adam, wzorowy syn całujący zawsze ojca w rękę, nie śmiejący usiąść w jego obecności bez wyraźnego zezwolenia, popadł w tak głęboką depresję, że nawet bose po szyję dziewczęta nie mogły go rozerwać. Karpiński, Skowroński, Zawistowski – sekretarze księcia, Niemcewicz i Orłowski – adiutanci, odwiedzali znaczniejsze persony, donosząc o smutnej nowinie, którą znało całe miasto od trzech dni. Z kolei, zgodnie z etykietą, wszyscy składali księciu kondolencje, iż tak przedwcześnie został sierotą.

Wilno przycichło. Żałoba magnata zmusiła miasto do udawania wielkiego smutku. Niemcewicz siedział w domu, słuchał zrzędzeń Karpińskiego, grał z nim nieskończone partie szachów, gdy dostawał mata ciskał szachownicę o ziemię. Słodki poeta przysięgał zaperzony, że nigdy więcej z takim prostakiem do gry nie przystąpi. Po godzinie już się ściskali, a po półtorej znów łamali figury. ■

Przedruk za: Karol Zbyszewski, „Niemcewicz od przodu i tyłu", Zysk i S-ka, Poznań 2013.

eprasa.pl 425d19034c

Marcin Wolski

O przyszłej wojnie

Kiedy w 2023 roku doszło do inwazji na Ukrainę, wyobrażaliśmy sobie, że potoczy się ona według znanych scenariuszy – błyskawiczne opanowanie lotnisk, przejęcie kontroli nad przestrzenią powietrzną i przełamanie obrony przez siły pancerne. Wszystko zawiodło, nie udało się zdobyć kluczowego lotniska w Hostomelu, czołgi ugrzęzły w długich konwojach, do których strzelano jak do kaczek, nie doszło też do uzyskania miażdżącej przewagi w powietrzu jak we wrześniu 1939 roku. W sumie rozgrywka, którą wyobrażano sobie trochę jak powtórkę z II wojny światowej, przypominała bardziej I wielką wojnę, w której wojska ugrzęzły na długich liniach frontów, a sukcesem okazywało się posunięcie kilometr w przód. Jednym z powodów obecnych problemów są pieniądze – utrata samolotu za setki milionów w starciu z dronem za 100 dolarów okazała się wysoce nieopłacalna. Realną przewagę zapewniają bowiem łączność, tu bezcenne okazały się Starlinki Muska, a przede wszystkim drony. Jest to praktycznie pierwsza wojna dronowa nowoczesnego świata. Ukraińcy to przewidzieli, Rosjanie dopiero usiłują ich dogonić. Jednak porażki „niezwyciężonej Armii Czerwonej" w latach 2022–2026 nie oznaczają końca konfliktu, w który możemy zostać uwikłani my i bliska Europa. Czyniąc niezbędne przygotowania (mam nadzieję, że tylko na wszelki wypadek), musimy wiedzieć, na co się szykujemy, bo może się okazać, że inwestycje w czołgi, samoloty marnują kasę, którą wypadałoby wydać na drony i broń przeciwlotniczą.

Myśląc o zagrożeniach na przyszłość, trzeba zastanowić się, co może być decydujące w starciu nieliczącej się z niczym dyktatury z zasobnymi, rozleniwionymi demokracjami Zachodu. Ataki na elektrownie, magazyny paliw czy sieci przesyłowe to operacje tańsze niż dywanowe naloty na miasta. I chyba skuteczniejsze. W dodatku nastroje kapitulanckie zaatakowanych mogą być wspierane umiejętną propagandą, działaniami agentów wpływu, różnej maści terrorystów i separatystów, którzy nieoczekiwanie się ujawnią. Tu jeszcze raz mamy analogię do I wojny światowej. Nie rozstrzygnęły jej starcia militarne, lecz bolszewicki przewrót w Rosji i rewolucyjne zagrożenie w Niemczech. Zdecydowano się na rozejm, który nie satysfakcjonował nikogo (może poza Polakami) i tylko generował emocje pod przyszły konflikt. Oby tym razem w przypadku rozejmu na Ukrainie było inaczej.

A co do zdolności przewidywania, najczulszy nos mają nie teoretycy wojskowości, a satyrycy, czego przykładem był Jerzy Glejgewicht, lepiej znany pod pseudonimem Jurandot. Jeszcze przed wrześniem 1939 roku napisał wierszyk, który rychło okazał się ponurą ironią, ale dziś, po latach brzmi jak ponure proroctwo:

Przesada, proszę państwa, dość gruba przesada –
gazety rozdmuchują ten temacik błahy,
że groza, krwawe jatki, ogólna zagłada...
Strachy na Lachy!
A postęp, a technika, a geniusz człowieka?
Już dziś pusty samolot do góry się wzniesie,
już dziś można okrętem kierować z daleka,
a za lat 10?!
Wojna? Bardzo prosimy, na to jak na lato!
To już w nikim najmniejszej obawy nie budzi.
Czołg walczyć będzie z czołgiem, armata z armatą
same bez ludzi!
Strącać się będą z nieba puste samoloty,
pusta łódź się na pusty torpedowiec rzuci.
A ludzie? Cóż tu ludzie mają do roboty?
Zresztą wytruci! ■

eprasa.pl 425d19034c



Z kamerą w Śródziemiu

Łukasz Czarnecki

10 grudnia tego roku upłynie dokładnie ćwierćwiecze od światowej premiery „Władcy Pierścieni: Drużyny Pierścienia" – wyreżyserowanego przez Petera Jacksona epickiego widowiska otwierającego trylogię filmową na podstawie prozy J.R.R. Tolkiena. Stojący za kamerą Nowozelandczyk dokonał rzeczy, zdawałoby się, niemożliwej, przenosząc na srebrny ekran Śródziemie w pełnej jego krasie i tworząc dzieło tak totalne i przełomowe, że historię kinematografii dzielić dziś możemy na zamierzchłą przeszłość sprzed „Władcy Pierścieni" i rozpoczynające się wraz z jego premierą czasy nowożytne.

Mimo upływu lat trylogia Jacksona cieszy się nieustającą sympatią milionów fanów na całym świecie. W Polsce łatwo się o tym przekonać, choćby biorąc udział w corocznym Nocnym Maratonie Filmowym jednej z sieci kinowych, podczas którego wyświetlane są wszystkie trzy filmy w wydłużonych przez dodatkowe sceny wersjach reżyserskich. Choć seans zajmuje (bagatelka!) 12 godzin, a wszyscy potencjalni widzowie oglądali już „Władcę Pierścieni" wielokrotnie, to i tak by pomieścić wszystkich chętnych (których liczba w samym Krakowie oscyluje zwykle około tysiąca), udostępnić trzeba prawie wszystkie sale multipleksu. Warto przy tym dodać, że część uczestników imprezy przychodzi przebrana za ulubione postacie z sagi, zaś sam piszący te słowa każdego roku zjawia się na widowni przyodziany w T-shirt ze stosownym tolkienowskim nadrukiem.

Spektakularny sukces potrafi odsunąć w niepamięć wcześniejsze niepowodzenia. Maksyma ta wyśmienicie sprawdza się w przypadku adaptacji filmowej „Władcy Pierścieni". Zanim w roku 2001 na srebrnych ekranach zagościła „Drużyna Pierścienia" w wersji Petera Jacksona, spora grupa reżyserów zapuściła się z kamerą do krain Śródziemia w nadziei stworzenia ponadczasowego hitu. Śmiałkowie kolejno odkrywali, że przeniesienie prozy Tolkiena na duży ekran stanowiło wyzwanie większe nawet niż wyprawa Froda do Góry Przeznaczenia. I w przeciwieństwie do dzielnego Hobbita, który ostatecznie dotarł do celu, filmowcy jeden po drugim ginęli na poboczach drogi wiodącej „w przód i w przód".

» Sztuka albo gotówka

Pierwsze rozmowy na temat filmowej adaptacji „Władcy Pierścieni" rozpoczęły się wiosną 1957 roku, czyli już dwa lata po publikacji „Powrotu króla". Z reprezentującym Tolkiena wydawnictwem George Allen & Unwin prowadzili je producent Al Brodax i agent literacki Forrest J. Ackerman. Sam pisarz, który już wcześniej rozważał możliwość nakręcenia animacji na podstawie swej prozy (mimo deklarowanej głębokiej nienawiści do produkcji Disneya), był bardziej niż chętny na ubicie interesu z rzeczonymi dżentelmenami. Osoby wierzące w wyidealizowany obraz J.R.R. Tolkiena jako nobliwego, a zarazem dość prostodusznego uczonego oderwanego od spraw materialnych mogą bardzo się

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl 425d19034c

zdziwić, czytając zachowane w korespondencji profesora wymagania względem wytwórni mającej przełożyć jego arcydzieło na język filmowy. Zazwyczaj niezwykle elokwentny, tym razem wyraził się tak lakonicznie, że bardziej się nie dało, kreśląc zaledwie trzy słowa: „Sztuka albo gotówka". Później rozwinął myśl, precyzując, że o ile nie dostanie wystarczająco dużej sumy, to przez cały proces produkcyjny będzie wtykał nos w sprawy filmowców, pilnując, by „Władcę Pierścieni" przenosili na ekran kropka po kropce, tak jak stało w książce. Jeśli zaś zapłacą mu dość, by go zadowolić, to hulaj dusza, niech robią z materiałem źródłowych, co zechcą.

Planowana adaptacja miała w nowatorski sposób łączyć tradycyjną animację, animację poklatkową i grę aktorską. Napisanie scenariusza powierzono Mortonowi Grady'emu Zimmermanowi, ten zaś wziął się do pracy gorliwie, a jak wiadomo, nie ma nic gorszego niż nadgorliwość. W efekcie powstał potworek, który z oryginalną powieścią miał niewiele wspólnego. Orkowie przemienili się w humanoidalne ptaki, Faramir lewitował, a cała wymowa moralna oryginału uleciała z dymem z fajkowego ziela. Zimmerman był też chyba pierwszym w dziejach czytelnikiem „Władcy Pierścieni", który po lekturze opisów licznych niebezpieczeństw doświadczonych w podróży przez drużynę, zadał sobie pytanie, dlaczego bohaterowie nie polecieli do Mordoru na orłach. Sprawa ta do dziś rozpala miłośników tolkienowskiej prozy do tego stopnia, że pewien kabaret nakręcił nawet skecz na ten temat, a grupy na Facebooku są raz po raz wstrząsane burzliwymi dyskusjami. Tymczasem Morton nie zastanawiając się długo, postanowił poprawić pisarza i dopisał do historii całe stado tych ptaków pełniących funkcję rumaków dla dziewięciu piechurów (sic!). Swoją drogą scenarzysta wykazał się tu zadziwiającym brakiem konsekwencji, bo skoro bohaterowie przemierzali u niego Śródziemie na skrzydłach orłów, to powinien ich chyba nazwać dziewięcioma lotnikami, czyż nie?

Szczęśliwie dla historii kultury i zdrowia profesora Tolkiena pierwsze podejście X Muzy do „Władcy Pierścieni" zakończyło się przy biurku Zimmermana i zapowiadający się na katastrofę film ostatecznie nie powstał.

» Psychodeliczny pierścień

W 1967 roku nabyciem praw do ekranizacji powieści zainteresowała się amerykańska wytwórnia United Artists. Rozpoczęto negocjacje z pisarzem i wydawnictwem, a włodarze firmy zaczęli szykować grunt pod rozpoczęcie prac. I trzeba przyznać, działano z rozmachem. Na reżysera obrazu wybrano Stanleya Kubricka, a w głównych rolach postanowiono obsadzić… Beatlesów!

W 1968 roku producent Denis O'Dell odbył prawdziwą podróż tam i z powrotem, lecąc do Indii, gdzie członkowie najsłynniejszego brytyjskiego zespołu muzycznego wszech czasów zajmowali się właśnie nauką otwierania trzeciego oka w murach Akademii Medytacji Transcendentalnej. Na miejscu nie zastał co prawda Ringo Starra, który porzucił medytację w indyjskie diabły po tym, jak pokłócił się z pełniącym funkcję nauczyciela guru (autentycznie hinduskim, nie jak te nasze europejskie podróbki), ale przekonanie pozostałych członków legendarnej kapeli do wzięcia udziału w projekcie okazało się dziecinnie proste. Beatlesi aż rwali się, by wyruszyć do Śródziemia, i niezbyt przeszkadzał im fakt, że O'Dell wręczył każdemu z nich… tylko jeden tom trylogii, tak że poszczególni muzycy poznawali prozę Tolkiena w przypadkowej kolejności – od środka lub końca (z wyjątkiem Paula McCartneya, bo szczęściarz otrzymał do

eprasa.pl 425d19034c

przeczytania „Drużynę Pierścienia"). I tak wśród brzmień gongów, mistycznych zaśpiewów i fajkowego ziela (raczej na pewno mniej niewinnego niż to, którym raczyli się Hobbici) snuto plany superprodukcji, a John Lennon widział siebie w roli Gandalfa. Wszystkie projekty wzięły jednak w łeb, gdy Stanley Kubrick, zapoznawszy się z materiałem źródłowym, oświadczył producentom, że przeniesienie powieści Tolkiena na ekran jest niemożliwe.

United Artists wykazało się jednak wytrwałością godną maszerującego krasnoluda i negocjacje w kwestii nabycia praw filmowych trwały aż do 8 lipca 1969 roku, kiedy Tolkien sprzedał je firmie producenckiej za kwotę 250 tys. dolarów plus 7,5 proc. tantiem od przyszłych zysków. Włodarze wytwórni zapewne otworzyli tego dnia szampana przekonani, że dostali w swe ręce kurę znoszącą złote jajka. Wkrótce miało się jednak okazać, że czarodziejski ptak najadł się bardzo dziwnych ziaren…

Wytwórnia zaproponowała kierownictwo projektu nagrodzonemu w Cannes brytyjskiemu reżyserowi Johnowi Boormanowi, twórcy takich arcydzieł jak „Zbieg z Alcatraz" czy „Leo Ostatni". Ten z kolei zaprosił do współpracy scenarzystę Rospo Pallenberga. Obaj dżentelmeni zamknęli się na trzy miesiące w irlandzkim domu Boormana, skąd wyruszyli w podróż do Śródziemia. Do krainy elfów, krasnoludów i Pierścienia Władzy przenieśli się niemal dosłownie, bo ściany gabinetu, w którym pracowali, okleili wyciętymi z książek kartkami, dodatkowo przeplatając je diagramami, szkicami i własnymi notatkami, w których m.in. ustalali chronologię wydarzeń. Nawiązali nawet korespondencję z Tolkienem, w pierwotnej wersji scenariusza zamierzając obsadzić go w roli narratora. Efekt wyprawy śladami drużyny stanowił szczytowe osiągnięcie brytyjskiego reżysera, 176-stronicowy maszynopis miał w pełni oddawać ducha powieści, choć już nie jej literę. Od tej ostatniej Boorman z Pallenbergiem odeszli tak daleko, że autor literackiego oryginału prawdopodobnie nigdy nie zgodziłoby się użyczyć twarzy równie osobliwej mutacji.

W 1967 roku nabyciem praw do ekranizacji powieści zainteresowała się amerykańska wytwórnia United Artists. Na reżysera obrazu wybrano Stanleya Kubricka, a w głównych rolach postanowiono obsadzić… Beatlesów!

Śródziemie w postaci odmalowanej na kartach scenariusza zdawały się osnuwać opary z fajek, i to palonych nie przez Hobbitów, a hippisów. Twórcy świadomie postanowili uczynić swój film manifestem kontrkultury i rewolucji seksualnej. W efekcie Sauron w ich ujęciu przypominał Micka Jaggera z opuchniętymi wargami i wykonywał rockowy utwór. Jako że jeden z kluczowych elementów nadających epoce dzieci kwiatów kolorytu stanowiły różnego rodzaju środki psychoaktywne, uciekający przed Czarnymi Jeźdźcami Hobbici również zaliczali narkotykowy odlot za sprawą przekąski z halucynogennych grzybów. Jak pamiętają czytelnicy

eprasa.pl 425d19034c

„Władcy Pierścieni", w początkowych partiach powieści bohaterowie rzeczywiście spożywają grzybowy posiłek, jednakże złożony z niewinnych pieczarek otrzymanych od farmera Maggota. Tymczasem na srebrnym ekranie Frodo doświadczyć miał dzięki grzybkom odmiennych stanów świadomości.

Nie czas i miejsce na wyliczanie tu wszystkich dziwactw zrodzonych w umyśle panów Boormana i Pallenberga, warto jednak wymienić kilka z nich, niektóre mogłyby przyprawić konserwatywnie katolickiego autora powieści o zawał. Tolkien z uwagi na przekonania religijne i fakt, że po śmierci matki wychowywany był przez księdza, miał wyjątkowo pruderyjne przekonania dotyczące cielesności, dość rzec, że w pozostawionych notatkach zajmował się życiem seksualnym elfów, pisząc, iż nieśmiertelne oraz wiecznie młode istoty aktów płciowych dokonywały wyłącznie w celu prokreacji, a i to rzadko, bo z upływem stuleci przenosiły zainteresowania na inne dziedziny… Tymczasem w pierwszej wersji scenariusza Drużyna Pierścienia zabierała Froda do… burdelu na noc dzikiej rozpusty. Boorman co prawda później się opamiętał i do włodarzy wytwórni ostatecznie trafił maszynopis pozbawiony tej dosadnej sceny, ale brytyjski reżyser nie mógł jakoś odpędzić się od myśli o seksualnym życiu mieszkańców Śródziemia i w zamian włączył scenę, w której Frodo… uprawiał seks z Galadrielą! Żeby było jeszcze dziwniej, wiele wskazywało na to, że Aragorn i Boromir też czuli do siebie miętę, bo w jednej ze scen całowali się zakrwawionymi ustami! W bitwie o Minas Tirith brali udział pszczelarze, a jako że Arwena miała mieć zaledwie 13 lat, to jej ukochany, Obieżyświat, żenił się ostatecznie z Eowiną. Dodajmy do tego opowiadający historię Pierścieni Władzy spektakl kabuki zaprezentowany na dworze Elronda czy krasnoluda Gimlego przechodzącego sesję terapii pierwotnym krzykiem, by odblokować pamięć genetyczną (przy wydatnym udziale okładającego go kosturem Gandalfa). Jednym słowem – czegoś takiego oko Saurona nie widziało!

Kiedy scenariusz był już gotowy, reżyser zaniósł go do siedziby United Artists po to tylko, by odkryć, że dyrektor, który zlecił mu pracę nad „Władcą Pierścieni", odszedł z firmy, a w zarządzie nie został nikt choćby w najmniejszym stopniu zainteresowany projektem. Dzieło życia Brytyjczyka trafiło ad acta, a on przez następne dwie dekady usiłował zainteresować scenariuszem kolejne wytwórnie, wliczając w to Disneya. Nie znalazł nikogo, kto chciałby wyłożyć pieniądze na realizację filmu, który powoli stawał się już jego obsesją. Ostatecznie zgorzkniały wymuszoną banicją ze Śródziemia John Boorman wykorzystał pomysły z niezrealizowanej superprodukcji, wplatając je do swojego

Spora grupa reżyserów zapuszczała się z kamerą do krain Śródziemia w nadziei stworzenia ponadczasowego hitu. Śmiałkowie kolejno odkrywali, że przeniesienie prozy Tolkiena na duży ekran stanowiło wyzwanie większe nawet niż wyprawa Froda do Góry Przeznaczenia.

eprasa.pl 425d19034c

„Excalibura" z roku 1981, epickiego arturiańskiego fresku, który na całe dekady wyznaczył niedościgły wzorzec ambitnego kina fantastycznego.

» Ruchome obrazki

Podczas gdy kolejne próby ożywienia wizji Tolkiena za pomocą aktorów spalały na panewce, o wiele lepiej działo się na niwie animacji. W 1976 roku studio Rankin/Bass zakupiło prawa do stworzenia rysunkowej adaptacji „Hobbita". Firma miała ugruntowany status na amerykańskim rynku w związku z kultową, emitowaną w USA w każde święta kreskówką o reniferze Rudolfie Czerwononosym.

Włodarze wytwórni postanowili przy okazji przenoszenia na ekran książki należącej już do klasyki literatury dziecięcej pobawić się formą. Większość zadań oddelegowano do japońskiego studia Topcraft, które lata później przeobraziwszy się w Ghibli, miało stać się najpotężniejszym graczem na rynku anime. W efekcie tej współpracy powstała produkcja kompletnie różna stylem od tego, do czego przyzwyczajony był zachodni odbiorca. Być może właśnie ów powiew egzotyki nadający Śródziemiu pewną obcość stał za sukcesem odniesionym przez półtoragodzinny film. Warto podkreślić, że Rankin/Bass nie szczędziło środków finansowych, w momencie premiery w listopadzie 1977 roku magazyn „The New York Times" informował czytelników, że przy budżecie wynoszącym 3 mln dolarów „Hobbit" był (w owym czasie) najdroższą animacją w dziejach telewizji!

Kiedy amerykańskie dzieci, siedząc przed odbiornikami, śledziły przygody Bilbo Bagginsa, do własnej wyprawy do Śródziemia szykował się Ralph Bakshi, uznany twórca animacji dla dorosłego widza, osławiony obrazoburczym „Kotem Fritzem" oraz metaforyczną opowieścią o Holokauście „Wizards". Zafascynowany „Władcą Pierścieni" postanowił przenieść go na wielki ekran za pomocą nowatorskich technik, takich jak rotoskopia, czyli odmalowywanie na taśmie scen kręconych wcześniej na żywo, z udziałem aktorów. Sam reżyser określał planowane dzieło nie jako kreskówkę, lecz film tak realistyczny, jak to tylko możliwe. Zamierzał stworzyć nie pojedynczy obraz, a dylogię, by jak najpełniej oddać ducha powieści.

„Władca Pierścieni" Bakshiego zadebiutował w kinach w 1978 roku i okazał się sporym sukcesem komercyjnym, przynosząc 33 mln dolarów zysku. Wampir pogrzebany w tym, że reżyser z bólem serca musiał ciąć fabułę, efektem czego było na przykład pojawienie się tak ważnej postaci jak Drzewiec zaledwie na minutę, a wiele innych wątków literackiego oryginału zostało pominiętych bądź skróconych.

Animowana adaptacja prozy Tolkiena z pewnością uwodzi klimatem. Ten wciąga widzów od pierwszych sekund, kiedy oglądamy w blasku płonącego ognia tańczące na ścianie cienie przedstawiające historię Saurona i Pierścienia Władzy. Niesamowite wrażenie wywierają postacie Nazguli i orków, które potrafią przyprawić o dreszcze bardziej nawet skutecznie niż ich inkarnacje z filmów Jacksona. Potęgowaniu atmosfery grozy sprzyja efekt rotoskopii, czarne sylwetki sług Mordoru zdają się zupełnie nie pasować do otaczającej scenerii, co nadaje im niepokojącej obcości.

O wiele gorzej wypadają projekty pozytywnych postaci. Szczególnie groteskowy znawcom książki wydawać musi się Boromir. Jak pamiętamy, był on synem i następcą Rządcy Gondoru, ostatniego prawdziwie wielkiego i zaawansowanego kulturowo ludzkiego

eprasa.pl 425d19034c

królestwa Śródziemia. Tymczasem dumny rycerz w ujęcia Bakshiego chodzi ubrany w kiepsko wyprawione skóry i nosi hełm z rogami, żywcem wyjęty ze stereotypowego (i całkowicie błędnego) wyobrażenia wikinga! Jeśli ten barbarzyńca prezentuje wysublimowaną i starożytną kulturę, to strach pomyśleć, na jakim poziomie miałaby tkwić cywilizacja w bardziej prymitywnych rejonach Śródziemia!

„Władca Pierścieni" zdobył w 1979 roku wiele nagród filmowych, jednakże z bliżej nieznanych powodów Ralph Bakshi nie otrzymał od United Artists zgody i funduszy po-

otwarte poprzednio wątki. Mimo to jakimiś nieprawdopodobnym zbiegiem okoliczności powstał „Powrót Króla", który można (wbrew faktom) oglądać jako kontynuację „Władcy Pierścieni" z 1978 roku, o ile, rzecz jasna, przymknie się oczy na zupełnie innego ducha produkcji, styl animacji i wygląd postaci: gładko ogolony w pierwszym filmie Aragorn tu nosi brodę, a budzący tam grozę orkowie w tej wersji wywołują raczej pełen politowania śmiech, gdyż przypominają żaby.

Jak widać z powyższej historii, do Śródziemia nie tak łatwo się dostać. Odbyć zakończo-

Animowana adaptacja prozy Tolkiena z pewnością uwodzi klimatem. Ten wciąga widzów od pierwszych sekund, kiedy oglądamy w blasku płonącego ognia tańczące na ścianie cienie przedstawiające historię Saurona i Pierścienia Władzy.

trzebnych do nakręcenia drugiej części. Opowieść o wojnie o Pierścień urwała się nagle w momencie triumfu sił dobra w bitwie o Helmowy Jar oraz wędrówki Froda wraz z Samem i Gollumem do Lochu Pajęczycy, które to sceny zamykają film. Widzowie pozostali z niedosytem i zawodem. I wtedy nastąpił zadziwiający zwrot akcji, którego nie powstydziłby się Tolkien, bo oto w 1980 roku studio Rankin/Bass wypuściło animację „Powrót Króla" stanowiącą adaptację (aczkolwiek bardzo skróconą, bo zamkniętą w niespełna 100 minutach) ostatniego tomu trylogii. Najbardziej niesamowitym elementem było to, że twórcy „Hobbita" prace nad swoim filmem zaczęli jeszcze przed premierą obrazu Bakshiego, nie mając siłą rzeczy wiedzy o tym, że reżyserowi nie uda się sfinalizować projektu i nakręcić drugiej części dylogii zamykającej

ną sukcesem podróż „tam i z powrotem" udało się dopiero Peterowi Jacksonowi. Średniowieczni uczeni lubili jednak mawiać, iż „byli karłami na ramionach olbrzymów", a maksyma ta znajduje zastosowanie również w przypadku perypetii związanych z przenoszeniem „Władcy Pierścieni" na ekran. Wystarczy obejrzeć zaraz po sobie obydwie animowane adaptacje i produkcje Nowozelandczyka, by przekonać się, jak wiele inspiracji czerpał od swoich mniej szczęśliwych poprzedników. Sam Jackson nigdy zresztą nie wypierał się, że ma dług wdzięczności wobec poległych na bojach z Tolkienem filmowców starszych generacji, wprost przyznając, że „Władcę Pierścieni" przeczytał po raz pierwszy jako nastolatek głównie dlatego, że wpadło mu w ręce wydanie z fotosami z lubianego filmu Ralpha Bakshiego na okładce. ■

eprasa.pl 425d19034c



Marek Kalinowski

Dało się! I to jeszcze jak!

Pianista Marcel Baliński poprzez muzykę zamienia ograniczenia w prawdziwą super moc. Nowa płyta Współgłosów łączy jazzową improwizację z porywającymi przebojami. „Wszystko się musi dać" przekonuje w jednym z utworów aktor Tomasz Kot. Ma rację: dało się! I to jeszcze jak!

Współgłosy sześć lat temu założył kompozytor i pianista Marcel Baliński dla swojej młodszej siostry Adeli. Ich marzeniem był zespół, w którym obok profesjonalnych artystów mogłyby również śpiewać i grać osoby z niepełnosprawnością intelektualną. Pomysł okazał się strzałem w dziesiątkę, udało się nie tylko zbudować świetny zespół, zagrać kilkadziesiąt koncertów, lecz także wydać znakomitą płytę nagrodzoną w ubiegłym roku Fryderykiem.



Współgłosy, „II", Fundacja Współgłosy, Marcel Baliński

Po takich doświadczeniach i sukcesach podział na amatorów i zawodowców raczej przestaje mieć znaczenie. Współgłosy stanowią dziś w pełni zintegrowany, profesjonalny zespół. O ile pierwsza płyta była kopalnią muzycznych poszukiwań, tutaj improwizacje zmierzają już w bardziej uporządkowane formy, a efektem jest kilka naprawdę porywających piosenek.

„Czy jesteście już gotowi na przyjście?" – rzuca zaczepnie i wieloznacznie Błażej Król, jeden z gości, którzy wystąpili razem ze Współgłosami. No właśnie: kogo? A może czego? To, co zwyczajne, miesza się tu nieustannie z tym, co zaskakujące, a przy tym często prowadzi do spraw najważniejszych. Takich momentów, w których słowa Współgłosów potrafią zatrzymać słuchacza, jest naprawdę mnóstwo.

Jeśli wydawało się, że o miłości nie da się już napisać w piosenkach niczego nowego, Współgłosy znowu zaskakują. „Wszystko się musi dać" wyrecytowane przez Tomasza Kota przy magicznym chórze zespołu, absolutnie czaruje optymizmem. W swoim muzycznym szaleństwie, zabawie głosem i słowem potrafią też zaczarować najmłodszych słuchaczy. Sam sprawdziłem, że ich „Krakowiak" okazał się idealnym tłem do rytmicznych zabaw maluchów. Nieco starsi słuchacze dostaną natomiast okazję do gry skojarzeń. W rodzimym gospel „I Wanna Say" trudno bowiem nie dostrzec radosnego ducha Raya Charlesa. Albo we „współgłosowym" „Font Pas" dość szybko odnajdziemy zabawne nawiązanie do muzyki francuskiej i niezapomnianego dialogu Dalidy z Alainem Delonem.

Tam, gdzie historii nie da się opowiedzieć słowami, swoją rolę doskonale wypełnia muzyka. W „Lolo" zabiera jednego z bohaterów piosenek w sięgające chmur, niekończące się wyprawy. Czego szuka podczas tych dalekich podróży? Być może nie tylko usłyszą Państwo głos i pragnienia Lolo, lecz także odpowiedź na własne najważniejsze pytania. To poruszająca płyta, która powstała z potrzeby improwizacji, a w której wszystko zagrało. ■

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl 425d19034c



Krzysztof Karnkowski



Orwellowska pułapka na filmowców

Na Zachodzie ten film premierę miał jakiś czas temu. Już na etapie zwiastunów wzbudził całkiem dużo kontrowersji i zebrał raczej kiepskie oceny. U nas zaczęto go grać 18 września – jak to w kinowym zwyczaju od weekendu. Choć w tym przypadku 17 miałby pewien głębszy sens. Mowa o „Folwarku zwierzęcym” w reżyserii Andy’ego Serkisa.

Wygląda na to, że różne książki piszącego jako George Orwell Erica Blaira mają – to w sumie banalne stwierdzenie – różny potencjał, jeśli chodzi o ekranizację. Poza najważniejszą dwójką, filmowcy sięgali też po mniej u nas znaną powieść „Wiwat aspidistra", opisującą historię społecznego buntu młodego, lewicującego mieszczanina. Tę ekranizowano dwa razy, – w latach 50. i 90. „Rok 1984" wydaje się być atrakcyjny jako materiał na film, wymaga jednak pomysłu i ambicji. Tę chyba najbardziej znaną orwellowską powieść przenoszono na ekrany bardzo często. Jeszcze w latach 50. doczekała się kilku spektakli telewizyjnych, z których wersja z 1954 roku wywołała szok z powodu pokazania scen tortur, zaczerpniętych z książki. Najbardziej znana i najwierniejsza ekranizacja powieści, z Johnem Hurtem jako Winstonem, została wyreżyserowana przez Michaela Radforda. Ponury, pełen szarości i beznadziei film, pokazujący świat w nieokreślonym czasie, powstawał w tych samych miesiącach, w których Blair umieścił akcję swej opowieści. Co ciekawe, jeszcze w 2023 roku powstała niezależna produkcja fińsko-rosyjska, która jednak nie trafiła do szerszej dystrybucji. Dostępne w internecie fragmenty wskazują, że jest to film silnie artystyczny, obficie korzystający z efektów komputerowych i elementów animacji. „Folwark zwierzęcy" wydaje się z tych wszystkich pozycji najtrudniejszy. O zwierzętach, więc jakby bajka, jakby dla dzieci. Zarazem jednak dotykający spraw bardzo poważnych i pełen scen dramatycznych, wręcz drastycznych. Bajki bywały okrutne, ponure i krwawe, więc można powiedzieć, że to nic nowego. Wydaje się jednak, że sięgający po tę powieść filmowcy wpadali w rozmaite pułapki. Serkis również od nich nie uciekł, a być może nawet zaliczył najwięcej poważnych błędów.

FOT. MAT. PRAS.

» Pierwsze dwa podejścia

Pierwsza ekranizacja „Folwarku zwierzęcego" powstała w Wielkiej Brytanii w 1954 roku, niespełna dekadę po publikacji książki i cztery lata po śmierci Orwella. Wyreżyserowali ją małżonkowie John Halas i Joy Batchelor, pionierzy brytyjskiej animacji. Był to pierwszy pełnometrażowy brytyjski film animowany przeznaczony do powszechnej dystrybucji kinowej, lecz zdecydowanie nie przypominał pogodnych produkcji Disneya. Sielankowy początkowo obraz angielskiej prowincji stopniowo pogrążał się w mroku i, tak jak w przypadku „Roku 1984", szokował widzów brutalnością. Szczególnie przejmująco pokazano terror psów Napoleona, egzekucje zwierząt oraz wywiezienie wycieńczonego Boxera do rzeźni. Co ciekawe, po latach okazało się, że obie pełnometrażowe, kinowe ekranizacje Orwella były hojnie wspierane przez CIA, która uznała antykomunistyczną wymowę obu jako poręczny oręż w propagandowej odsłonie zimnej wojny. Kto płaci, ten jednak również wymaga. Choć więc pierwszy „Folwark…" jest najwierniejszą z adaptacji, musiał mieć inne zakończenie. Ludzie zostali odsunięci na drugi plan, a na folwarku wybuchł kolejny bunt, tym razem wymierzony w świnie.

Druga pełnometrażowa ekranizacja „Folwarku zwierzęcego" powstała w 1999 roku jako kosztowny film telewizyjny wyprodukowany przez Hallmark Entertainment i stację TNT. Reżyser John Stephenson połączył zdjęcia prawdziwych zwierząt z mechaniczną animacją kukiełek przygotowaną przez Jim Henson's Creature Shop oraz wczesnymi efektami komputerowymi. Dzięki temu folwark wyglądał realistycznie, choć mówiące zwierzęta – szczególnie świnie o niemal ludzkiej mimice – wywoływały niekiedy efekt bardziej niepokojący niż zamierzony.

eprasa.pl 425d19034c

Największą zmianą było uczynienie przewodniczką po historii suczki Jessie, postaci występującej w książce jedynie na dalszym planie. W filmie to ona obserwuje narodziny rewolucji, demaskuje kłamstwa świń, przeżywa terror Napoleona i opowiada całą historię z perspektywy świadka. Napoleon posługuje się unowocześnioną propagandą, zmieniając dyktaturę w medialne widowisko. Podstawowe elementy książki zostają zachowane, choć znów zmienia się zakończenie. Tym razem folwark popada w ruinę, a po śmierci świń nadzieja wraca wraz nowymi, ludzkimi właścicielami.

żarty z czynności fizjologicznych – choć w tej kwestii odwołujących się do stereotypu świni. Sama animacja wpisuje się we współczesny kanon, z postaciami słodkimi i naiwnymi, groźnymi lub chciwymi – i do tej sfery trudno się przyczepić. Napoleon jako główny czarny charakter ma pewną moc uwodzenia i od strony wizualnej nie budzi zastrzeżeń, jest wiarygodny. Problemem jest jednak spora, choć niekonsekwentna infantylizacja. Tańce, swawole, młodziutki narrator, urocze zwierzątka – wszystko zderza się ostatecznie z tym samym orwellowskim dramatyzmem pomimo

Folwark zwierzęcy" A.D. 2025 demaskuje realne zagrożenia ze strony władzy, aparatu przemocy czy uwodzicielskiego potencjału rozmaitych kieszonkowych dyktatorów i ich propagandy.

» Zderzenie infantylizmu z dramatyzmem

Najnowsza adaptacja jest zarazem najbardziej popkulturowa i najmocniej zinfantylizowana. Produkcja trwała według niektórych wypowiedzi twórców ponad dekadę, głównie z powodu problemu ze znalezieniem dystrybutora. Trudno się temu dziwić, ponieważ Serkis próbuje chwilami łączyć ogień z wodą. Ponieważ Orwell skorzystał w swym dziele z narzędzi twórczych przypisanych do bajki, a bajka kojarzy się z dziećmi, reżyser postanowił stworzyć „Folwark…" utrzymany w pełni w estetyce współczesnego kina dziecięcego, ze wszystkimi tego konsekwencjami. Mamy więc hałaśliwą, czasem zbyt nasyconą kakofonią stronę dźwiękową, mamy radosne piosenki i beztroskie tańce, a czasem też mało wymagające zamiany wzorowanego na Trockim Snowballa w troszczącą się o przyszłość Pigułę.

I tu przechodzimy do głównej zmiany: ten „Folwark zwierzęcy" nie jest krytyką komunizmu, a raczej populizmu i kapitalizmu równocześnie. Zwierzęta, zmęczone złym traktowaniem i przerażone perspektywą (realną) trafienia do rzeźni, rzucają się na głęboką wodę, ale ulegają pokusie beztroski. Nie ma jednak prądu, jedzenie się kończy, próbują w końcu coś organizować, wreszcie wpadają w łapy bezdusznego kapitału reprezentowanego przez kolejną typową baśniową złą: piękną i bogatą, jeżdżącą stylizowanym na Teslę właścicielką dużego folwarku.

Trudno więc przypisać ten film do jednej myśli i jednej ideologii. Nie chciałbym wmawiać twórcom intencji, które zapewne nie

eprasa.pl 425d19034c

przyszły im nawet do głowy, ale polski widz może tę opowieść odczytać też jako obraz postkolonializmu, w którym po brutalnej okupacji przychodzą własne nieudolne i skorumpowane rządy, zastąpione następnie przez bezlitosny wyzysk ze strony chciwych sąsiadów. Jednak widz bardziej politycznie świadomy raczej zobaczy tu pewne obsesje liberalno-lewicowej elity, ze złym kapitalizmem i potrzebą oddania władzy komuś, kto potrafi o wszystko zadbać i wszystko zaplanować, komuś starszemu i mądrzejszemu. Jakieś Unii Wolności dla zwierzaków.

Tymczasem te filmowe ostrzeżenia nie są zupełnie oderwane od rzeczywistości. „Folwark zwierzęcy" A.D. 2025 demaskuje realne zagrożenia ze strony władzy, aparatu przemocy czy uwodzicielskiego potencjału rozmaitych kieszonkowych dyktatorów i ich propagandy. Nie wiem tylko, czy zderzenie wspomnianego infantylizmu z kilkoma naprawdę dramatycznymi scenami nie będzie dla małego widza za trudne w odbiorze, tak samo jak sam infantylizm dla dorosłego miłośnika prozy Erica Blaira.

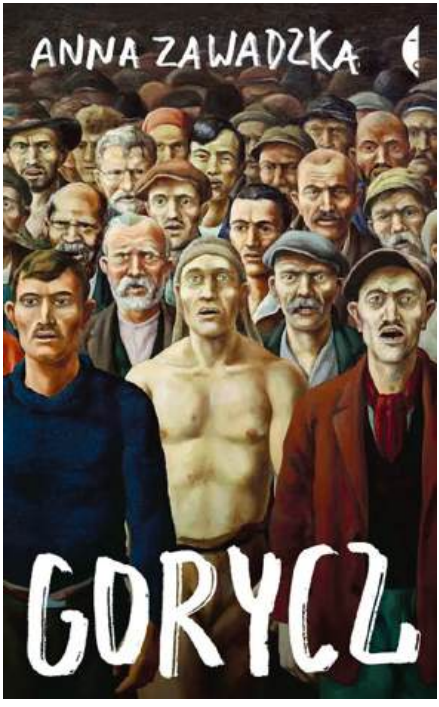
» „Rok 1985" – odpowiedź na „Rok 1984"

Skupiając się na krytyce, widzę w tym obrazie pewien wychowawczy i poznawczy potencjał, choć spodziewam się, że efekt może być odłożony w czasie. Jeśli bowiem młody widz film ten przyswoi, nieświadom całkowicie rozterek starszych recenzentów, być może w przyszłości sięgnie po właściwą książkę i dopiero wtedy odkryje głębię tej opowieści, jej umiejscowienie w prawdziwej i dramatycznej historii świata w XX wieku. Zmiana akcentów może być potraktowana jako zamach na prawdziwe intencje pisarza, nie zapominajmy jednak, że jako osoba wrażliwa społecznie i ideowy, wrogi totalitaryzmom lewicowiec Orwell dostrzegał przecież również wady i bezduszność ustroju, w którym żył i tworzył.

Pamiętajmy, choć może to być szokujące dla czytelnika z dawnego bloku wschodniego, że już pod koniec lat 70. swoistej redefinicji testamentu Orwella dokonał Anthony Burgess. W wydanym w 1978 roku „Roku 1985" autor „Mechanicznej pomarańczy" najpierw poddał „Rok 1984" krytycznej analizie, a następnie przedstawił własną wizję społeczeństwa tracącego wolność. Tu zagrożenie nie przychodziło ze strony wszechpotężnej partii, na podobieństwo stalinowskiego państwa kontrolującej każdy aspekt życia obywateli. Wielka Brytania Burgessa rozpadała się od środka – paraliżowana przez konflikty społeczne, wszechwładzę związków zawodowych, upadek edukacji, erozję wspólnej kultury i coraz słabsze państwo. Była to więc polemika z konkretną diagnozą Orwella, ale zarazem próba zachowania istoty jego ostrzeżenia: wolność może zostać utracona nie tylko wtedy, gdy państwo staje się zbyt silne, lecz również wówczas, gdy społeczeństwo i jego instytucje stają się zbyt słabe, by jej bronić. Burgess sugerował tym samym, że „orwellowskie" zagrożenie nie musi nadejść w mundurze Wielkiego Brata – może wyłonić się również z chaosu, społecznej dezintegracji i stopniowego zaniku norm, które dotąd ograniczały władzę.

Co ciekawe, po latach bronią się wizje obu pisarzy. Może więc tak naprawdę problemem nie jest sama próba użycia uniwersalnej myśli Orwella do walki ze współczesnymi zagrożeniami (ktoś powiedziałby pewnie „wiatrakami"), a sama jej forma? Z tym ostatnim najprędzej się zgodzę, choć ostateczną ocenę zostawiłbym współczesnym dzieciom – i to dopiero wtedy, gdy już dorosną. Na razie zaś, jeśli pokażą Państwo im ten film, po prostu dodajcie kilka słów od siebie. ■

eprasa.pl 425d19034c



Anna Zawadzka, „Gorycz”, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2025.

Krzysztof Wołodźko



Berlin gastarbeiterki

Polka w Niemczech, zdeklasowana pracownica naukowa, pracująca uboga, która w Berlinie chce się utrzymać na powierzchni życia, to obrazek, który nie pasuje do większości mainstreamowych, potransformacyjnych opowieści. W na poły reportażowej, na poły analitycznej książce „Gorycz” Anna Zawadzka nie oszczędza nikogo, łącznie z samą sobą. Dla niej stolica Niemiec nie jest miastem lansu i prestiżu – jest przekleństwem gastarbeiterki, która w Warszawie nie mogła utrzymać się z pracy na uczelni.

eprasa.pl 425d19034c

Dawno nie czytałem książki, której smutek, złość i gniew zaciskają węzeł na gardle. „Gorycz" Anny Zawadzkiej strona po stronie budzi niemal fizyczny opór przed lekturą, bo to wszystko zdarzyło się naprawdę. Z góry ostrzegam prawicowych czytelników – także dla nich to nie będzie łatwa książka. Autorka nie jest altlewaczką, która mruga w prawą stronę, żeby zebrać czyjeś brawa za bezpardonową krytykę niemieckiego społeczeństwa i tamtejszych instytucji. Ona po prostu jest wściekła na to, czego doświadczyła; nie ma też złudzeń co do własnego lewicowego środowiska, dla którego – przynajmniej na moment – stała się obca. Takich historii jest pewnie wiele, ale nikt nie chce ich opowiadać, bo stanowią intymne piętno, przypominają o wstydzie i traumie. Smakują porażką, a w kapitalizmie (nie tylko w wersji po polsku) winny jest ten, kto przegrywa. Autorka „Goryczy" przełamuje tabu – oskarża niemieckie społeczeństwo i instytucje o zakamuflowany rasizm. Kryje się on w obyczajowości zwykłych ludzi, zarówno szeregowych urzędników, jak i lewaczek zbawiających świat, którzy nie potrafią uszanować w swoim kraju obcej, smutnej, zmęczonej Polki. Napisałem w życiu przynajmniej kilka „duszoszczypatielnych" tekstów i wiem, jak potężnej wymagają energii emocjonalnej. Tym bardziej myślę o tym, ile kosztował autorkę wysiłek przelania swoich przejmujących doświadczeń na papier. Z jej wnioskami można się zgadzać lub nie, jednak obok samej historii nie sposób przejść obojętnie.

» Uczelniane biedne życie

Anna Zawadzka, rocznik 1980, urodzona w Warszawie, w 2018 roku wyjechała za chlebem do Niemiec. Na uczelni w Polsce zarabiała wówczas 2000 złotych netto. I to po ośmiu latach pracy! Za Odrą spędziła kilka lat, pracowała fizycznie jako pomocnica ogrodnika, ochroniarka w galerii sztuki i „żywy eksponat" w kolejnym przybytku muz. Zajmowała się też zielenią w berlińskim biurowcu. Online wciąż pracowała na polskiej uczelni, ale czuła się coraz bardziej wyobcowana, przytłoczona podwójnością i niespójnością zawodowego i życiowego doświadczenia. Robotnica umysłowa i robotnica fizyczna – w Polsce socjolożka, a w Niemczech przepracowana, żyjąca kątem imigrantka zarobkowa. Potrzebny będzie dłuższy cytat: „Wyjeżdżałam z Polski, będąc pewna, że już do niej nie wrócę. Chyba że po pudła z moimi rzeczami, które zalegały na strychu u przyjaciół. Na początku 2021 roku jednak wróciłam. Mogłam wrócić, bo Jarosław Gowin, PiS-owski minister szkolnictwa wyższego, podniósł pensje pracowników naukowych państwowych instytucji badawczych. Z dnia na dzień moje wynagrodzenie skoczyło do czterech tysięcy netto. Powtarzam: Gowin podniósł mi pensję o sto procent. Powtarzam, bo drażni mnie, że nikt nie chce o tym głośno mówić. Moi koledzy z pracy, humaniści zaciekle strzegący prawdy i święcie oburzeni na polityzację nauki, uparcie o tym milczą. Nie chcą przyznać, że skorzystali na władzy PiS-u. Albo im z tym niewygodnie, albo się tego po prostu wstydzą. […] W życiu nie głosowałam na PiS i głosować nie zamierzam, ale nie będę udawać, że to nie PiS pozwolił mi zamieszkać znów w Polsce. Z całą pewnością nie był to ani Tusk, ani tym bardziej Kon Sty Tuc Ja".

Wedle pewnego stereotypu Anna Zawadzka powinna robić karierę na warszawskiej uczelni – krytycznie zajmowała się i rodzimym antysemityzmem, i antykomunizmem. Kariery jednak nie zrobiła, nie miała bowiem ani wystarczającego kapitału kulturowego (jak to mówią: nie miała nazwiska), ani ekonomicznego. A że nie da się ugotować zupy na odrobinie uczelnianego prestiżu i wstępnym wtajemniczeniu w akademicki świat, w końcu wyjechała do Niemiec. „Ja naprawdę byłam wdzięczna. Najpierw wszystko mi się podobało, wszyscy mnie zachwycali, chciałam się wszystkim rzucać na szyję i im dziękować, że mogę tu być. Ale potem zrozumiałam, że oczekuje się ode mnie wdzięczności. I będzie oczekiwać już zawsze". Jedna praca, druga praca; jedno

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl 425d19034c

mieszkanie, drugie mieszkanie. Szefowie, sublokatorki, koleżanki – system kar dla próbującej zrozumieć otaczający ją świat, kiepsko mówiącej po niemiecku Polki. Najróżniejsze wymiary przemocy, obojętności, niechęci, lekceważenia i protekcjonalizmu. Poczucie podporządkowania, wzmacniane przez przyjmujące najróżniejsze postaci niebycie u siebie: od gąszczu urzędniczych formalności po ciche faworyzowanie przez niemieckiego szefa kolegi z pracy, również Niemca, emocjonalnego terrorysty.

» Klasizm i rasizm

Nasi zachodni sąsiedzi, a przynajmniej znaczna część z nich, bardzo się obawiają zarzutów o rasizm. Język, czy raczej nieznajomość niemieckiego, jest według Anny Zawadzkiej mniej lub bardziej subtelnym narzędziem neokolonialnej dominacji: „Nieznajomość niemieckiego jest niezawodnym triggerem agresji Niemców wobec migrantów". Koledzy i koleżanki z pracy i z mieszkania, urzędnicy i urzędniczki, bez których spadniesz na dno, jeśli zechcą, nie będą mówić z tobą po angielsku, choć potrafią. Nie obchodzi ich, że dopiero przyjechałaś, że masz gorszy dzień, że stres nie pozwala polskich myśli przełożyć na niemiecką mowę. Rzekoma troska o lepszą, bardziej płynną komunikację jest narzędziem dyscypliny i opresji, to specyficzny Kulturkampf, tyle że ubrany w język towarzyskiej, zawodowej, instytucjonalnej racjonalności. Ktoś powie, że to czysto subiektywne, ale bardzo podobne wnioski znajdziemy w głośnej książce „Kaput. Koniec niemieckiego cudu gospodarczego" Wolfganga Munchau (recenzowałem ją dla „Nowego Państwa" – numer 224, 06/2025).

Po kilkudziesięciu stronach „Goryczy" westchnąłem: „Jak bardzo się różni Berlin opisany przez Zawadzką od miasta, o którym opowiadają nadwiślańscy ludzie kultury, sztuki i nauki!". Dzielnice pracujących ubogich, zwykle imigrantów z krajów arabskich, Europy Wschodniej, wielu innych miejsc nijak się mają do najzamożniejszych okolic. Na samym dole społecznej hierarchii znajdują się systemowo zaniedbane dzielnice tych, którzy sprzątają miasto – którzy za najmniejsze pieniądze dbają o to, by nie zarosło brudem, miało co jeść, gdzie się bawić i kłócić o politykę. Nad nimi dzielnice postępowej klasy średniej, która lubi humanitaryzm i porządek, szczególnie gdy dbają o niego pracowici i spokojni obcy. Jeszcze wyżej dzielnice ciszy i zieleni, z domami, w których „mieszka sporo staruszek, które choć z trudem pamiętają, jaki dziś dzień i co wczoraj jadły na obiad, to dobrze pamiętają, czym jest aryjskość". Są też dzielnice urzędów, gdzie obsługuje się bezrobotnych: „kolejki są w nich wielogodzinne, a najczęściej nie ma nawet krzesełek dla interesantek, o tłumaczach nie wspominając, choć zdecydowana większość interesantów to migranci i uchodźcy". Są też dzielnice wielkiego biznesu, w których ludzie o starannie wypielęgnowanych dłoniach mijają się wzrokiem z przemęczonymi pracownicami i pracownikami fizycznymi. Jedni usuwają zbędne wydatki z tabelek Excela, drudzy usuwają brud z szyb, podłóg, toalet. Tam, gdzie bogato, i tam, gdzie biednie, klasizm miesza się z rasizmem, postępowość z dyskryminacją, a najlepsze intencje z hipokryzją i cynizmem.

» Co cenzurują elity

Anna Zawadzka mówi wprost – Berlin pracujących ubogich z całego świata, w tym z Polski, to nie jest miasto Jacka Dehnela. Autor „Lali" (i bardzo ładnego przekładu „Opowieści wigilijnej" Charlesa Dickensa) co prawda nieco się stolicą Niemiec rozczarował, ale ponoć dlatego, że nie ma tam „takich uprzejmych kelnerów i kelnerek" jak w Polsce. Reportażystka kpi z tej perspektywy, nie interesuje jej nowobogackie polskie spojrzenie na miasto nad Szprewą: „Z perspektywy ich stypendiów, ich sabatowych urlopów, ich posad w branży kultury, ich wypasionych emerytur, ich obiadów z przyjaciółmi nie widać kolosalnego przywileju ani tego, na czym jest on zbudowany".

Autorka „Goryczy" opowiada wymowną historię. Pewnego razu skontaktowała się z nią i jej

eprasa.pl 425d19034c

przyjacielem dziennikarka „New York Timesa", „żeby napisać kolejny artykuł o gejach i lesbijkach wygnanych z Polski przez politykę PiS-u. Oboje tłumaczyliśmy jej, że to nie takie proste. Że choć jesteśmy z queerowego środowiska, nas wygnała z Polski sytuacja materialna, zdefiniowana przez rządy Platformy Obywatelskiej. […] Że Berlin jest miastem napędzanym źle opłacaną pracą migrantów. Opłacaną lepiej niż w Polsce, bo da się z tego wyżyć, ale skandalicznie nisko w porównaniu z wynagrodzeniami w zawodach, w których dominują Niemcy. Że urasowiony podział pracy nie pokrywa się z podziałami na hetero i niehetero". Nic z tych rzeczy nie znalazło się w artykule na łamach szacownego „NYT", nie pasowało do mainstreamowej, neoliberalnej narracji arbitrów elegancji globalnego zachodniego dyskursu. Podkreślę: Zawadzka nie mruga lewym okiem w prawą stronę. Bardzo dba o to, by w swojej książce popsuć dobre samopoczucie, komu się da. Tym mocniej i bardziej przekonująco brzmi jej opis współczesnych Niemiec.

» Książka o relacjach

„Gorycz" to w znacznej mierze książka o relacjach. I jako taka jest najbardziej poruszająca. Bo to w relacjach z innymi ludźmi, w odniesieniu do samej siebie, najmocniej odbijają się status społeczny i narodowy zarobkowej migrantki, która przez kilka lat próbowała się odnaleźć w Berlinie. Prawda tych toksycznych relacji, skomplikowanych związków, seksu z rodakami i cudzoziemcami, wykluczających wspólnot, zadzierzgniętych znajomości, nowych lojalności, zerwanych przyjaźni najlepiej wyjaśnia, dlaczego ludzie tak często marzą o powrocie do ojczystego kraju. Pieniądze są ważne, ale ważne są również bezpieczeństwo, zakorzenienie, życzliwość. Rzecz jasna, możesz być obcym czy obcą we własnym kraju i we własnym domu, wśród ludzi, którzy myślą i mówią w twoim języku. Migracja zwielokrotnia jednak ryzyko obcości, może czynić ją śmiertelnie niebezpieczną dla duszy i ciała.

Zawadzka jest mistrzynią obserwacji i autorefleksji. Szkicuje z nich opowieść o hipokryzji swoich lewackich sublokatorek i dobrodziejek, postawie kolegów z pracy, aroganckich i protekcjonalnych gestach Niemców i Niemek wobec „miłych Polek". Opowieść o relacjach chyba najmocniej uderza także w nasze polskie tabu: ile Państwo znają pisanych bez znieczulenia analiz, reportaży, powieści o Polkach i Polakach na zmywaku w Anglii, na szparagach w Niemczech, przy zbiorach kwiatów i owoców we Francji lub w Niderlandach? Popkulturowy obraz sytuacji to często pastisz, komiksy z dymkiem robione tak, żeby rozbroić pustym śmiechem ludzkie dramaty i tragedie.

Jako argument, że życie na emigracji jest super, przedstawia się lepsze zarobki, wyjście z biedy i bezrobocia, finansowe poczucie ulgi. Nie da się zaprzeczyć – wielu Polkom i Polakom życie na emigracji ułożyło się pięknie i dobrze. Tylko że to nie jest cała prawda o tym zjawisku. Zawadzka pokazuje, że trochę lepsze pieniądze to cholernie za mało, że na emigracji można wpaść w pułapkę samotności jako klatki o wielu różnych prętach, a obojętne lub nieprzyjazne otoczenie napełnia życie niechcianego przybysza żalem, frustracją, gniewem. O tym nie chcemy wiedzieć, tym nie chcemy się dzielić, to psuje sielankowy obraz kolejnych fal polskiej migracji na Zachód. I samego Zachodu, w tym Niemiec. A przecież przymus i negatywne konsekwencje tych migracji są faktem – opisała je choćby Sylwia Urbańska w książce „Matka Polka na odległość. Z doświadczeń migracyjnych robotnic 1989–2010" już ponad dekadę temu.

Z okładki „Goryczy" patrzą na nas mężczyźni i nieliczne kobiety. To fragment obrazu Ottona Griebela „Die Internationale". Sensy i konteksty tego graficznego wyboru zasługują na esej. Zawadzka pokazuje nam Niemcy sprzed kilku lat, a my musimy samych siebie zapytać, jakie wnioski można stąd wysnuć na najbliższą przyszłość. ■

eprasa.pl 425d19034c



Antoni Rybczyński

Wojna Rosji z Europą

Tej wojny nie powinno się już nazywać wojną hybrydową. To otwarta wojna, prowadzona już także środkami militarnymi, ale poniżej progu regularnego konfliktu zbrojnego – po to, by osłabiać NATO, ale zarazem nie dać mu powodu do zdecydowanej reakcji. Coraz częstsze akty sabotażu, cyberataki, zabójstwa i naruszanie granic krajów Sojuszu przez drony, pociski rakietowe i samoloty. Działania przeciwko Europie są obecnie ściśle związane z wojną z Ukrainą, ale nie ma wątpliwości, że dla Rosji konflikt z Zachodem jestem celem samym w sobie.

eprasa.pl 425d19034c



ILUSTRACJA MARIUSZ TROLIŃSKI/AI

W ciągu ostatnich miesięcy Kreml zintensyfikował tempo i nasilenie swoich działań przeciwko Europie, choć Moskwa dba, by były one wciąż poniżej progu regularnego konfliktu.

Od lata 2025 roku Rosja zwiększyła intensywność swoich akcji na pograniczu zbrojnych działań, czego przykładem było wtargnięcie rosyjskich dronów do polskiej przestrzeni powietrznej we wrześniu 2025 roku. Od lata 2026 roku Kreml stał się jeszcze bardziej agresywny. Prowadzi serię kampanii przeciwko państwom członkowskim NATO. To nie są pojedyncze incydenty czy prowokacje, lecz skoordynowane ataki zbrojne i niewojskowe na wojskowe i cywilne cele Sojuszu.

W ciągu ostatnich miesięcy Kreml zintensyfikował tempo i nasilenie swoich działań przeciwko Europie, choć Moskwa dba, by były one wciąż poniżej progu regularnego konfliktu. Podmioty powiązane z Rosją regularnie atakują infrastrukturę krytyczną w całej Europie, czego przykładem są nieustanne próby sabotażu polskiej czy niemieckiej kolei czy niemieckich elektrowni. Kreml prowadzi też kampanię podpaleń wymierzoną w obiekty europejskiego przemysłu obronnego produkujące materiały zarówno dla europejskich sił zbrojnych, jak i dla Ukrainy. Agenci powiązani z Rosją dążą do zamachów na kadrę kierowniczą w największych europejskich przedsiębiorstwach zbrojeniowych oraz na politycznych emigrantów rosyjskich. Rosyjskie samoloty wojskowe niemal codziennie sondują granice przestrzeni powietrznej NATO, aby przetestować systemy obronne sojuszu. Rosyjska marynarka wojenna i służby wywiadowcze zagrażają morskim szlakom komunikacyjnym NATO oraz infrastrukturze krytycznej, takiej jak kable podmorskie.

» Kinetyczne ataki Rosji

Raport monachijski dotyczący bezpieczeństwa z 2026 roku, opierając się na danych projektu ACLED, odnotował około 150 podejrzanych o powiązania z Rosją incydentów hybrydowych

eprasa.pl 4e5d19034c

– w tym podpaleń, sabotaży, przelotów dronów i przesyłek z materiałami zapalającymi – w państwach UE i NATO w latach 2022–2025. Ukraińskie Centrum Bezpieczeństwa im. Sahajdacznego szacuje, że w okresie od kwietnia do sierpnia br. odnotowywano około 15 incydentów miesięcznie, co stanowi wzrost w stosunku do poprzedniego maksymalnego poziomu wynoszącego około 10 ataków miesięcznie. Od początku sierpnia odnotowano pożary i wybuchy w zakładach zbrojeniowych w Polsce, na Słowacji, w Bułgarii i we Włoszech. Na lotnisku w Lipsku w Niemczech, w pobliżu miejsca postoju ukraińskich samolotów An-124, znaleziono drona domowej roboty z ładunkiem wybuchowym. Władze Estonii z kolei badają związek Rosji z pożarem, który wybuchł w budynku firmy zbrojeniowej Milrem Robotics produkującej naziemne systemy zrobotyzowane dla armii ukraińskiej. Policja w Niemczech poinformowała również o odkryciu skrytki z bronią, która mogła być przeznaczona do przeprowadzania zabójstw na zlecenie Rosji. Pod koniec sierpnia, już po tym, jak władze Niemiec bezpośrednio obarczyły rosyjskie służby specjalne odpowiedzialnością za incydent z dronem w Lipsku, Federalny Urząd Policji Kryminalnej sporządził raport, w którym – według informacji niemieckich mediów – przedstawił dane: w ciągu roku odnotowano 165 domniemanych przypadków sabotażu. Wśród nich znalazły się uszkodzenia linii elektroenergetycznych i torów kolejowych, a także zaplanowane podpalenia.

31 sierpnia doszło do podpalenia zakładów firmy WB Electronics w Skarżysku-Kamiennej –dostawcy dronów FlyEye oraz Warmate, z których siły ukraińskie korzystają na linii frontu. 30 sierpnia w Lublinie zapalił się magazyn firmy JFG Composites produkującej części lotnicze. Władze Wielkiej Brytanii aresztowały mężczyznę pod zarzutem współpracy z powiązaną z Rosją grupą wywiadowczą w celu zaplanowania sabotażu fabryk dronów w Swindon 4 września. 12 września zapalił się magazyn broni firmy EMCO w Bułgarii, która dostarcza amunicję na Ukrainę. Z kolei Departament Sprawiedliwości USA ogłosił rozbicie sieci, która przygotowywała akcje dywersyjne w Europie oraz zabójstwa opozycjonistów na zlecenie rosyjskich służb specjalnych.

Wojnę z Europą prowadzą wyspecjalizowane elitarne struktury powołane do tego celu w rosyjskim środowisku wywiadowczym.

» Na wojnie z Zachodem

Wojnę z Europą prowadzą wyspecjalizowane elitarne struktury powołane do tego celu w rosyjskim środowisku wywiadowczym. Kluczową rolę odgrywa Centrum 795, utworzone decyzją Sztabu Generalnego w grudniu 2022 roku. Jego szef odpowiada bezpośrednio przed szefem Sztabu Generalnego. Jednostka nie weszła formalnie w skład struktury GRU, chociaż dołączyło do niej wielu doświadczonych oficerów wywiadu wojskowego. Wiodącą rolę w Centrum 795 odgrywają ludzie z FSB. Jej funkcjonariuszami są szef Centrum 795 i jego zastępca. Po pierwsze, to decyzja Putina, który chce aktywniej

eprasa.pl 425d19034c

wykorzystywać w operacjach zagranicznych swoją rodzimą służbę, a po drugie, uważa się, że FSB lepiej radzi sobie z ochroną tajemnicy – ten motyw nie dziwi, biorąc pod uwagę fakt, że nawet niezależni śledczy dziennikarze, czy to z Bellingcat, czy z The Insider, nieraz w ostatnich latach potrafili przy użyciu narzędzi OSINT demaskować agentów i operacje wywiadu wojskowego. Współpraca między Ministerstwem Obrony a FSB na taką skalę ma miejsce po raz pierwszy – co tylko podkreśla wagę, jaką Moskwa przywiązuje do skuteczności działań dywersyjnych przeciwko Zachodowi. W Centrum 795 służy łącznie około 500 oficerów, którzy są podzieleni na trzy służby: wywiadowczą, szturmową oraz wsparcia bojowego. Każda z nich składa się z wielu wydziałów. Najbardziej rozbudowana jest służba wywiadowcza.

Centrum 795 działa obok utworzonego w 2023 roku Departamentu ds. Zadań Specjalnych (SSD) GRU. Zgromadzono w nim weteranów niektórych z najbardziej śmiałych tajnych operacji Rosji w ostatnich latach. Dół formularza SSD stoi za wieloma atakami na Zachód, w tym za próbą zabicia dyrektora generalnego niemieckiego producenta broni Rheinmetall i spiskiem mającym na celu umieszczenie urządzeń zapalających w samolotach używanych przez giganta spedycyjnego DHL. Departament przejął niektóre uprawnienia od FSB i wchłonął Jednostkę 29155, specjalny oddział GRU, który stał za otruciem Siergieja Skripala i wieloma innymi głośnymi akcjami w Europie, od Hiszpanii po Bałkany. Jeden z najważniejszych oddziałów SSD – którym kieruje pułkownik Smoljaninow – poszukuje agentów za pośrednictwem czatów z ogłoszeniami pracy, wśród prorosyjskich aktywistów; ludzi związanych z przestępczością lub radykałów – zarówno prawicowych, jak i lewicowych. GRU przyciąga również przestępców z Rosji, Ukrainy, Gruzji, Armenii, Mołdawii i Serbii do sabotażu, rekrutując potencjalnych sprawców za pośrednictwem pracowników MSW.

» Osłabianie NATO

Europejscy urzędnicy zbyt często określają rosyjskie działania – od naruszeń przestrzeni powietrznej NATO aż po jawne ataki zbrojne na europejską infrastrukturę – mianem „prowokacji". To ogranicza swobodę działania NATO. Określanie rosyjskich działań jako działań „poniżej progu" lub „nieobjętych art. 5" również z góry ogranicza reakcje NATO, de facto uznając rosyjskie działania za niezasługujące na zbiorową obronę Sojuszu. Pożar fabryki dronów wzniecony przez niezidentyfikowanego mężczyznę w kominiarce nie uruchamia artykułu 5, a Moskwa o tym wie – chodzi o tę niejednoznaczność, a nie o lukę prawną. Kampania zaplanowana tak, by pozostać poniżej tej granicy, może nadal osłabiać produkcję, zniechęcać ubezpieczycieli i pochłaniać czas śledczych, nie dając NATO wyraźnego powodu do ostrej reakcji.

Europejscy urzędnicy najczęściej określają działania Rosji mianem „ataków hybrydowych" lub „wojny hybrydowej". Problem z takim określaniem rosyjskich ataków z użyciem siły zbrojnej na państwa NATO polega na tym, że sugeruje to, iż nie są one częścią spójnej kampanii wojskowej, a raczej częścią czegoś innego. Każdy kraj oddzielnie, używając różnych organów bada przypadki sabotażu. Nie ma wspólnego rejestru takich incydentów, nie mówiąc o próbie wypracowania wspólnego mechanizmu reagowania. Użycie terminu „hybrydowy" ma prawdopodobnie na celu uzasadnienie niepowoływania się na postanowienia NATO dotyczące zbiorowej obrony lub niepodejmowania znaczących działań w odpowiedzi, tyle że Kreml odczyta to jako gotowość Europy do akceptacji dalszych, potencjalnie jeszcze ostrzejszych działań rosyjskich w tym kierunku. ■

eprasa.pl 425d19034c

Sztuczna inteligencja na służbie Pekinu i Moskwy



Hanna Shen

W lipcu w Szanghaju Xi Jinping ogłosił, że Chiny poprowadzą świat ku sztucznej inteligencji „dobrej i dostępnej dla wszystkich”, a przedstawiciel Rosji podpisał umowę o powołaniu nowej organizacji z siedzibą w tym mieście. We wrześniu amerykańska firma Anthropic pokazała, jak ta sama technologia działa w rękach chińskiej bezpieki i rosyjskiego wywiadu.



ILUSTRACJA MARIUSZ TROLIŃSKI/AI

Światowa Konferencja Sztucznej Inteligencji (WAIC) odbywa się w Szanghaju od 2018 roku i długo była przede wszystkim wielkimi targami. W tym roku stała się wydarzeniem politycznym. Dzień przed jej otwarciem, 16 lipca, przedstawiciele 29 państw podpisali umowę o utworzeniu Światowej Organizacji Współpracy w dziedzinie Sztucznej Inteligencji (WAICO). Ma to być pierwsza na świecie międzyrządowa organizacja tego rodzaju, z siedzibą w Szanghaju. W imieniu Chin podpis złożył szef dyplomacji Wang Yi, a obok niego zasiadł wysłannik Kremla. Na uroczystość przyjechał sekretarz generalny ONZ António Guterres. Do końca lipca dołączyło kolejnych osiem państw, w tym Iran.

Dzień po podpisaniu umowy, 17 lipca, Xi Jinping po raz pierwszy osobiście otworzył konferencję. Zachęcał, aby państwa korzystały z modeli udostępnianych bezpłatnie razem z kodem, i obiecał krajom rozwijającym się 5 tys. miejsc szkoleniowych oraz sieć ośrodków współpracy. Analitycy widzą w WAICO odpowiedź na amerykańską inicjatywę Pax Silica, która ma zabezpieczyć dostawy półprzewodników, metali ziem rzadkich oraz sztucznej inteligencji.

Hasła brzmią szlachetnie: bezpieczeństwo, sprawiedliwość, Karta Narodów Zjednoczonych, pomoc krajom rozwijającym się. Kto pamięta światowe kongresy pokoju organizowane przez Moskwę w latach 50., zna ten język. Warto więc sprawdzić, do czego chińscy gospodarze i ich najważniejszy partner, Rosja, używają tej technologii na co dzień.

» Za kulisami

Odpowiedź przynosi raport opublikowany 10 września przez Anthropic, jedną z trzech największych amerykańskich firm zajmujących się sztuczną inteligencją. Na 150 stronach opisuje ona, kto od grudnia 2025 do sierpnia

Strona 81 z 145d19034c

2026 roku wykorzystywał jej model Claude do przestępstw i wrogich działań oraz jak wykryto i zablokowano konta sprawców..

Podobne raporty publikują od dwóch lat także dwie inne wielkie amerykańskie firmy z tej branży, OpenAI i Google. OpenAI, twórca ChatGPT, długo uspokajało, że służby i przestępcy robią dzięki nowemu narzędziu to samo co dawniej, tylko szybciej. Google jeszcze w lutym oceniało, że sztuczna inteligencja ułatwia wrogim państwom pracę, ale nie daje im żadnych nowych możliwości. We wrześniu zmieniło ton. Swój nowy raport zatytułowało „Od poleceń do autonomii", czyli od programów, które wykonują polecenia człowieka, do programów, które działają samodzielnie. Anthropic idzie najdalej. Opisuje nie tylko cyberataki, lecz także inwigilację, propagandę i projektowanie broni. Wskazuje też sprawców. Po stronie rosyjskiej są to hakerzy wywiadu i państwowe media, po stronie chińskiej bezpieka, ludzie związani z wojskiem i wymienione z nazwy koncerny.

Wśród rosyjskich przypadków opisanych w raporcie najważniejsza jest grupa, którą autorzy łączą z Midnight Blizzard, czyli hakerami wywiadu. Zautomatyzowała ona niemal cały cykl pracy szpiegowskiej. Programy działające samodzielnie rozsyłały fałszywe wiadomości, utrzymywały dostęp do przejętych systemów, wyprowadzały dane i tak długo przebudowywały złośliwe oprogramowanie, aż zabezpieczenia przestawały je wykrywać. Celem było ponad 20 ministerstw, ambasad, ośrodków analitycznych i firm zbrojeniowych, głównie na Ukrainie i w Europie, w tym producentów dronów. Grupa przejęła też firmy obsługujące hotelowe sieci Wi-Fi, żeby zarażać telefony gości. Raport opisuje też drugi, osobny zespół działający w Rosji, prawdopodobnie pracujący na własny rachunek. Pracował on nad rojem dronów samobójczych, czyli grupą maszyn, które lecą razem i rozbijają się o cel z ładunkiem wybuchowym. Każdy dron miał mieć na pokładzie sztuczną inteligencję, która bez udziału człowieka wybiera cel, także człowieka, i sama decyduje o wybuchu. Rozpoznawania celów uczono ją na nagraniach z walk na Ukrainie.

Po stronie chińskiej raport opisuje komórkę wywiadu do spraw religijnych, która skurczyła się do jednego biura i sporządza tysiące opracowań miesięcznie: o kardynałach w Azji, Kościele prezbiteriańskim na Tajwanie, Tybetańczykach na uchodźstwie i Falun Gong. W każdej teczce jest rubryka „zhuāshǒu". To termin z żargonu Wydziału Pracy Zjednoczonego Frontu, czyli komórki partii komunistycznej, która zajmuje się pozyskiwaniem, kontrolowaniem i zwalczaniem środowisk spoza partii: mniejszości, wyznawców religii, emigracji oraz cudzoziemców użytecznych dla Pekinu. Dosłownie znaczy „uchwyt", a w teczkach bezpieki oznacza wszystko, co da się wykorzystać do wywarcia nacisku na człowieka. Kto zna historię Kominternu, rozpozna metodę: kartoteka, materiały obciążające, nacisk.

Teczki zakłada nie tylko wywiad. Z tego samego modelu korzystała cyberpolicja jednego z chińskich miast: z pomocą Claude'a uruchomiła system „utrzymania stabilności", czyli nadzór nad obywatelami, i wytypowała dziesięć osób do „kontroli". Po narzędzie sięgnęli też ludzie związani z wojskiem. Badacz z kręgu Akademii Nauk Wojskowych chińskiej armii opracowywał program symulujący atak radioelektroniczny. W trakcie prac wpisał do niego 12 celów na Tajwanie, m.in. bunkier dowodzenia, radar wczesnego ostrzegania i baterie rakiet Patriot. Takich samych baterii używa Polska.

Wszystkie te przypadki, rosyjskie i chińskie, prowadzą autorów raportu Anthropic do jednego wniosku: do przeprowadzenia zaawansowanego ataku nie trzeba już dużego zespołu, zaplecza ani wieloletniego doświadczenia.

eprasa.pl 425d19034c

» Gdzie spotykają się Pekin i Moskwa

Trzeba uczciwie zaznaczyć, że raport nie opisuje wspólnych operacji chińskich i rosyjskich służb. Pokazuje coś innego: podział ról, w którym Chiny dostarczają technologię i zaplecze, a Rosja sprawdza je w boju. Dowodów jest pięć.

Pierwszy to decyzje polityczne. W grudniu 2024 roku Władimir Putin polecił rządowi i Sbierbankowi podjąć wspólne badania nad sztuczną inteligencją z Chinami. Sbierbank to największy, kontrolowany przez państwo bank Rosji, z którego Kreml uczynił główny ośrodek prac nad sztuczną inteligencją. Wiceprezes banku Aleksandr Wiediachin mówił później o projektach rosyjskich firm wraz z twórcami czołowych chińskich modeli: Qwen, DeepSeek i MiniMax.

Drugi dowód pochodzi z samego raportu. Anthropic odkrył, że chińska firma DeepSeek oszukiwała własnych klientów. Myśleli oni, że rozmawiają z jej modelem, tymczasem ich pytania trafiały po kryjomu do Claude›a, a DeepSeek zapisywał odpowiedzi i uczył się na nich swojego systemu. Przy okazji wyszło na jaw, kto korzysta z DeepSeeka. Jednym z klientów był informatyk pracujący dla rosyjskiej agencji podległej ministerstwu obrony. Ludzie rosyjskiego resortu obrony sięgają więc po chińską sztuczną inteligencję.

Trzeci dowód to zaopatrzenie. Raport opisuje kierownika z moskiewskiego biura konstrukcyjnego, który z pomocą modelu planował, jak ominąć europejskie sankcje. Chciał kupić niemieckie magnetometry, czyli precyzyjne czujniki pola magnetycznego, i sprowadzić je do Rosji okrężną drogą: przez dystrybutora w Chinach i pośrednika w Hongkongu. W notatkach dla dyrektora pisał otwarcie, że to dostawa przez państwo „neutralne wobec sankcji". Chiny są więc dla rosyjskiej zbrojeniówki furtką do zachodnich komponentów. Potwierdzają to Ukraińcy: portal Frontliner opisał w sierpniu, jak Rosja z chińską pomocą buduje drony, które same naprowadzają się na cel.

Czwarty to propaganda. OpenAI ustaliło w październiku 2025 roku, że osoby powiązane z Rosją prowadziły kampanie propagandowe za pomocą chińskiego modelu DeepSeek. Niezależne analizy wykazały, że chińskie modele powielają kremlowską wersję wojny na Ukrainie. Estoński wywiad ostrzegł w tegorocznym raporcie, że DeepSeek w sprawach dotyczących bezpieczeństwa Estonii zataja najważniejsze informacje i wplata w odpowiedzi chińską propagandę.

Piąty dowód to lipcowa konferencja WAIC i powołana przy jej okazji organizacja WAICO. Rosja jest jednym z państw założycieli, a więc razem z Chinami będzie ustalać światowe reguły korzystania ze sztucznej inteligencji.

» Skradzione i rozdane

Raport pokazuje też, skąd bierze się technologia, którą Chiny dzielą się z Rosją. Według Anthropic siedem chińskich laboratoriów okradało Claude'a: z tysięcy fałszywych kont masowo zadawały mu pytania, a na odpowiedziach uczyły własne systemy. Osoby związane z Alibabą wysłały w ten sposób ponad 151 mln zapytań, aby szkolić modele Qwen. DeepSeek w ciągu dwóch tygodni lipca wykonał ponad 12 mln takich operacji.

Teraz wystarczy połączyć fakty. Qwen i DeepSeek to właśnie te modele, z których twórcami wspólne projekty zapowiedział Sbierbank. Z DeepSeeka korzystają, jak widzieliśmy, i informatyk rosyjskiej agencji wojskowej, i rosyjscy propagandyści. Te same modele Xi Jinping polecał w Szanghaju całemu światu, a Rosja jako członek założyciel WAICO będzie współdecydować o tym, na jakich zasadach mają być rozpowszechniane.

eprasa.pl 425d19034c

Powstał w ten sposób łańcuch z trzech ogniw. Amerykanie tworzą technologię i obudowują ją zabezpieczeniami. Chińczycy ją kradną i wypuszczają w świat już bez tych zabezpieczeń. Rosjanie biorą ją od Chińczyków i używają jej przeciwko Ukrainie i Europie.

» Dlaczego to sprawa Polski

Nazwa Polski nie pada w raporcie. Opisane cele to jednak właśnie my. Według danych podanych przez sam rząd jesteśmy najczęściej atakowanym państwem Unii Europejskiej, a w 2025 roku odnotowano 270 tys. incydentów w sieci, czyli ataków, włamań i prób oszustwa. Unia wskazała w lipcu, że 16. Centrum FSB atakowało polską infrastrukturę krytyczną, w tym elektrociepłownie. W polskich hotelach nocuje każda delegacja jadąca do Kijowa. Rosyjskie rakiety i drony naruszały polską przestrzeń powietrzną wielokrotnie, a jednej tylko nocy we wrześniu 2025 roku odnotowano 19 takich wtargnięć. Własną produkcję dronów, która tak interesuje rosyjskich hakerów, dopiero rozwijamy. W 2027 roku czekają nas wybory parlamentarne, a raport pokazuje, jak były szef Sputnika w Mołdawii produkował z pomocą modelu materiały szkalujące Maię Sandu przed wyborami w jej kraju. Nie ma też powodu sądzić, że chińskie represje ponad granicami omijają Tybetańczyków, Hongkończyków czy praktykujących Falun Gong, którzy mieszkają w Polsce.

Rządzący chętnie przytaczają statystyki ataków, bo dobrze brzmią podczas konferencji prasowych. Rzadziej mówią, co z tego wynika. Tymczasem po lekturze raportu trzeba im zadać kilka konkretnych pytań. Anthropic dołączył do raportu listy śladów, które opisane grupy zostawiły w sieci: adresy ich serwerów, nazwy fałszywych stron i programów, którymi się posługiwały. Dzięki takim listom każda instytucja może sprawdzić, czy ci sami napastnicy nie działają już w jej systemach. Czy polskie służby to zrobiły? Czy ktokolwiek sprawdził, w ilu urzędach i spółkach skarbu państwa pracują chińskie modele, dokąd trafiają wpisywane do nich dane i czyją wersję świata te modele powtarzają? Jakie stanowisko wobec WAICO zajmuje polska dyplomacja i czy w ogóle je ma? Rząd, który w sprawach Chin ogląda się na Berlin i na Brukselę, łatwo ustępujące przed Pekinem, niczego w tej sprawie nie zrobi, jeśli nikt go do tego nie zmusi.

Wnioski są proste. Nie wolno liczyć wyłącznie na amerykańskie firmy. Blokada konta niewiele daje. Sprawca, którego Anthropic odciął od modelu Claude, rejestruje się ponownie pod fałszywym nazwiskiem albo po prostu przechodzi do innej firmy oferującej podobny model, amerykańskiej lub chińskiej, i dalej pracuje. Anthropic nie zawsze potrafi wskazać konkretny urząd, dla którego pracował sprawca, ale ślady niezmiennie prowadzą do Chin i Rosji. Państwo musi więc bronić się samo, a zacząć powinno od własnego podwórka: chińskie modele nie mają czego szukać w polskiej administracji. Polska powinna wreszcie jasno opowiedzieć się po stronie tych, którzy chcą pisać reguły dla sztucznej inteligencji w wolnym świecie, a nie pod dyktando Pekinu i przy wtórze Moskwy.

W Szanghaju Xi Jinping obiecywał sztuczną inteligencję „dobrą i dostępną dla wszystkich". Raport pokazuje, co to znaczy w praktyce. Dostępną dla oficera bezpieki, który zakłada tysięczną teczkę. Dla hakera rosyjskiego wywiadu. Dla konstruktora drona, który sam wybiera, kogo zabić. Komintern potrzebował do takiej roboty armii ludzi. Jego spadkobiercom wystarcza dziś jeden funkcjonariusz przy komputerze. Pytanie nie brzmi, czy sięgną po to narzędzie także przeciwko Polsce, lecz czy Polska będzie na to gotowa. ■

eprasa.pl 425d19034c



Antoni Rybczyński

Jak Rosja pracuje nad bronią biologiczną

„Federacja Rosyjska realizuje program tworzenia ofensywnej broni biologicznej, naruszając swoje zobowiązania wynikające z artykułów 1 i 2 konwencji o jej zakazie".
Departament Stanu USA

ILUSTRACJA MARIUSZ TROLINSKI/AI

eprasa.pl 425d19034c

Oficjalnie Moskwa zaprzecza prowadzeniu badań mających na celu opracowanie broni biologicznej, twierdząc, że jej badania ograniczają się do opracowywania środków ochrony przed ich potencjalnym użyciem. W rzeczywistości Rosja kontynuuje prace rozpoczęte w czasach sowieckich. Opracowywaniem i badaniem substancji toksycznych zajmują się wyspecjalizowane instytucje państwowe oraz tajne ośrodki naukowe podlegające służbom specjalnym.

Wyspa Lisia to nieduży skrawek lądu otoczony wodami zbiornika wyszniewołockiego w obwodzie twerskim, na północny zachód od Moskwy. Te okolice były kiedyś popularnym miejscem wśród mieszkańców, którzy przyjeżdżali tu na ryby i zbierać jagody. Ale po tym, jak w 2023 roku północna część zbiornika została uznana za „pomnik przyrody", dostęp do wielu wysp – w tym do Wyspy Lisiej – został ograniczony. Tutaj znajduje się Centrum Fizjologii Eksperymentalnej.

» „Medyczny specnaz" Putina

Wyspa Lisia ma bogatą historię badań naukowych dotyczących chorób zakaźnych. W czasach carskiej Rosji mieściło się tam laboratorium weterynaryjne, a za Stalina – placówka służąca do „przeprowadzania eksperymentów dotyczących ostrych chorób zakaźnych zwierząt hodowlanych". Wiosną 2021 roku ruszyła tu budowa Centrum Fizjologii Doświadczalnej. Została ukończona jesienią 2025 roku – powstał jeden z najnowszych kompleksów laboratoryjnych w Rosji. Zdjęcia satelitarne wyspy pokazują duży budynek – laboratorium – a także budynki mieszkalne dla personelu i gości oraz lądowisko dla helikopterów. W sierpniu 2026 roku ukraiński wywiad wojskowy HUR ujawnił, że Centrum Fizjologii Eksperymentalnej „prowadzi eksperymenty z niebezpiecznymi wirusami i innymi patogenami na rzecz rosyjskich sił zbrojnych". Umieszczenie laboratorium na odizolowanym skrawku lądu pośrodku zbiornika wodnego stanowi dodatkowe zabezpieczenie na wypadek uwolnienia się niebezpiecznego patogenu. Tak było już kiedyś z głównym laboratorium badawczym sowieckiego programu broni biologicznej – które ulokowano na wyspie na Morzu Aralskim.

Centrum Fizjologii Eksperymentalnej na Wyspie Lisiej podlega Federalnej Agencji Medyczno-Biologicznej (FMBA). Utworzona w 2004 roku FMBA zajmuje się wieloma nietypowymi wyzwaniami w zakresie zdrowia publicznego w Rosji. Między innymi zapewnia wsparcie medyczne sportowcom i kosmonautom oraz osobom pracującym w miastach zamkniętych. Reaguje również na katastrofy i wypadki przemysłowe oraz zajmuje się incydentami radiologicznymi, chemicznymi i biologicznymi. W 2024 roku nadzór nad agencją został przeniesiony z rządu rosyjskiego bezpośrednio na Kreml. Putin regularnie spotyka się z przedstawicielami FMBA i określa tę agencję mianem „medycznych sił specjalnych". Agencja nadzoruje m.in. instytut badawczy w obwodzie leningradzkim, który produkuje wiele suplementów biologicznych opracowanych przez Centrum Naukowe „Signal".

To głęboko zakonspirowana instytucja państwowa, wbudowana w system rosyjskich służb specjalnych (w szczególności FSB i GRU),

eprasa.pl 425d19034c

utworzona w 2010 roku na osobiste polecenie Putina. Tutaj naukowcy pracują nad rzadkimi toksynami organicznymi i syntetycznymi. Choćby nad epibatydyną – trucizną, którą w naturze pozyskuje się ze skóry południowoamerykańskich żab drzewnych i przy pomocy której zamordowano Aleksieja Nawalnego. W „Signalu" zatrudnionych jest około 500 osób. Wewnętrzna struktura jest wyraźnie podzielona pod kątem realizacji zadań w pełnym cyklu. Cztery działy badawcze zajmują się opracowywaniem teoretycznym, poszukiwaniem i modelowaniem związków chemicznych. Dział naukowo-produkcyjny odpowiada za bezpośrednią syntezę substancji. Możliwości techniczne pozwalają na produkcję toksyn w niewielkich ilościach, wystarczających do przeprowadzenia operacji specjalnych. Dział badań klinicznych i testów przeprowadza testy na zwierzętach, ale jego specyfika nie wyklucza również tajnych testów na ludziach. Głównym zadaniem „Signalu" jest opracowywanie substancji, których nie da się szybko zidentyfikować za pomocą standardowych testów medycznych, lub toksyn o opóźnionym działaniu. W centrum zainteresowań ośrodka znajdują się syntetyczne analogi rzadkich naturalnych trucizn (na przykład epibatydyna) czy modyfikacje środków bojowych. W 2026 roku Unia Europejska i Wielka Brytania oficjalnie nałożyły sankcje na kluczowych chemików z „Signalu".

» Pudełko w pudełku

Na czarnej liście Stanów Zjednoczonych wraz z dwoma innymi rosyjskimi instytutami – za kontynuowanie programów broni biologicznej i chemicznej – znajduje się też 48. Centralny Instytut Badawczy Ministerstwa Obrony Rosji. Ma siedzibę w podmoskiewskim Sergijew Posadzie i jest najważniejszym z trzech instytutów zajmujących się w Rosji bronią biologiczną. Jego były szef, Władimir Maksimow, kieruje dziś wspomnianym wcześniej centrum na Wyspie Lisiej. Trafiło tam zresztą więcej pracowników 48. Instytutu. Maksimow od dawna zajmował się badaniami biologicznymi na rzecz rosyjskiej armii. Sądząc po jego publicznie dostępnych pracach, specjalizował się głównie w egzotycznych i śmiertelnych wirusach gorączki krwotocznej, takich jak Ebola i Marburg. Oba patogeny były w Związku Sowieckim uważane za potencjalną podstawę do opracowania broni biologicznej. Maksimow w latach 1999–2006 kierował jednostką wojskową nr 44026 – Centrum Wirusologii przy Instytucie Mikrobiologii Ministerstwa Obrony. W 2008 roku zmieniła ona nazwę na 48. Centralny Instytut Badawczy Ministerstwa Obrony Rosji. Zamknięte miasto wojskowe Siergijew Posad-6 leży kilka kilometrów od samego miasta. Tu znajduje się główny kampus 48. Centralnego Instytutu Badawczego Ministerstwa Obrony Rosji, który – pod różnymi nazwami – od 1954 roku zajmuje się opracowywaniem broni biologicznej. Obecnie do 48. Centralnego Instytutu Badawczego należą trzy oddziały: w Siergijew Posadzie, w Kirowie i w Jekaterynburgu. Historycznie rzecz biorąc, instytut w Sergijew Posadzie zajmował się wirusami, a ten w Kirowie – bakteriami.

Od wiosny 2022 roku w Siergijew Posadzie rozpoczęto zakrojone na szeroką skalę prace budowlane: w ciągu dwóch lat na terenie zamkniętym wzniesiono sześć nowych budynków, a także budynek techniczny. Co najmniej w czterech nowych budynkach znajdują się laboratoria biologiczne o najwyższym poziomie bezpieczeństwa biologicznego, niezbędnym do pracy z niebezpiecznymi patogenami, takimi jak wirus ospy prawdziwej czy wirus Ebola. Pod koniec stycznia 2024 roku plac budowy w 48. Centralnym Instytucie Badawczym odwiedził Siergiej Szojgu, ówczesny minister

eprasa.pl 425d19034c

obrony. Po budynkach „klastra naukowo-badawczego" ministra osobiście oprowadzał gen. Igor Kiriłłow, dowódca Wojsk Obrony Radiologicznej, Chemicznej i Biologicznej Federacji Rosyjskiej, który zginął później, w grudniu 2024 roku, w zamachu.

Nowoczesne laboratoria biologiczne o wysokim poziomie bezpieczeństwa (poziomy 3 i 4 według międzynarodowej klasyfikacji) są podobne pod względem konstrukcyjnym. Laboratorium przeznaczone do pracy z najniebezpieczniejszymi patogenami to budynek w budynku. Ma własne okna, ale są one zazwyczaj kuloodporne oraz podwójne lub potrójne. Z reguły w budynku laboratorium jest otoczone od góry i od dołu piętrami technicznymi. Laboratorium to hermetyczne, czyste pomieszczenie, nad którym znajduje się piętro techniczne z systemem nawiewu i wywiewu powietrza oraz stacją filtracji, przy czym wentylacja jest zazwyczaj scentralizowana, a na piętrze pod laboratorium znajdują się m.in. zbiorniki do oczyszczania ścieków. Hermetyczne pomieszczenie głównego laboratorium („strefa gorąca") często otoczone jest galerią korytarzy („strefa zimna"), w których mogą znajdować się okna wychodzące na zewnątrz. Na kondygnacjach technicznych z reguły nie montuje się okien.

» Od szaraski do Biopreparatu

Sowiecki program tworzenia broni biologicznej – który kontynuuje Rosja – ruszył na dobre w 1928 roku (niektóre prace nad patogenami zwierząt hodowlanych prowadzono już od 1918 roku). Na początku lat 30. XX wieku w klasztorze Pokrowskim w Suzdalu otwarto tzw. szaraskę, laboratorium biologiczne, którego pracownikami zostali aresztowani naukowcy. Laboratorium to jednocześnie pracowało nad szczepionkami i przeprowadzało eksperymenty polegające na zarażaniu więźniów więzienia wewnętrznego niebezpiecznymi patogenami. Po II wojnie światowej ZSRS uzyskał cenne informacje na temat japońskiego programu broni biologicznej. Rozbudowano infrastrukturę wojskowo-biologiczną, która funkcjonuje do dziś: w 1942 roku istniejące w Związku Sowieckim programy wojskowe dotyczące broni biologicznej zostały przeniesione z dala od linii frontu do Kirowa, w 1949 roku otwarto ośrodek naukowy w Swierdłowsku (obecnie Jekaterynburg), a jako ostatni – w 1954 roku – instytut w Zagorsku (obecnie Sergijew Posad). Dziś te trzy ośrodki tworzą 48. Centralny Instytut Badawczy Ministerstwa Obrony Federacji Rosyjskiej.

W latach 1950–1960 w ZSRS badano możliwości stworzenia za pomocą klasycznej selekcji „ulepszonych" (bardziej zakaźnych, odpornych na odpowiedź szczepionkową i leki, bardziej śmiertelnych) patogenów. Prowadzono prace nad bakteriami (dżumy, wąglika syberyjskiego, tularemii, wenezuelskiego zapalenia mózgu w Swierdłowsku-19 i Kirowie) oraz wirusami (ospy w Zagorsku-6). Pod koniec lat 60. XX wieku rozpoczęły się negocjacje w sprawie zakazu broni biologicznej, a w 1972 roku podpisano odpowiednią konwencję (ZSRS ratyfikował ją w 1975 roku). Związek Sowiecki, podpisując konwencję, odmówił przyznania się, że w ogóle prowadził prace nad stworzeniem broni biologicznej. Jednak wojskowe dowództwo i niektórzy naukowcy przekonali Leonida Breżniewa, by nie tylko nie wstrzymywał tych prac, lecz wręcz znacznie je rozszerzył w warunkach ścisłej tajemnicy. Powstała więc naukowo-produkcyjna instytucja pod nazwą „Biopreparat", formalnie cywilna, ale otrzymująca finansowanie z Ministerstwa Obrony ZSRS. W jej skład weszło kilkadziesiąt instytutów, z których wiele zostało specjalnie zbudowanych na potrzeby programu. Niektóre organizacje wchodzące

eprasa.pl 425d19034c

w skład Biopreparatu zajmowały się pracami badawczymi, inne pełniły rolę zakładów mobilizacyjnych, co oznacza, że w razie potrzeby miały szybko wyprodukować duże ilości patogenów do wykorzystania jako broń masowego rażenia.

To, że w Związku Sowieckim program broni biologicznej nie został wstrzymany, po raz pierwszy publicznie przyznał na początku 1992 roku Borys Jelcyn. Niedługo później podpisał dekret nakazujący całkowite wstrzymanie wszelkich prac oraz przestrzeganie Konwencji o zakazie broni biologicznej. We wrześniu 1992 roku w Moskwie odbyły się trójstronne rozmowy (Rosja, Wielka Brytania, USA), w wyniku których podpisano porozumienie, w którym Rosja potwierdziła zobowiązanie do zaprzestania programu broni biologicznej, a strony uzgodniły kontynuację wzajemnych inspekcji. Do 1996 roku przeprowadzono kilka wzajemnych inspekcji, ale potem współpraca w ramach komisji trójstronnej faktycznie ustała. Zachodni eksperci zdążyli do tego momentu odwiedzić wiele organizacji wchodzących w skład „cywilnej" części Biopreparatu. Rosja jednak nigdy nie wyraziła zgody na inspekcje instytucji wojskowych w Jekaterynburgu, Kirowie i Sergijew Posadzie.

» Biologiczna broń Rosji

Dlaczego właśnie instytut w Sergijew Posadzie stał się główną placówką współczesnego rosyjskiego programu wojskowo-biologicznego? Oddział w Jekaterynburgu już w czasach sowieckich zajmował się głównie produkcją, a nie badaniami. Instytut w Kirowie zajmuje się bakteriami, a ten w Siergijew Posadzie – wirusami. I jako pierwszy zaczął korzystać z najnowocześniejszych narzędzi naukowych. Nie jest łatwo odróżnić prace nad stworzeniem zabezpieczeń przed niebezpiecznymi patogenami od nielegalnych działań mających na celu opracowanie broni biologicznej. Ogromny zbiór danych wysokiej jakości daje jednak Stanom Zjednoczonym wystarczające podstawy, by twierdzić, że Rosja nadal prowadzi w 48. Centralnym Instytucie Badawczym nielegalne prace o charakterze ofensywnym, prace zabronione przez Konwencję o broni biologicznej. Przez wiele lat ocena Departamentu Stanu USA dotycząca przestrzegania przez Rosję Konwencji o broni biologicznej zawierała tę samą frazę: „Dostępne informacje są niewystarczające, aby Stany Zjednoczone mogły stwierdzić, że Rosja wywiązuje się ze swoich zobowiązań wynikających z artykułu 2 dotyczących zniszczenia lub przekształcenia w działalność pokojową swojej infrastruktury związanej z bronią biologiczną". Od 2021 roku słowa te zostały w dokumencie zastąpione innym sformułowaniem: „Według oceny Stanów Zjednoczonych Federacja Rosyjska realizuje program tworzenia ofensywnej broni biologicznej, naruszając swoje zobowiązania wynikające z artykułów 1 i 2 konwencji o jej zakazie".

Do 1991 roku zapasy broni biologicznej zgromadzone w ZSRS składały się ze „zwykłych" patogenów, czyli bakterii i wirusów wyselekcjonowanych w procesie selekcji, ale niepoddanych inżynierii genetycznej. Prace oparte na bardziej nowoczesnych metodach w latach 70. i 80. XX wieku w ramach Biopreparatu oraz instytutów Ministerstwa Obrony ZSRS również były prowadzone, ale do momentu rozpadu Sojuza nie zostały zakończone. Nie ma wątpliwości, że współczesny 48. Centralny Instytut Badawczy i związane z nim nowe laboratoria, jak to na Wyspie Lisiej, dysponują wystarczającymi zasobami technicznymi i finansowymi, aby kontynuować prace nad tworzeniem genetycznie zmodyfikowanych patogenów – odpornych na antybiotyki i szczepionki, bardziej zjadliwych i śmiertelnych. ■

eprasa.pl 425d19034c





Stefan Czerniecki
czerniecki.net

Trudna historia spod La Salette

We wrześniu tego roku minęło 180 lat od tamtego wydarzenia. Od jednorazowej dwudziestokilkuminutowej rozmowy Niebiańskiej Wysłanniczki z dwójką nastoletnich francuskich pastuszków. Rozmowy mającej miejsce na malowniczej górskiej łące pod masywem Le Gargas. Na przysiółku szerzej znanym jako La Salette.

eprasa.pl 425d19034c

Przemierzając długie i kręte korytarze Domu Pielgrzyma we francuskich Alpach Delfinackich, większość gości zupełnie nieświadomie mija tę przeszkloną gablotę. W pośpiechu kierując się w stronę przejścia do bazyliki. Spieszy się na mszę świętą bądź wieczorne nabożeństwo saletyńskie. Późnym wieczorem z kolei wszyscy wracają już do pokojów, bo noc krótka. Przecież o świcie poranna msza…

Dyskretna gablota na parterze saletyńskiego domu w La Salette stoi więc jakby w ukryciu. W oczekiwaniu na zainteresowanie. Aby ktoś w końcu podszedł, przystanął, zobaczył.

Za szklaną osłoną widać w gablocie po lewej stronie wiszące na gwoździkach dziewczęce ubranka. Fioletową sukienkę i różową chustkę na głowę. Po prawej z kolei znajduje się zielono-seledynowa chłopięca kamizelka. I biała koszula. Nad ubraniami czarno-biała rycina. Przedstawiająca dwoje pastuszków. Ubranych w wystawione tu stroje. To ubranka 15-letniej Melanii Calvati 11-letniego Maksymina Giraud. Dwójki widzących. Pastuszków, którzy w sobotę 19 września 1846 roku na polach górskich La Salette pod masywem Le Gargas zobaczyli Tajemniczą Panią. Zobaczyli płaczącą Maryję.

Niewątpliwie o tym spotkaniu nie mówi się dziś w mediach tak wiele jak choćby o rozmowach 14-letniej Bernadetty Soubirou z Maryją objawiającą się dziewczynce w Grocie Massabielle w Lourdes. Czy jak o objawieniu się Matki Bożej dzieciom – Łucji dos Santos, Franciszkowi i Hiacyncie Martos – na portugalskim pastwisku Cova da Iria w Fatimie. Czy o spotkaniu indiańskiego biedaka Juana Diego z meksykańskiego Guadalupe z Maryją.

Historia spod La Salette stoi dziś troszkę jakby na uboczu. A przecież to nadal jedno z dwunastu miejsc na świecie, o których Stolica Apostolska oficjalnie powiedziała, że po rygorystycznych badaniach potwierdza swoim autorytetem autentyczność dziejącego się tu objawienia Matki Jezusa.

» On i ona

Nie znali się. Poznali się zaledwie dzień wcześniej. Mimo wyraźnych oporów i otwarcie wyrażanych sprzeciwów dziewczynki chłopiec z jakichś powodów bardzo cenił sobie jej towarzystwo. Melania miała jednak powody, aby stronić od ludzi. Mając fatalną relację z matką (kobieta nazywała córkę „niemą dzikuską" i zakazywała zwracać się do siebie per „mama"), unikała towarzystwa. Maksymin był jednak uparty i wymógł zgodę starszej od siebie o cztery lata koleżanki, aby móc tego dnia pójść z nią w góry.

Znajdowali się już 15 kilometrów od miasteczka Corps, w którym oboje pomieszkiwali. Mając pod opieką stado krów, szukali zajęć, które pozwoliłyby im zabić ten czas nudy. Maksymin prosił więc, aby Melania nauczyła go jakiejś zabawy. Dziewczyna poleciła mu więc zbierać kwiaty na budowę „raju" – domku z górskich kamieni i kwiatów, której to budowie Melania poświęcała każdą wolną chwilę podczas samotnych tułaczek po śródgórskich łąkach. Dzieci zaprowadziły więc krowy na pastwisko w pobliżu wąwozu, gdzie można było znaleźć więcej kamieni do planowanej budowy. Zjadły skromny posiłek i zabrały się do znoszenia kamieni do wznoszenia domku. W założeniu miał się on składać z parteru, który miał być ich mieszkaniem, oraz z piętra, które miało być wspomnianym „rajem".

Posiłek oraz zabawa we wrześniowym słońcu zmęczyły nastolatków, aż oboje zasnęli. Gdy się obudzili, zorientowali się, że w ich pobliżu nie ma już krów, których przecież zobowiązali się pilnować. Melania podbiegła na okoliczny wzgórek, aby sprawdzić, gdzie mogły oddalić się zwierzęta. Okazało się, że na szczęście nie odeszły daleko. Uspokojona dziewczyna zaczęła wracać do Maksymina. I właśnie wówczas rozpoczęło się objawienie.

eprasa.pl 425d19034c



Miejsce łaski odzyskiwania wiary.



Ubrania Melanii i Maksymina.

» Nie podnosić kija na Wysłanników z Nieba

W miejscu, w którym spożywali wcześniej posiłek, zobaczyli światło. Blask przybierający kształt świetlistej kuli. Wrażenie było jaśniejsze od słońca. Zdumiona Melania zawołała na pomoc roztargnionego Maksymina.

Wówczas świecąca kula zaczęła się rozpływać i można było zamiast niej dostrzec postać pięknej kobiety siedzącej na kamieniach. Ułożone w kształt ławki kamienie ustawili w tym miejscu pasterze, aby móc odpocząć przy trudzie dnia. Dziś fragment głazu, na którym siedziała Maryja, znajduje się na końcu prawej nawy bazyliki w La Salette.

Kobieta miała twarz ukrytą w dłoniach i łokcie wsparte na kolanach. Dzieciom zdawało się, że płacze.

– Ach, mój Boże! – krzyknęła zdumiona Melania.

– Podnieś kij… Nie bój się… – Maksymin zdawał się dodawać otuchy starszej koleżance. Po chwili zaś zagroził w kierunku zjawiska swoją pasterskim kijem. – Jeżeli zechce nas zaczepić, dostanie za swoje!

Kij Maksymina to ostania z pamiątek, jaka znajduje się we wspomnianej na początku gablocie. Stoi nieco ukryty po prawej stronie pamiątkowej wystawy. Poniżej ubranek pastuszków. Wystarczy przystanąć na chwilę, aby zauważyć, że prawie cała środkowa część kija zjedzona jest przez robaki.

– To taka nauczka i dla nas – znacząco uśmiecha się ojciec Zbigniew posługujący od lat na alpejskim wzgórzu przy maryjnym sanktuarium La

eprasa.pl 425d19034c



Fragment głazu, na którym siedziała Maryja.



Na pamiątkę wydarzeń sprzed 180 lat...

Salette. – Nie warto podnosić kija na wysłanników z Nieba.

Kij – choć zjedzony przez robaki i ukruszony zębem czasu – ostał się jednak do dzień. Podobnie jak ostało się z nami orędzie Maryi z La Salette. Orędzie, które w odróżnieniu od patyka Maksymina nie straciło nic ze swojej świeżości.

» Dzień święty święcić

Rozmowa Maryi z dwojgiem pastuszków to materiał do analizy dla przedniejszych teologów. Język Matki Bożej jest tu bowiem zgoła inny od tego, jaki znamy z dialogów fatimskich czy rozmów w Lourdes. Maryja w La Salette jest wyraźnie poruszona i niezwykle smutna. Płacze. Melania widzi wyraźnie Jej łzy. Opisze potem, że gdy te spadały na alpejską łąkę, roztapiały się w powietrzu. Jak gdyby znikając w zetknięciu z ziemskim padołem.

Matka Boża ubolewa nad lekceważeniem przez ludzi próśb Jej Syna. Wspomina o podtrzymywaniu karzącej ręki Opatrzności. Porównuje, że wysiłku, jaki w to wkłada, nie da się Jej niczym wynagrodzić. Istotnym przesłaniem z La Salette jest orędzie święcenia niedzieli. Niebo prosiło wszak, aby tego siódmego dnia tygodnia powstrzymywać się od wszelkich niekoniecznych prac. Tymczasem rolnicy i pasterze alpejskiego pogórza Alp Delfinackich nic sobie z tych próśb nie robili.

Matka Boża pyta dzieci o ich modlitwę.

– Moje dzieci, czy dobrze odmawiacie pacierz?

– O, nie, proszę Pani. Nie za bardzo – odpowiadają razem dzieci.

eprasa.pl 425d19034c

– Ach, moje dzieci, trzeba go dobrze odmawiać: rano i wieczorem. Jeśli nie będziecie mogli więcej, odmówcie tylko „Ojcze nasz" i „Zdrowaś, Maryjo", a gdy będziecie mieli czas i możność, odmówcie więcej – instruuje pastuszków Matka Boża. By po chwili dodać: – Na mszę świętą przychodzi tylko kilka starszych kobiet, inni całe lato pracują w niedzielę. Zimą zaś, gdy nie wiedzą, co robić, przychodzą do kościoła, ale tylko po to, aby szydzić z religii. W Wielki Post idą do wędliniarni jak psy.

» Pożegnanie

Objawienie kończy się po niespełna pół godzinie. Maryja nie dotykając stopami trawy, zaczyna wznosić się w kierunku południowo-wschodnim. Teolodzy szybko powiążą ten kierunek z Watykanem. Trasę zaś, jaką pokona na niewielkim wzniesieniu, odniosą do trasy, jaką w starożytnej Jerozolimie pokonał podczas swej Drogi Krzyżowej Jezus Chrystus. Melania zauważy, że Maryja, gdy będzie żegnać się z dziećmi, już nie będzie mieć łez na twarzy. Piękna Pani zniknie po chwili w roztapiającym się świetle.

Dzieci zaś zejdą do wsi i opowiedzą o wszystkim lokalnemu proboszczowi. Właśnie wówczas wydarzy się jeden z pierwszych cudów związanych z La Salette. Melania pukając do drzwi księdza proboszcza, zacznie rozmawiać z nim po francusku, choć przecież nie zna tego języka. Do tej pory posługiwała się jedynie alpejskim dialektem. Proboszcz oraz świadkowie nie będą potrafić wyjaśnić tej gwałtownej przemiany. Kapłan wysłuchawszy cierpliwie każdego z widzących, będzie już wiedział. Podczas niedzielnej homilii, wzruszywszy się do łez, opowie zgromadzonym, że dzieci widziały Maryję. Dwóch piśmiennych mieszkańców zapisze widzenia pastuszków. Nie wspominając jedynie o dwóch tajemnicach, które Maryja powierzyła oddzielnie każdemu z dzieci.

To właśnie przez wyjawienie tych tajemnic przez 48-letnią Melanię proces beatyfikacyjny kobiety zostanie przez Kościół wstrzymany. W zapisanej przez kobietę w 1879 roku we Włoszech broszurce pojawi się bardzo wiele słów wybitnie antykościelnych i antyklerykalnych.

Co w niczym nie zmienia faktu, że do końca swoich dni dwójka pastuszków pozostanie wierna saletyńskiemu orędziu. Nigdy nie odżegnując się od treści rozmów ze spotkaną w górach Maryją.

» Sami sobie

– Tutaj jako Kościół także musimy uderzyć się w pierś… – rozpoczyna ksiądz Marek, z którym odwiedziłem w tym roku La Salette. – Popełniono błąd, którego następnie w przypadku Fatimy, Lourdes czy nawet naszego Gietrzwałdu już nie powtórzono. Widzących po czasie objawienia nie odseparowywano od ciekawskiego ludu. A tak było przecież choćby z Łucją. Po śmierci dwójki jej świętych kuzynów, Franciszka i Hiacynty, biskup nakazał przenosiny dziewczynki z Fatimy do Porto, a następnie do Pontevedra. Tak było ze św. Bernadettą, która po zakończeniu objawień została skierowana przez Kościół do prowadzonego przez siostry miłosierdzia lokalnego hospicjum jako stała rezydentka.

W przypadku Maksymina i Melanii tej roztropności niestety zabrakło. Na wracającego z La Salette chłopca czekał zdenerwowany ojciec. Z przygotowanym pasem jako karą za spóźnienie. Nie potrafił znieść, że koledzy z tawerny – usłyszawszy o objawieniu – zaczęli sobie z niego drwić. Na mężczyznę jednak także spłynęła później łaska niezwykłego spotkania La Salette. Po skosztowaniu wody z miejsca, gdzie objawiła się Maryja, został uwolniony od alkoholowego uzależnienia.

Po trzech latach ojciec Maksymina umarł. Wychowaniem chłopca zajął się jego wuj

eprasa.pl 425d19034c

Templier, który ze sławy widzącego chciał uczynić sposób zarabiania na życie. Przypadek nieroztropnego doradcy w postaci pana Templiera stał się pewną stałą przypadłością życiorysu Maksymina Giraud. Mało asertywny chłopiec, miotający się na drodze powołania, próbujący różnych dróg życiowych stał się łatwym kąskiem dla licznych „dobrze mu życzących". Ostatecznie Maksymin nie ukończył żadnej z rozpoczętych inicjatyw. Odszedł z seminarium, nie ukończył podjętych studiów medycznych, nie wytrwał na służbie w Gwardii Szwajcarskiej…

Wiosną 1874 roku zapadł na ciężką chorobę. Zdążył jeszcze odbyć ostatnią pielgrzymkę na La Salette. Tam umarł, przeżywszy 40 lat. Prosił, aby jego serce na zawsze spoczęło w miejscu „spotkania z Piękną Panią". Tak też się stało. Serce 40-letniego Maksymina spoczywa dziś na końcu lewej nawy tutejszej bazyliki.

» Wędrująca Melania

Losy Melanii wcale nie były mniej skomplikowane. Pochopnie skierowana do życia zakonnego, wystąpiła z klasztoru w Corps. Poddana naciskom spisania tajemnicy usłyszanej od Maryi, popadła w nerwicę. Nie mogąc nigdzie dłużej zagrzać miejsca, wędrowała po Europie. Była we Francji, w Anglii, we Włoszech. To właśnie tam przedstawiła papieżowi Leonowi XIII swój projekt utworzenia nowego zakonu. Stolica święta zachowywała jednak wobec pomysłu dużą rezerwę i powściągliwość. Wreszcie kobieta wydała wspomnianą broszurę, w której wyjawiła swoją „tajemnicę". Wielu francuskich biskupów ganiło tę publikację. Kardynał Caterini, sekretarz Kongregacji Świętego Oficjum, interweniował u nowego biskupa Castellamare, ażeby broszurę w miarę możliwości wycofać z rąk wiernych i zabronić Melanii na przyszłość publikowania podobnych rzeczy.

Kobieta wędrowała praktycznie do końca swego życia. Z Sycylii do Piemontu. Z Piemontu do Francji, gdzie osiadła w Allier. W czerwcu 1903 roku powróciła do południowych Włoch, zadomawiając się tym razem w Altamura. Tutaj właśnie umrła w nocy z 14 na 15 grudnia 1904 roku, przeżywszy 73 lata.

» To nie jest łatwa historia

La Salette to nie jest łatwa historia. Maryja nie przekazuje tu pięknych i wzniosłych treści. Nie ma tu za wiele pochwał. Zamiast tego są łzy, jest smutek. Matka Boża siedzi na kamiennej ławeczce z pochyloną głową i skrytą w dłoniach twarzą. La Salette to nie jest łatwa historia ze względu na język, jakim posługuje się Maryja. Mówiąc o karze, o zepsutych ziemniakach, o czekającym francuskich rolników głodzie. Wreszcie La Salette to nie jest łatwa historia także ze względu na późniejsze losy samych widzących. Którzy mimo upływu 180 lat od dnia objawienia nie doczekali się statusu świętych.

La Salette to jednak także piękno. Choćby piękno wydarzających się tutaj cudów. Wytryśnięte źródło, które uzdrawia chorych na alkoholizm. Miejsce łaski odzyskiwania wiary. Nadziei u pogrążonych w rozpaczy. Radości u pozostających w smutku.

O cudach, z jakimi wiąże się to źródło, mogą godzinami opowiadać posługujący na miejscu saletyni.

– Bo to jest takie właśnie miejsce… – zawiesza na chwilę głos ojciec Zbigniew. – Gdzie Niebo naprawdę styka się z ziemią. Zresztą, wystarczy się tylko rozejrzeć.

Ma rację. Jak okiem sięgnąć, przysiółek La Salette przypomina naturalnie uformowany amfiteatr. Pokryty soczyście zieloną górską łąką. Z oddalonymi na horyzoncie ośnieżonymi trzytysięcznikami. Wyizolowana od świata kraina kontemplacji. Miejsce, które wybrała Ona. Na jedno spotkanie. ■

eprasa.pl 425d19034c

Hanna Shen



Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim i wokół niego? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

» **Tajwan i Europa: tchórzostwo z unijnym logo**

11 września na włoską wyspę Ventotene przybyła wiceprezydent Tajwanu Hsiao Bi-khim w towarzystwie ministra spraw zagranicznych Lin Chia-lunga. Zaprosiła ich wiceprzewodnicząca Parlamentu Europejskiego Pina Picierno, na konferencję o tym, jak państwa demokratyczne mają bronić wolności przed naciskiem dyktatur. O wizycie poinformowano dopiero wtedy, gdy Hsiao dotarła na miejsce, tak aby Pekin nie zdążył jej udaremnić. Picierno oświadczyła: „Nikt, nawet Chiny, nie może decydować, kto ma prawo zabierać tu głos".

Nie była to przesada. W 2024 roku chińscy dyplomaci śledzili Hsiao w Pradze i, jak ustalił czeski wywiad wojskowy, zamierzali upozorować wypadek jej samochodu. W kwietniu tego roku Pekin nie dopuścił także do przelotu prezydenta Lai Ching-te do Eswatini. Tym razem Pekin niczemu zapobiec nie zdążył, pozostał mu więc protest. Jeszcze 11 września rzecznik chińskiego MSZ Mao Ning poinformowała o notach złożonych w Rzymie i w Brukseli, a udział tajwańskich polityków w konferencji nazwała zabieganiem o niepodległość pod szyldem wolności i demokracji.

Protest wystarczył. Przedstawicielstwo Komisji Europejskiej w Rzymie współfinansowało konferencję, a znak Komisji widniał na jej materiałach. Gdy ogłoszono obecność Hsiao, Komisja kazała swoje logo usunąć, a jej urzędnik dostał polecenie, by na wyspie się nie pojawiać. Rzecznicy KE tłumaczyli później, że znaku użyto w publikacjach, których Komisja wcześniej nie widziała ani nie zatwierdziła. Na pytanie, czy powodem była wiceprezydent Tajwanu, nie odpowiedzieli. Nie musieli. O sankcjach, zerwanych kontraktach czy odwołaniu ambasadora nikt w Pekinie nawet nie wspomniał. Wystarczyło, że Chiny zmarszczyły brwi, a instytucja reprezentująca 450 mln Europejczyków wyparła się konferencji, którą sama współfinansowała.

To ta sama Komisja, która latami wstrzymywała pieniądze Polsce i Węgrom w imię wartości europejskich i która przy każdej okazji poucza państwa członkowskie o odwadze w obronie demokracji. Wobec Warszawy i Budapesztu potrafi być nieugięta. Wobec Pekinu nie zdobyła się nawet na to, by zostawić logo na plakacie konferencji poświęconej wolności. Włoski rząd, który nie utrzymuje z Tajpej stosunków dyplomatycznych, poprzestał na

eprasa.pl 425d19034c

unikaniu oficjalnych kontaktów z gośćmi. Komisja po prostu uciekła.

Kobieta, którą chińscy dyplomaci próbowali zastraszyć w Pradze, przeleciała pół świata, by mówić o wolności. Urzędnik Komisji Europejskiej nie odważył się wsiąść na prom.

» Korea Południowa: szpieg już nie tylko z Północy

13 września w Korei Płd. weszła w życie nowelizacja kodeksu karnego, która zmienia definicję szpiegostwa. Dotąd za szpiega mógł zostać uznany w praktyce tylko ten, kto działał na rzecz „państwa nieprzyjacielskiego", czyli Korei Płn. Inżynier, który wynosił tajemnice technologiczne do Chin, odpowiadał najwyżej za naruszenie tajemnicy przedsiębiorstwa. Nowy przepis obejmuje działanie na rzecz każdego obcego państwa lub „równorzędnej organizacji" i przewiduje co najmniej 3 lata więzienia. 3 września parlament powierzył ponadto Narodowej Służbie Wywiadowczej (NIS) ściganie osób, które wywożą za granicę koreańskie technologie.

Ustawa nie wymienia żadnego kraju, ale nikt w Seulu nie ma wątpliwości, o kogo chodzi. Najgłośniejsza sprawa dotyczy pięciu byłych pracowników Samsunga oskarżonych o przekazanie chińskiej spółce ChangXin Memory Technologies (CXMT) technologii produkcji pamięci DRAM, bez których nie działa żaden smartfon, komputer czy serwer obsługujący sztuczną inteligencję. 11 września jeden z nich zeznał przed sądem, że założyciele CXMT od początku chcieli zdobyć rozwiązania Samsunga, bo firma nie miała ani zaplecza badawczego, ani zamiaru, by opracować je samodzielnie.

Do Samsunga i SK Hynix należy około 65 proc. światowego rynku DRAM, a półprzewodniki są podstawą koreańskiego eksportu. Koreańscy eksperci ostrzegli 14 września, że CXMT może do 2028 roku dorównać mocami produkcyjnymi SK Hynix. Pekin chce do 2030 roku w 80 proc. uniezależnić się od importu układów scalonych, a kradzież jest najkrótszą drogą do tego celu. Spółkę hojnie finansuje chińskie państwo, a Pentagon wpisał ją na listę „chińskich przedsiębiorstw wojskowych".

Znamienne, że przepisy przyjął parlament, w którym większość ma lewicowa Partia Demokratyczna prezydenta Lee Jae-myunga, a tej trudno zarzucić niechęć do Pekinu. Rozmiar strat przeważył nad politycznymi sympatiami. Rzecznik chińskiego MSZ zapytana o koreańską ustawę, zażądała dla chińskich firm „uczciwych, sprawiedliwych i niedyskryminujących warunków prowadzenia działalności". Mówi to przedstawiciel państwa, które w 2023 roku tak rozszerzyło własną ustawę antyszpiegowską, że za szpiegostwo można tam uznać niemal każdy kontakt z cudzoziemcem.

» Chiny: cywile do wojska, włókno do Rosji

28 sierpnia chiński parlament znowelizował ustawę o mobilizacji obronnej. Zmiany wejdą w życie 1 października. Dotąd państwo mogło w czasie kryzysu „rekwirować" cywilne mienie na potrzeby armii. Teraz może je „wywłaszczać", i to nie tylko podczas wojny, lecz także wtedy, gdy uzna, że „bezpośrednio zagrożone" są suwerenność, jedność, integralność terytorialna albo „interesy rozwojowe" kraju. Ustawa osobno wymienia systemy bezzałogowe, a Chiny wytwarzają około 70 proc. cywilnych dronów na świecie. Największą słabością chińskiej armii w razie desantu na Tajwan jest zbyt mała flota transportowa, dlatego od lat ćwiczy ona przerzut wojsk na cywilnych promach.

eprasa.pl 425d19034c

W jaki sposób w Chinach zaciera się granica między tym, co cywilne, a tym, co wojskowe, pokazały dwie wrześniowe publikacje. 1 września agencja Reuters, powołując się na przedstawicieli amerykańskich władz, podała, że statki państwowego armatora COSCO wożą ukryty sprzęt do nasłuchu radioelektronicznego i zbierają dane o łączności wojskowej oraz szyfrowaniu. COSCO ma 464 kontenerowce, które zawijają do 668 portów świata. Firma i chińska ambasada w Waszyngtonie temu zaprzeczyły.

4 września ujawniono z kolei rosyjskie dokumenty przewozowe. Wynika z nich, że państwowy koncern Jilin Chemical Fiber dostarczył spółce Alabuga-Wołokno, należącej do objętego sankcjami Rosatomu, 46 ton surowców do produkcji włókna węglowego. To ilość wystarczająca do zbudowania nawet 1300 dronów Gierań, rosyjskiej wersji irańskiego Shaheda. 21 sierpnia takie drony uderzyły w centrum handlowe w Krzywym Rogu, a po 30 minutach wróciły, by zaatakować ratowników. Pod tym względem Rosja jest całkowicie zdana na dostawy z Chin. Pekin zapewnia, że wobec wojny na Ukrainie zachowuje neutralność. Ta neutralność waży 46 ton.

» Japonia – „państwo nieprzyjacielskie" na zawołanie

2 września, w 81. rocznicę podpisania przez Japonię aktu kapitulacji, rzecznik chińskiego MSZ oświadczył, że zapisana w Karcie Narodów Zjednoczonych klauzula o „państwach nieprzyjacielskich" nadal obowiązuje i ma „szczególne znaczenie" w obliczu „remilitaryzacji" Japonii. Artykuły 53, 77 i 107 Karty z 1945 roku pozwalają sygnatariuszom użyć siły wobec dawnych państw Osi bez zgody Rady Bezpieczeństwa, jeśli te „wznowią politykę agresji". Pekin daje więc do zrozumienia, że w razie potrzeby może uderzyć na Japonię, zachowując zgodność z prawem międzynarodowym.

Przepisy te od dawna uchodzą za martwe. W 1995 roku Zgromadzenie Ogólne ONZ uznało je za przestarzałe i zapowiedziało ich wykreślenie, a Chiny poparły tę rezolucję. Procedury zmiany Karty nigdy jednak nie dokończono. Pekin przypomniał sobie o klauzuli dopiero w listopadzie 2025 roku, gdy premier Sanae Takaichi powiedziała w parlamencie, że chiński atak na Tajwan mógłby oznaczać dla Japonii „sytuację zagrażającą istnieniu państwa", a więc uzasadniać użycie wojska. Wtedy klauzulę przywołała chińska ambasada w Tokio. Teraz robi to centrala w Pekinie.

Nie jest to przypadek. Obok Stanów Zjednoczonych to właśnie Japonię Pekin uważa dziś za swojego najgroźniejszego przeciwnika. Na jej terytorium stacjonuje największy amerykański kontyngent poza USA, a najdalej wysunięta japońska wyspa Yonaguni leży 110 km od Tajwanu. Bez obezwładnienia baz położonych w Japonii żadna operacja przeciw Tajpej nie ma szans powodzenia. W grudniu 2025 roku i w maju bieżącego roku w pobliżu japońskich wysp ćwiczyły chińskie lotniskowce. Tokio pod naciskiem się nie cofnęło. Podniosło wydatki obronne do 2 proc. PKB, zniosło zakaz eksportu uzbrojenia bojowego, tworzy pierwszą od wojny centralną agencję wywiadowczą, o czym pisaliśmy miesiąc temu, i rozmawia o zmianie pacyfistycznej konstytucji. Atak na Japonię jest wciąż mało prawdopodobny, ale Pekin już dziś przygotowuje jego uzasadnienie prawne.

Taki sposób przygotowywania agresji Polacy znają dobrze: najpierw ogłasza się sąsiada faszystą albo militarystą, a potem tłumaczy światu, że napaść na niego jest obroną pokoju. Rosja nazwała to „denazyfikacją" Ukrainy. Chiny mają na tę samą okoliczność paragraf z 1945 roku. ■

eprasa.pl 425d19034c

Tomasz Sakiewicz

Walonki i woszebijki

W „Zapiskach oficera Armii Czerwonej" Sergiusza Piaseckiego znalazła się surowa ocena Polaków z terenów zajętych w 1939 roku przez Sowietów. Bolszewicki oficer nie mógł się nadziwić prymitywizmowi naszych rodaków, którzy nie używali woszebijek, czyli patyczków do zabijania wszy. A przecież w Moskwie czy Leningradzie woszebijki były na każdym kroku. Sowietowi do głowy nie przyszło, że deficyt woszebijek może się wiązać z brakiem wszy we włosach. Przepaść pomiędzy światem bolszewików a Polaków, nawet tych z biednych domów, była tak ogromna, że tłumacz tu niewiele zdziałał. Ostatnie wypowiedzi prokuratury o analfabetyzmie Wałęsy, Czarzastego o postępie cywilizacyjnym, bo „już nie robi w polu", i niejakiego Donalda Tuska o zmianie szachów na kij bejsbolowy przypomniały stare „dobre" czasy. Podobno bolszewik, który w 1920 roku wparował do majątczku pradziadków, strzelał do lustra. Po drugiej stronie zobaczył uzbrojonego bandziora. Nie wiem, co przeraża mnie bardziej: tłumaczenie, że Wałęsa nie mógł pisać donosów, bo był zbyt wielkim debilem, by naskrobać cokolwiek, mądrości Czarzastego, że weszliśmy do UE, by mógł normalnie załatwiać swoje potrzeby fizjologiczne, czy odkrycie Tuska, że do łamania kości lepiej pasuje kij bejsbolowy niż figury szachowe. Powoli widać, że pomiędzy ludźmi obozu władzy a tymi, których oni zwalczają, rysuje się coraz mocniejsza przepaść cywilizacyjna. To nie jest tylko kwestia estetyki, gdzie spod drogich garniturów wydobywa się coraz mocniejszy smród prymitywizmu protoplastów koalicji 13 grudnia. To jest różnica wszystkiego. Od dawna jestem zwolennikiem tezy, że Polską od 300 lat zarządzają elity rozbiorowe. Zaborcy i okupanci hodowali tu pewien gatunek mieszkańców, którym absolutnie odpowiadała zależność od zewnętrznych ośrodków władzy. To było najważniejsze. Czasem zostawiano tak wyhodowanym elitom swobodę stylu życia, byle tylko wspierały sam fakt okupacji. To było jednak rzadkie, głównie w zaborze austriackim. W pozostałych germanizowano i rusyfikowano. To oznaczało nie tylko zmianę codziennego języka, lecz także zmianę tożsamości narodowej. Polak musiał stać się Rosjaninem albo Niemcem. W komunie było jeszcze gorzej. Rusyfikowano tylko na terenach należących do Związku Sowieckiego. W krajach satelickich zmieniano starego człowieka w nowego. Ktoś, kto na co dzień chodził do Kościoła, w pocie czoła zarabiał pieniądze, by utrzymać rodzinę, a awansu cywilizacyjnego dokonywał przez edukację, działalność społeczną lub sukces biznesowy, musiał nagle zacząć powtarzać najgorsze bzdury wymyślone przez Marska, Engelsa czy Lenina. Ponieważ te ich systemy społeczno-filozoficzne nie trzymały się kupy, człowiek generalnie musiał zgłupieć. Żeby zgłupieć, musiał tolerować ludzi z „awansu", którzy dzięki sekciarskiemu powtarzaniu komunistycznych bzdur pięli się po szczeblach kariery. Tych, którzy nie nadawali się do takiej obróbki socjologicznej, izolowano albo po prostu mordowano. Pogarda dla życia i godności człowieka dawała we wczesnym etapie rozwoju komunizmu niezłe efekty. Przeciwnik zaskoczony brutalnością i nieliczeniem się z ofiarami, niejednokrotnie ustępował. Największym problemem dla komunistów była normalność. Gdy nie było wojny, a wróg wewnętrzny tak bardzo pokonany, że trudno o poważne napięcie społeczne, wszystko się sypało. Bo ludzi można oszukać, ale praw ekonomii, fizyki czy biologii nie sposób. Jeżeli ktoś nie rozumie, dlaczego w tych samych albo lepszych warunkach rynkowych paliwo w Polsce jest o połowę droższe, finanse zbliżają się do granicy katastrofy i generalnie kraj zatrzymuje się w rozwoju, to odpowiedź jest prosta: brak woszebijek i walonek. Bez tego żaden komunista nie poczuje się jak u siebie. Takie czasy… ■

eprasa.pl 425d19034c

InPost | GAZETA POLSKA | NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA NOWE PAŃSTWO



Prenumerata Elektroniczna za **1 zł***

NOWOŚĆ!

Gazeta Polska i Nowe Państwo – teraz do odbioru przez Twój Paczkomat® InPost

Dostawa co środę / Bez kolejki / Bez kompromisów

ZESKANUJ

Zamów już teraz!

prenumerata.swsmedia.pl/inpost

*Kupując roczną prenumeratę Gazety Polskiej lub Nowego Państwa, otrzymasz dostęp do wersji elektronicznej za jedyne 1 zł – na cały okres prenumeraty.

eprasa.pl 425d19034c